MAZUR-CZART.

DRAMAT W 5 AKTACH.

z legend i dziejów XII stulecia,

napisał

WINCENTY RAPACKI.

AKT III.

Izba w zamku Konrada.

SCENA I.

JASKOŁD *otwiera drzwi i wprowadza gości.*

Wchodzą: HERMAN von BALK, KONRAD LANDSBERG i OTTO SELEJDEN.

JASKOŁD.

Książę w Krakowie stacza bój z Brodatym.
W zamku została księżna Aga z synem,
Z jakichże kończyn świata wy jesteście?

HERMAN von BALK.

My słudzy wiernych. Rycerze kościoła,
Na zawezwanie świątobliwe pana,
Księcia Mazowsza, śpieszymy w pokorze.

OTTO.

Do komnat waszéj pani
Bogobojnéj Agaty,
Co nad księżniczki świata
Króluje cnót dostatkiem,
Zaprowadźcie nas, bracie.

JASKOŁD.

Dam znać o gościach. (*n. s.*) Kosockie twarze.

HERMAN von BALK (*pokornie*).

Czekając pani, odmówim koronki.

JASKOŁD.

Tego rudego widziałem już ongi,
Wszak to lutnista on, co nam tu brzdąkał
Na uczcie niegdy... Coś tu się wykluje.
(*Odchodzi*).

HERMAN von BALK.

O! nie ochoczo otwierają wrota.

OTTO.

Nie trwoż się mistrzu! Naród to w pół dziki,
Nie świadom pięknych, nadobnych zwyczajów,
Ni boskiej muzy nieznający tonów,
Lecz dobroduszny a uczynny wielce:
Połechc go, pogłaszcz a rzuci pod nogi
Co ma pod sercem. Jam ich poznał dobrze.

KONRAD LANDSBERG.

Mnie się uśmiecha kraina ich cała,
Ziemia to żyzna, bogata w przyrodę,
Zda się opływa we wszelki dobytek.
Po piaskach Syryi rajem mi się widzi.
Marzyłem bracia, by się zakon kiedyś
Rozsiadł wspaniale na tak bujnéj niwie.
Ale ten naród z podełba patrzący.

OTTO.

Ależ ten naród to istne są dzieci,
Co bawidełkom przyglądać się rade.
I nic dziwnego: dziwią się, ciekawi,
Że ludzkie twarze, co myślą promienią,
U których w oczach umu jasne światło,
O tyle piękne, wdzięczniejsze niż u nich.
Patrzą z bojaźnią na wyższych od siebie,
A łatwowierni, jak rzadko widziałem.

HERMAN von BALK.

Obyśmy wreszcie stanęli w przystani
I nawa nasza skołatana burzą
Do szczęśliwego portu zawitała!
(*Klęka, za nim dwaj inni*).

O Duchu Swięty! zstąp w te ciemne mózgi,
Natchnij ich wiarą w naszą sprawę świętą,
Daj nam wytrwanie na cierniowéj drodze,
Daj dach nad głowy, byśmy Imię Twoje
Ku wiecznéj chwale krzewili po świecie.
(*Wchodzi Agafia, za nią Mieszko i Jaskołd*).

SCENA 2.

CIŻ, AGAFIA, MIESZKO, JASKOŁD

AGAFIA.

Tyś mi Jaskołdzie o rycerzach prawił.
Kiedy tu widzę...

JASKOŁD.

Rycerzy kościoła,
Tak się zwać każą.

AGAFIA.

Zda się bogobojni,
Gdy nie zważają na obecnych całe.
Daj znać Jaskołdzie, żeśmy tu.

JASKOŁD.

Rycerze,
Księżna Agafia raczyła zejść do was.

HERMAN von BALK (*wstając, za nim inni*)
Duch to on święty, któregośmy w skrusze,
Niegodni łaski, prosili serdecznie,
Aby twe serce pani skłonił dla nas,
Zesłał nam ciebie w połowie modlitwy.
Najprzód cna pani, z białych głów najmędrsza,
Pozwól nam ugiąć kornie kolan w cześci,
I złożyć hołdy od szeregu braci,
Żeś ich raczyła łaską swą obdarzyć
I swém cudowném wstawieniem u męża
Wyjednać służby tych, którzy cię wielbią.

AGAFIA.

Pierwszy raz widzę wasze obce twarze,
I jam u męża dla was nic nie rzekła.

HERMAN von BALK.

Mógłże bez ciebie, cna pani, stanowić,
O ważnym czynie, który spełnił chlubnie?

Szlachetna pani! ty nas znać nie możesz,
My Ziemię Świętą deptaliśmy stopy
I tu zaledwie miesięcy czternaście
W staréj Europy wstąpiliśmy kraje.
Ależ twój żywot, o najszlachetniejsza!
Nie obcy dawno krzyża synom prawym.
Znamy twe cnoty i twe życie całe,
Znamy maluczkie nawyknienia nawet,
Z któremi skrywać lubisz się, o pani!
By gawiedź marna nie wglądała w one.
Wiemy, że lubisz chować potajemnie
Węże głaskane, bo ci one zdawna
Twoje rodzinne strony w pamięć niosą;
Wiemy, że lubisz gruszki muszkatowe,
Które w młodości u ojca na dworze
Rosły w ogrodzie. I szafiry lubisz
Oprawne w heban. To są sprawy drobne,
Twojego serca tajniki szlachetne.
Lecz wiemy dobrze o cnotach twych boskich,
Jak pogan hardych karcisz i nawracasz,
I męża pana zagrzewasz do czynów,
Odstępcę Jaśka własnemi rękami,
Zgładziłaś mężnie... a Zbiluta mieczem.

AGAFIA.

Kto wy o ludzie!... Z jakichże wy krain?
Czyście wy z piekieł, czy z nieba wysłani?

HERMAN von BALK.

My z Ziemi Świętéj Chrystusa sługami,
My czyny święte niżemy w koronkę
I modły Bogu szlemy za nie w niebo.
Oto, dostojna córo Chrystusowa,
Bogate dary, relikwie święte,
Kosztowne skarby w ofierze składamy
U stóp twych pańskich.

JASKOŁD (*n. s.*)

Ponoć was poznałem.

OTTO.

Gdy mistrz pięknemi słowy
Opiewał cnoty wasze,
Jam długi szereg ich
Wiązał w rymy barwiste,

A muza moja tkliwa,
Tyle wdzięków i barw
Znalazła w waszéj cześci,
Żem stworzył śpiew,
Co cnoty wasze lśniące
Poniesie w świata dal!

MIESZKO (*przerywając*).
O Matko moja! jakże ci rycerze
Nic niepodobni do naszych włodarzy!
Oni się zdają jakoby ci święci,
Co na obrazach widni po kościołach:
Tyle słodyczy w obcowaniu mają.
Kocham was, mili! (*rzuca się Ottonowi na szyję*).

AGAFIA.
Mieszku, co ty czynisz?
Przebaczcie płochość zepsutego dziecka,
Co do zabawek i igraszek błahych
Przywykło doma.

HERMAN von BALK.
Wdzięk ten dziecinny radością nas poi,
Dobra to wróżba dla naszych nadziei.
To młode książę szlachetnego serca,
Kiedy tak przylgnąć umiało do wiernych.
Będziem ci służyć chętliwie, o książę!
I miłość twoję, co z natchnienia Boga
Do nas zawrzała, odpłacim sowicie.

MIESZKO.
Lecz wy pacierzy ciągle nie mówicie,
Bobym was łacno uprzykrzył, unudził.
Czy wy lubicie bankietować, bracia?

OTTO.
O! zaw ze, książę, gdy ochota wzywa,
Bachus nam mile skraca godzin szereg,
I przy bankietach zabawy rozliczne,
Jakie trefnisie sypią nam z rękawa.

MIESZKO.
Czy słyszysz, matko? A o dziwach owych,
Co to w tych krajach zamorskich tak pełno,
Będziecież radzi rozpowiadać?

OTTO.

Chętnie.

MIESZKO.

Mówią, że niewiast tam pięknych, są roje
I każdy z mężów po trzydzieści miewa.

HERMAN von BALK.

I więcéj, książę.

MIESZKO.

Słyszysz matko, słyszysz?
A wy mi jednéj zajrzycie, niedobrzy!

AGAFIA.

Przestań już, Mieszku. Nie zważajcie proszę
Na te błazeństwa.

HERMAN von BALK.

Miłemi nam one,
Boć ta młodzieńcza szczerota pochodzi
Li z serca głębi i za serce chwyta.

AGAFIA.

Dobroć i dworność rycerska to cnota,
Która wam zda się wrodzona, rycerze.
Szczęśliwam wielce z odwiedzin tak miłych.
Wy rozchmurzycie te ponure ściany,
Bawić was będę do powrotu pana,
Jak będę mogła. Raczcież za mną zdążyć
Do innych komnat, gdzie posiłek czeka.

(*Do Ottona*)

Tam dokończycie pięknéj pieśni waszéj.

OTTO.

Słudzy pokorni dostojności waszéj.

(*Odchodzą za Agafią*).

SCENA 3.

JASKOŁD, *późniéj* WARMO.

JASKOŁD.

Wąż przypełzł zdradny i pochłonął Ewę.
Czekać mi tylko i patrzeć się bacznie

Na oną barwną krotochwilę życia,
Co się w tym grobie odegrywa rada.
(*Warmo wchodzi*).

WARMO.

Wszystkom postradał... bogów, siostry, ziemię!
Szlachetne męztwo, co biegło do czynu!
Stradałem popęd on serdeczny, tkliwy,
Co mi na struny niósł pieśni rodzinne
I mowy naszéj słodkobrzmiące tony,
A patrzeć muszę, jak ten rój owadów
Na nasze biedne plemię ostrzy miecze!
Prutenus straszny ukarał mnie srogo.
Czczem widmo gonił, i dla niegom stargał
Wszystko, co z życiem mém się splotło całém.
O! stokroć lepiéj w Poklusa iść cienie!

JASKOŁD.

Wracaj do lasów twoich, marny głupcze.

WARMO.

Ktoś ty, Mazurze? Twoja twarz szydząca
Chowa tajemnic głębokich przepaście.
Wszyscy się tobą brzydzą—prócz jednego
Mazura-Czarta, który ufa tobie.
Tyś mu jest wiernie oddany w usługi,
A powiadają, że on ojca twego
Zamorzył głodem w zamczyska otchłaniach.
O! wyście wszyscy nikczemni.

JASKOŁD.

Prócz jednéj,
Chciałeś rzec? Powtórz. I ta jedna zdradzi!
Tu wszystko zdradą, głupi poganinie!
Wracaj do lasów! (*odchodzi*).

WARMO.

Tu wszystko zdradą? I Bóg ich zdradziecki,
Ten Bóg poświęceń, co krew za nich przelał,
I jego wiara ma być czczém bluźnierstwem?
Ta wiara, która pochłania świat cały,
Ta wiara z blasków i uroczych kwiatów
W ustach Judyty—jako słońce cudne,
Olśniewające najmroczniejsze cienie!
Ty Boże chrześcian! jeżeliś wszechmocny,

Spraw, by ten zamęt, co wichrzy mi duszę
Ustąpił miejsca błogim, światłym myślom,
Co mi to życie w raj nadziemski zmienią!
Wszak ja ci wszystko oddałem, o Boże!
Dajże mi w zamian miłość twéj wybranki,
Lub puszczę ciemną piekieł odsłoń dla mnie.

SCENA 4.

Wchodzą MIESZKO z OTTONEM i KONRADEM LANDSBERGIEM, WARMO, *późniéj* JUDYTA.

MIESZKO.

O mój rycerzu! ja nie śmiem przed wami
Orężem władać, wyście mistrzem wszędy.
Do szczurów tylko strzelam i do myszy,
Których w tym zamku jest pełno nad miarę.
A ot widzicie, jak tu jeden sunie,
A za nim drugi?

KONRAD LANDSBERG.

Nic nie widzę, książę.

MIESZKO.

Bo tylko ogon, duży ogon widno.

KONRAD LANDSBERG.

Lecz raczcie wybrać cel godny rycerza,
Nie szczury, myszy...

MIESZKO.

Och! mnie wstyd przed wami.

KONRAD LANDSBERG.

Zobaczym książę—może też łaskawie
Raczycie widzieć więcéj niż jest iście,
Raczcież spróbować, owdzie łuk zawieszon.

MIESZKO (*do Warmona*).

Hej, ty niegodny! coś zwiesił łeb
I drzemiesz owdzie—pospiesz tu wraz!
Podaj mi łuk mój i strzał tych pęk,
A potém staniesz owdzie za cel,
Będę wybijał gałki z twych rąk.

WARMO (*podawał mu w miarę jak mówił. Judyta weszła niewidziana*).
Ja ci me serce za cel ofiaruję,
Przyczepię sobie krasne znamię owdzie...
Albo nie... ty sam domacawszy tętna
Przykleisz w miejscu, gdzie ono uderza,
I puścisz strzałę—już ci się nie ruszę,
Ni okiem mrugnę, ni zaniepokoję,
Będę stał cicho. Patrz, piersi obnażam..
Strzelaj młodzieńcze. Czyn litośny zrządzisz.

MIESZKO.
Kiedy tak radzisz..

JUDYTA (*wyrywając mu łuk*).
Ty Mieszku szalony!
Kto wy rycerze? brody wasze długie,
A rozum zda się i serca maluczkie;
Spokojném okiem przyzwalacie gwałtom,
Co je zepsute, głupie dziecko spełnia.

OTTO.
Raczcie przebaczyć, dostojna księżniczko,
Bo po téj cudnéj krasie i obejściu
Jużem was poznał—wyście tu ozdobą.
Ten tu niewierny sam obnażył piersi,
Lecz myśmy wstrzymać właśnie chcieli księcia
Gdyście nadbiegli.

JUDYTA (*Do Mieszka*).
Precz, kocie zdradliwy!

OTTO.
Szlachetny gniew wasz. Poznajemy córę
Cnéj matki waszéj. Wyście nieodrodna
Latorośl szczepu błogosławionego...

JUDYTA.
Pochlebstwo każde tylko wzgardą płacę.

OTTO.
Raczcie przebaczyć, w pokorze ustąpim.
(*Odchodzą z Mieszkiem*).

SCENA 5.

JUDYTA, WARMO.

JUDYTA.

Warmonie biedny! Ty śmierci chcesz?
Czyż świat dla ciebie nic nie ma już?
Gdzież owe słowa, co z ognia skier,
Z twoich zachwytem gorących ust
Płomienne biegły mi w holdzie?
Toż twoja wiara? To twoja cześć!
Rozwiana w mgły smutku ponure?
Jam ciebie wzniosła na wyżyn szczyt,
W moich marzeniach skrzydlatych
Twą męzką duszą pyszniłam się,
Stawiąc ją wzorem rycerzy.
Chciałam dopatrzyć skazy twych cnót,
Lecz one blaskiem mi biły
I olśniewały światlo mych ócz,
Żem niepamiętna twego rodu
Jako świętemu niosla cześć!

WARMO (*w zachwycie*).

Och Judyt, z bóstwa krain
Cudowne światło me,
Mów jeszcze! O mów dlugo,
I nie odbieraj barw,
Tych światłych, co mnie topią,
Raczéj zelżywie łaj!

(*Klęka przed nią*).

Jam upadł niecnie, jam się skarżył,
I klątem bogów mych,
I złorzeczyłem Bogu twemu,
I ziemia piękna cała,
Zdradliwych gadzin gniazdem,
Grobem ponurym była mi.
Alež jam słaby, jam biedny rozbitek,
Co stracił wszystko na wody głębinach,
A gdyś ty, cudna gwiazdo, w chmur całunie
Schowała lice, nie ma dla mnie nic.

JUDYTA.

Warmonie! Pomnij, czym ja godna,
Byś dla mnie tyle skarbów trwonił?
Miłość niewiasty wróciż ci
Twych bogów i rodzinę?
Czy wróci twoje pienia,
Co ci z natchnionéj piersi biegły?

WARMO.

Tyś mi jest wszystkiém, o niebianko!
Bo ja przez ciebie kocham świat!
Bo ja przez ciebie tyle czuć
I tyle skarbów w duszy mam,
Że niemi ziemię całą,
By drogich pereł potokiem,
Obdzielę szczodrze,
Piękno i dobro niosąc im.
Podaj mi rękę, o Judyto!
Jam tylko przez nią tém,
Czém w marzeń twoich barwie
Widzieć mnieś rada...

JUDYTA (*podając mu dłoń*).

Masz!

WARMO.

Ty kochasz mnie, wielbiona?

JUDYTA.

Czy ja cię kocham? Zapytaj się
Tych miejsc ponurych cienia,
Ilem ja walk, by dumę zetrzeć hardą,
Stoczyła w piersi méj.
A gdy téj dumy wieka
Odarłam z barwy płowéj,
Ujrzałam duszę twoją
Tak piękną i potężną,
Że drugiéj takiéj świat
Nie stawi moim oczom.
Wówczas to, drżąca cała,
W niepewność padłam z trwogi.
Czy moje czucie w tobie
Odnajdzie echo? Och! zapytaj
Tych wszystkich kwiatów, co krasą lśnią,

Jakem ich listki zrywała,
Wróżąc o sercu twém,
Spytaj się gwiazd tych, szumiących wierzb,
I Wisły sinych wód,
Co szemrząc cicho falą
Szeptom wtórzyły mym:
Kocham!

WARMO.

O Judyt!

JUDYTA.

Dziś rzucam lękliwą barwę,
Co ważąc wzgląd światowy,
W ciszy te czucia boskie
Tłumić kazała mi.
Chciałabym zmusić przyrodę tę całą
Wszystko co mówi, co śpiewa, co żyje,
Kwiatów kielichy i szemrzące wody,
I głosy groźne żywiołów wzburzonych,
Żeby mą miłość milionów echem
Rozniosły gromem po świecie tym.

WARMO.

Radości méj i uczuć tych ogromu
Ja ci słowami nie opiszę.
Ty cudne światło duszy méj!
Mój język za ubogi,
By to co dusza mieści
Na usta posłał mi.
Lecz ci przysięgam, o Judyto!
Że miłość twa i Bóg,
Którego żywe zdroje
Téj chwili chłonę cały,
Światem owładną mym.
Ja zdziałam tyle cudu
Zbrojny w miłości zorze,
Że plemię Prusów ludu
Bogu twemu ukorzę.
A ty kapłanką, światłem jego,
Ty duszą będziesz mu.
Teraz w ramiona świata bierzmy
Cierpieniem schorzałego.

Miłością czystą, boską,
Co nam w piersi wezbrała,
Dzielić się będziem z braćmi.

JUDYTA.

Boga uczcimy wprzód!

Izba wielka w sali Konrada.

Stół duży po środku.—Z boku z lewéj widzów tron książęcy, naprzeciw niego z prawéj ławy do siedzenia.

SCENA 6.

HERMAN, KONRAD LANDSBERG.

HERMAN (*patrzy na mappę, leżącą przed nim na stole*).

Z zachodu nasi. Wschód, pogaństwa horda!
Północ nam Baltyk zalewa spokojny,
Południe Polska, co się wciąż drze z sobą,
Na wschód nam droga, nieskończona, długa,
Bracia z zachodu posuną nas po niéj,
A głupie plemię, co w południu leży,
Nie zajdzie drogi, ani nam przeszkodzi,
Stanie przed nami ciche i potulne
Jako te szyby sinego Baltyku,
Co północ całą oblewają...
Cóż to za droga wspaniała się ściele!
Pojrzyj Konradzie, gdzie palec mój leci:
Jak on przebiega ten biały szlak ziemi,
Tak my posuniem farbując tę białość
Krwią pogan dzikich...
O! mistrz nasz wielki obliczył ten obszar,
Kiedy wskazując ową kartę wyrzekł:
„Tam tron dla krzyża zbudujemy trwały!
Świata połowa padnie nam w pokłonie!“
O bracie! cel to tak olbrzymio wielki,
Że przed potęgą jego korzę czoło;
I gdyby przyszło zmiatać proch przed Czartem,
Albo poruszyć piekieł całe chmury,
Chwycić go musim. Otto nie powraca.

KONRAD LANDSBERG.

Za chwilę stanie. O ile miarkuję,
Bój się z Brodatym nie powiódł Czartowi.
Powrócił z niczem, kwaśny i ponury:
Będzie łatwiejszym, bo tu Prussy grożą,
A księżna Aga nam życzliwa wielce.

HERMAN.

Przez tę niewiastę wszystko zdziałać możem,
Ta wietrzna głowa jest jéj kornym sługą.

KONRAD LANDSBERG.

Pójdzie nam składnie. I czemuż pójść nie ma?
To głupie plemię, co się wciąż żre samo,
Niech podziękuje Bogu, że mu zsyła,
Rozkrzewicieli wiary, dobra, cześci.

HERMAN

Dobrze powiadasz. Szalonym być trzeba
Aby w tym mętnym chaosie, bezładzie,
Rozumnéj głowie, nie zdobyć korzyści.

(*Wchodzi Otto*).

HERMAN.

Czekamy, bracie.

OTTO.

Biegunam zamęczył,
By stanąć w czasie. Niełatwa to sprawa
Prześliznąć całym manowce.

HERMAN.

Co niesiesz?

OTTO.

Przez Brodatego porażon na głowę.
Tysiąc orężnych naszych wspomagało
Sprawę Henryka, który sercem całém
Popiera sprawę naszę świętą. Gunther
Przybył przedemną, już jest u Konrada,
I panów rzesza przyciągnęła tłumnie.

HERMAN.

W imię Chrystusa bierzmy się do dzieła.
Podaj mi skrzynkę Konradzie.

(*Otwiera i wydobywa papier z pieczęciami*).

Ten papier
Robi nas panem pół świata. Fryderyk
Grzechy i błędy, jakie zdziałał w życiu,
Tym drogocennym obmył pergaminem.
To nasze berło! relikwie nasze.
Ciszéj, — nadchodzą.

SCENA 7.

CIŻ, *wchodzą* KONRAD, AGAFIA, GUNTHER, DOBROGOST, SYROSŁAW, MŚCIWONG, CZAPLA, ZIEMOWIT, KAZIMIERZ, PANOWIE, SŁUŻBA.

KONRAD.

Pozdrawiam was, goście!

HERMAN.

Pokorni słudzy gościnnie przyjęci
W waszym przemożnym domu, władco panie
Modlilim Boga o wasz rychły powrót
I o zwycięztwa palmę niespożytą.

KONRAD (*n. s.*).

Och psy fałszywe! gniew by febrą trzęsie
Wszystkie me członki... Ale muszę... muszę.
(*głośno*)
Wyście modlili—a tam bracia wasi
Z zgrają Brodacza przeciw mnie walczyli:
Na dwu ramionach płaszcz nosić lubicie.

HERMAN.

Co przez te słowa powiedzieć nam chcecie?

KONRAD.

To, co wy sami dobrze pojmujecie.

HERMAN.

Krzywdzicie panie, naszę dobrą sławę.

KONRAD.

Gromy siarczyste! Przestańcie tych lisich,
Chytrych wymówek, bom ja nie baranek;
Czyżem nie widział waszych białych płaszczów
W obozie księcia szlązkiego?
Jedną fałszywą dłonią mordujecie,
Drugą o pokój prosić gotowiście.

HERMAN.

To były może roty grafa Zolna,
Który tych naszych układów nieświadom.
Lecz gdy się z wami w przymierze złączymy,
Natenczas cali z życiem do was przejdziem.

KONRAD.

Brodacz, to skąpiec—on nędznie wam płaci;
Wstyd wam być sługą u takiego sknery.

AGAFIA.

Pocóż ten wywód nie w miejscu, Konradzie?

KONRAD.

W miejscu on więcéj niż ci się wydaje.
Zasiądźcie ławy. Krótko rzecz wyłuszczę.
Naglon nietyle potrzebą, co świętą
I bogobojną chęcią nawracania.
Upartych pogan, co w ciemnocie broczą,
Po naradzeniu z memi senatory,
Wysłałem posły po tych cnych rycerzy,
Co zdawna słyną obrońcami krzyża.
Oni folgując memu zawezwaniu,
Przybyli skorzy. Pragnąc odwzajemnić
Ich dobre chęci i dać im przytułek
W moich dzielnicach Kujaw lub Mazowsza,
Albo też w pruskiéj stronie—zapytujem:
Jakie nadania, daniny, opłaty
Stwierdzać im mamy, by nam pomagali?

HERMAN.

Potężny książę! Przytułku nie prosim,
Przybyliśmy tu na prośby gorące,
Które przez posłów zwiastować raczyłeś,
Ciężką potrzebą przyciśnion gwałtownie,
Byśmy twych pogan nauczali wiary
I strzegli granic twojego władania,
I srogie gwałty, jakie codzień prawie
W twoich granicach spełniają—tłumili.
Co do zapłaty—oręż nasz, co kruszył
Swiętego grobu wrogów, sam wywalczy
Wszystko dla siebie. My naprzód żądamy
Ziemi rozległéj, gdziebyśmy osiedli,
A to co daléj zdobędziemy, będzie

Na mocy nadań cesarza Frydryka,
Które pieczęcią i pismem swém stwierdził,
Po wszystkie czasy własnością zakonu.
To pergaminem waszym, możny książę,
Jaki tu spiszem, musi być objęte.

KONRAD.

Okażcie mi ten dokument cesarza.
(*Herman mu podaje, Konrad go drze*).
Ot co z nim czynię!

GUNTHER.

Biada ci książę! gubisz się haniebnie.

HERMAN.

Po takim czynie, nie ma nam tu miejsca.

KONRAD LANDSBERG.

Spieszmy, o bracia! przed tron Fryderyka.

HERMAN.

Pieczęć i ręka cesarza zhańbione,
W prochu zdeptane. Gdzież my to jesteśmy?

AGAFIA.

Coś zdziałał mężu?... Patrz, oni odchodzą!

KONRAD.

Wrócą, nie trwóż się.

GUNTHER.

Słuchajcie, rycerze!
A ty, mój książę, napraw ten czyn dziki.
Przebóg, toż całe to poselstwo święte
Zbrukałeś gwałtem, sromotą, na Boga!
A wy rycerze nie kwapcie z powrotem,
I pofolgujcie gniewowi.

KONRAD.

Mnie proś, bym połknął całą wściekłość, zgrozę.
Jaką bezczelny ten papier wywołał.
Słuchajcie, mnichy! Zapiszcie to sobie
Na pergaminie wytrwalszym od tego:
Wasz cesarz krajem rozrządza by swoim;
Czy był tu kiedy? podbił go? odebrał?
Czy ważył życiem? krew za niego przelał?
Pierwszy raz noga Niemca depcze ziemię,
Kędy stoicie—i nie draźńcie, nędzni,

Bo po ostatni raz może ją depcze.
A teraz możem układy rozpocząć.

HERMAN.

Z wami układów już nie ma. Żegnajcie!

KONRAD.

A jak daleko odejdziecie, bracia?
Kędyż to droga do domu waszego?
I kędyż dom ów? Z Węgier was wygnali,
Niemcy do syta mają waszych praktyk;
Wyście myśleli, że Konrad to głupiec,
Któremu można na łbie tłuc orzechy.

HERMAN.

Zawsześmy czcili cnoty wasze, książę!
I niech nas broni łaska Zbawiciela,
Byśmy na gniew wasz zasłużyli, panie.
Albo na sprosne, zelżywe nazwania,
Jakich nam w gniewie nie szczędzić raczycie.
Ależ to hańba cesarskiej pieczęci...

KONRAD.

Z każdym tak pocznę, co mi się w dom wdziera.
Niech wam wasz cesarz swoję ziemię daje,
Od moich wara! Odczytajcie proszę
Wasze warunki. Tylko o nadaniach
Cesarskich milczeć; bo mój miecz drży w pochwie.

HERMAN (*czyta*).

My Konrad, przyciśnieni potrzebą i chcąc się zasłużyć łasce Chrystusa Pana i wszystkich świętych, dajemy we władanie wieczyste braciom Zakonu Hierozolimskiego Panny Maryi Ziemię Chełmińską i ziemię tę wszystką, co między Wisłą, Mokrą i Drwęcą, Ziemię Dobrzyńską, Zamek Nieszawę...

KONRAD (*śmiejąc się*).

Ha! ha! ha! ha!
Coście spisali, wy fałszywe dusze!
Ja całe Prussy mam oddać wam w dani
I moich Kujaw połowę mam oddać!
Nie—to nie warte gniewu—śmiechu warte.
Podajcie akt mi—tego ja nie podrę,
Ale na wieczną pamiątkę zachowam.
Pisz, Czaplo, układ: daję im w dzierżeże

Wioskę z zameczkiem w kujawskiéj dzielnicy,
Przezwaną Orłów.

HERMAN.

Ha! ha! ha! ha!
Teraz my śmiechem płacimy wam szydnym.
Dosyć igraszek i dosyć tych sporów,
I szyderstw dosyć i obelg niegodnych.
Odchodzim zemstę niosąc w duszach krwawą
Za te zniewagi; miasto cześci winnéj,
Staniem przed wami w innéj szacie, książę.
Żegnajcie!

GUNTHER.

Stójcie! stójcie o rycerze!

AGAFIA.

Konradzie, przestań! bo cierpliwość tracę.
Co ty im dajesz? tyś szalony chyba.
Zameczek lichy. I chcesz, by w tym zamku,
Mała się garstka mieściła rycerzy,
Coby ci obszar Prussów wojowała!
Daj im Chełmińską i Orłów im przydaj.

KONRAD.

Chełmińską dać im... czemu nie Mazowsze?
Kujawy może... głupia ty niewiasto.

AGAFIA.

Ja im przyrzekłam dać Chelmińską ziemię,
Mamż się rumienić przed tymi rycerze?
Mażświat ten cały widzieć moję nicość,
Żem to jest ścierką usłużną, nic więcéj?
Och! bogdaj z wieży na głowę mi runąć,
Niż w téj ohydzie żyć wieczystéj.

KONRAD.

Zamilcz!

AGAFIA.

Prussy napadną znowu lada chwila,
Znowu daniną oplacić się musisz,
By cię żywego puścili...
Tu dają pomoc, murem nam, obroną,
I ty w niegodne targi z nimi wchodzisz?
Gdyś był w Krakowie Pipin zbierał hufce

I już na zamek miał uderzyć skoro,
Gdy wieść fałszywa przez onych rycerzy
Rzucona zręcznie, że ich są tysiące,
I białe płaszcze na murach zwieszone
Strachem ogromnym pogan rozpędziła.
Pomnij Konradzie, gdy się ubezpieczysz
Przed pogan mieczem, że swą siłę całą
Na Kraków zwrócisz, na Brodacza dumę,
Którą w proch zetrzesz i ziemi przysporzysz.
Daj im Chełmińską i ten zamek Orłów.
Widzisz, że oni nie przystaną .. idą!
Oni nie w mocy, by przystali.

KONRAD.

Czapla!
Pisz, że im daję Chełmińską.

AGAFIA.

I Orłów.

KONRAD.

Chełmińską samą.

AGAFIA.

I Orłów, Konradzie,
Bom im przyrzekła Daj Orłów! daj Orłów!

KONRAD.

Dosyć! niech będzie, na gromy siarczyste!
Ty mnie umęczysz więcéj niźli oni.

(*Do Krzyżaków*)

Dajem Chełmińską i wieś Orłów z zamkiem.

(*Do Czapli*)

Dajem w dzierżenie Chełmińską i Orłów.

HERMAN.

W jakie dzierżenie?

GUNTHER.

A jużci w wieczyste.

KONRAD.

Ja nie oznaczam czasu, cale.

HERMAN.

Brednia!
To gdy wam Prussy całe nakłonimy

Wyście gotowi wyrzucić nas z dzielnic.
Tego nie będzie, i my na ten układ
Przystać nie możem.

AGAFIA.

Skończże raz, Konradzie.

KONRAD.

Napisz na akcie w wieczyste dzierżenie.

(*Czapla pisze, przez ten czas tworzą się gruppy. Agafia, Gunther, Konrad, Ziemowit, Kazimierz, Otto, Herman, Czapla, Szlachta, rozmawiają z sobą*).

ZIEMOWIT (*cicho do Kazimierza*).

Oni gotowi w tę zgłodniałą paszczę,
By w wór dziurawy, pchać włości i zamki,
I nasze mienie uszczuplać gotowi,
Kaźmierzu, czas już, rzućmy ten bat,
Co by dzieciuchów chłostać nas rad.
Gnuśnieć tu marnie dłużéj nam nie pora.
Ty bierz Łęczycę, ja Rosprzę mam,
Świętopelk w pomoc pośpieszy,
Na własną rękę pójdziemy w tan.
Ojciec z Brodatym niechaj się uciera,
I chytrych Niemców niechaj sobie pieści;
A my swe miecze, co je rdza pokryła,
Pójdziemy kąpać w Wielkopolski błotach.

KAZIMIERZ.

Żal mi starego, aleć trudna sprawa,
My tu zmarniejem do szczętu—trza działać.
Ja moje hufce cichaczem wyprawię,
Odbiorę miasto Łowicz, co go dzierżą
Wielebni księża klątwą wyduszony,
A potém Sieradz. Ale ojca dzierżaw
Nie ruszmy Kaźku. Staniesz do Sieradza.

ZIEMOWIT.

Oto ma ręka.

KAZIMIERZ.

Więc daléj do czynu.

OTTO (*do ucha piszącego Czapli*).

Kanclerzu światły, nasz zakon jest hojny,
Drobne przysługi szczodrze darzy złotem,

A tych, co wierni i życzliwi jemu,
Po wszystkie czasy dzierży w łask skarbnicy.

GUNTHER (*do Konrada*).

Zyskałeś książę potężnych obrońców,
O! ileż starań i trudów poniosłem,
Aby to święte przymierze skojarzyć!

KONRAD (*d. s.*)

Och! z jakąż siłą przygniotę Brodacza,
Bezpieczen pruskiéj dziczy.

AGAFIA (*do Gunthera*).

Ojcze drogi,
Nieskąpo trudy zawdzięczymy wasze.

DOBROGOST (*do Syrosława*).

Wiesz o co kmiecie Pana Boga proszą?
Oto, o konie do jeżdżenia.

SYROSŁAW.

Czemu?

DOBROGOST.

Bo gdyby koni nie było na świecie,
Szlachta po kmieciach jeździłaby rada.
A my o wrogów co najwięcéj prośmy
Dla naszych książąt; bo gdy ich nie stanie,
Do nas się wezmą.

SYROSŁAW.

Więc ci Niemcy wrogi?

DOBROGOST.

Ten, kto się gwałtem w cudzą strzechę wdziera,
Musi swe pięści mieć na pogotowiu,
Bo go wyrzucą.

SYROSŁAW.

To mi przypomina
Bajkę o liszce szczennéj, co przyjęta
Do gniazda kota, gdy się oszczeniła
I lisy młode wypielęgnowała,
Wypchnęła kota z jego legowiska.

CZAPLA.

Skończony akt on, wszczęty w imię Boże.

KONRAD.

W Boże, czy w Czarcie, my pieczęć kładziemy.
Odczytaj Czaplo.

CZAPLA.

Pan Bóg pochwalony!

(*czyta*). My Konrad, książę mazowiecki i kujawski, podajemy do wiadomości tak żyjącym jako i przyszłym, jako Zakonowi Jerozolimitańskiemu szpitala Panny Maryi za zbawienie duszy naszéj i rodziców naszych Ziemię Chełmińską ze wszystkiemi przyległościami tak w rolach, jako i w wodach i lasach, nic sobie nie zachowując, tudzież wieś zwaną Orłów w Kujawach leżącą, dajemy w wieczyste dzierżenie za zezwoleniem wszystkich dziedziców naszych. Żeby atoli starożytność nie puściła w niepamięć tego nadania naszego, pergamin ten pieczęciami naszemi jak również świadków nadaniu temu przytomnych kazaliśmy potwierdzić.

KONRAD.

Niech zagrzmią rogi i kielichy wniosą.
(*Do Hermana*).
Oto ma czapka, a wy dajcie swoję,
Na znak wieczysty przymierza i zgody,
Jako odwieczny obyczaj nasz każe.
(*Zamieniają czapki z Hermanem*).

GUNTHER.

Pośpieszym teraz do kaplicy, wierni,
Zanieść gorące modły przed ołtarze,
By Bóg przedwieczny błogosławił ziarnem
Temu siewowi, co zdziałan przez Boga!
(*Odgłos trąb za sceną, wchodzi szybko Warmo, za nim Pipin*).

SCENA 8.

CIŻ, WARMO, PIPIN.

WARMO.

Stójcie! Zapiejem hymn,
Co Bogu milszy będzie!
Ot w nas dwóch Prussy całe
Chylą się wam do nóg,
Potężny nasz Konradzie.
Pipin, co wrogiem ci był,

Kornie klęka przed tobą
I służby niesie cześć.

GUNTHER.

Pipin przeklęty w ręce wpada!

WARMO.

Na Boga chrześcian potężnego,
Któregom dzisiaj sługą,
Dajem ci panie znamię
Usług naszych gorących.
Układ zaczęty złam!
Po co tych marnych słów
I pergaminów, pieczęci?
Pomnij, że z dniem
Kiedy ci Niemcy stawią stopę
Na Prussów smutnéj ziemi,
Tyś przestał jéj panem być.
Łaknące krwi, chciwe plemię
Zaboru dyszy chęcią.
Nie Pan Bóg to ich celem,
Ale zdobyczy czar!

PIPIN.

Uległość, wiarę, przysięgamy!
A na trwałość tych słów
Zakładników trzy roty,
Z mężnych Prussów zebrane,
W zamku ci twym stawimy.

GUNTHER.

Żebyś nas zdradził poraz czwarty,
Jakeś trzy razy niecnie zdradził?
Trzy razy chrztem
Zlewałem twoję głowę;
I trzy razyś w piekieł ugrzązł noc,
Nas wyszydziwszy nędznie,
By potém żelazo twe
W krwawym odwecie kąpać, zbójco!
Kościołyś nasze grabił,
Świętą Hostyą deptał nogą
Z pijanych zwierząt trzodą.
Niemowlęta i matki
Starców i kalek mnóstwo

Na tamteń wysłał świat
Bez pomazania Pańskiego.

HERMAN.

Toż jest ów potwór, o którym wieść
Zgrozą przejmuje ludzi!

AGAFIA.

Ten to nikczemny zbój
W pień wyciął Płocko całe,
I zamek z ziemią zrównał.

MŚCIWONG.

Me biedne włości ogień spłonął!

SYROSŁAW.

Drużyna moja cała
I Wit, jedynak mój,
By kłosy padli pod toporem.

KONRAD.

Mój wierny gniadosz padł,
Na wylot przebit strzałą.

GUNTHER.

Mało mąk i kar ma świat ten cały,
By tę ohydną żmiję
Srogością dosiądz można.
Oddaj, łupieżco świętokradczy,
Coś wydarł sługom Bożym.

KONRAD.

On dla was o rycerze!
Wymierzcie karę nań!

PIPIN.

Gdzieś ty mnie przywiódł, o Warmonie?
Toż stado nędznych wron!
To kawek marne plemię,
My im dłoń zgody niesiem radzi,
Oni kąsają nas.
O! czemum zawierzył, czemu
Jedwabnym słowom błazna,
I w duszy méj hartownéj
Tkliwości zbudził skrę?
Przeklętym bądź, Warmonie!

Tyś w przepaść wciągnął czarną
Całą podporę Pruss!
Przeklętym bądź z swym Bogiem,
Co fałszem, zdradą dyszy,
I przeklętym z miłością,
Co z męża czyni widmo!
Idę w Poklusa cienie,
I wzywam potęg czarnych,
By cię przywiodły wraz.

WARMO.

Ja światłem olśnion boskiém,
W ich duszach ciemnych mroku
Szukałem myśli Bożéj,
A jad zgnilizny znalazł tylko.
Pipinie, bracie dzielny!
Coś na mój głos natchniony
Zaparł się chuci złych,
Przebacz mi! ja ich Boga
Więcéj jeszcze miluję,
Bo jakże silna jego wiara,
Gdy tylu potworów ją wyznawa,
A ona rośnie wciąż!

KONRAD.

Precz z Pipinem do lochów;
A ty, lutnisto ckliwy,
Wracaj do lasów swych!

(*Straż odprowadza Pipina. Za sceną odgłos trąb, wychodzą wszyscy prócz Warmona*).

WARMO.

Do lasów moich? Dobrze rzekłeś.
Tam czyste wieje tchnienie.
Tam zwierz szlachetniéj ludzi wita,
Niż to ohydnę plemię
Fałszerstwa, zdrad i hańby.
I w tym tu piekle czarném
Dyszącém mordu wonią
Jam duszę mą zostawił.
Och! Judyt święta, zdobna szatą
Jasności boskich blasków,

Tyś w mózgu mego ciemnie
Rzuciła jedno słowo,
Którego piękności całéj
Daremniem badał dociec.
Teraz rozumiem je.
Teraz, o boska ty dziewico!
Posąg zbuduję trwały
Twéj myśli wziętéj z nieba,
Co się nazywa *poświęceniem!*
A ty o serce, co cię wabią
Rozkoszy czary niezgłębione
Miłości téj niebiańskiéj,
O jakiéj w snach czarownych
Nie zamarzyłem nigdy,
Milcz!

(*Mieszko* z *Konradem Landsbergiem*, *zjawiają się w głębi. Konrad pokazuje Warmona. Mieszko celuje* z *łuku*).

Dopóki siłą walk potężnych
Zahartowane niezłomnie,
W ofierze czystéj, wielkiéj,
Jaką braciom poniosę...
(*Pada strzala*).
Ach!
(*Warmo upada*).
To przekleństwo z ust Pipina,
W Poklusa wiedzie cień.

(*Zasłona spada*).

AKT IV.

W Spytkowicach na Szlązku.

(*Wnętrze kościoła. — W głębi ołtarz oddzielony balustradą. — Przy ołtarzu z boku na podwyższeniu klęczy Henryk Brodaty. — Z boku po prawéj na przodzie sceny główne wejście, przy wejściu siedzi dziad żebrzący z długą białą brodą. — Kościół napełniony ludem, jednakże przez środek jest szpaler, którym do ołtarza przejść można.—Rycerstwo wchodzi do kościoła.*)

SCENA 1.

RYCERZE, DZIAD.

DZIAD.

Młodzi rycerze, witajcie! witajcie!
Białemu dziadu grosz dajcie.

PIERWSZY RYCERZ.

Za brata Jaśka zmówić trzy pacierze.

DRUGI RYCERZ.

Za Pakosława z Łobzowa Zdrowaśkę.

TRZECI RYCERZ.

Tu za Poraja dzielnego się módlcie.

DZIAD.

Miłeć są dziadu te szczodre jałmużny,
Lecz ja bym wolał za wasz tryumf modły,
Niż za te dusze, co marnie zginęły.
Dyć o zwycięztwie plotą tu ludziska.

DRUGI RYCERZ.

Było zwycięztwo mój dziadu, oj było!
Aleć i naszéj krwi lały się strugi.

DZIAD.

Przeklęty Mazur! O! przeklęty srodze!
Nie darmo Czartem zwan od maleńkiego.

Pomnę go dobrze pacholęciem jeszcze,
Gdym za jałmużną z lutnią ongi chadzał.
Bywało stanę gdzie się chutnie bawią
Młode książątka—każdy rad obdarzył
I on dał hojnie, ale do ogona
Konia przywiązał, albo w kłodę zamknął,
A potém śmiał się, by Czart śmiechem strasznym.
Gdy dojrzał w męża, już ono djabelstwo
Wrosło mu w skórę.
O śmierci brata Leszka różnie pletli,
Że z Świętopełkiem zmówion był haniebnie,
I pletli ongi, że gdzie stawił nogę
Trawa zielona pod stopą gorzała.
(*Wchodzą do kościoła*).
Młodzi rycerze, witajcie! witajcie!
Białemu dziadu grosz dajcie. (*Dają mu jałmużnę*).

DRUGI RYCERZ.

Ojca Kaźmierza wyście pomny czasów?

DZIAD.

Ojca Kaźmierza? Oj ty sokoliku!
Pytaj się, czego niepomny dziad stary?
Byłem dzieciakiem, kiedy pan nam pomarł.

DRUGI RYCERZ.

Pan... który?.. mówcie!

DZIAD.

Pan, co dzierżył Polskę,
Z którego paniąt urosło tysiące;
On, Krzywousty, co rozdał koronę,
By się książęta żarli o nią ciągle.
Wiele ich pomnę, ale tak strasznego
Jak jest ten Mazur nie było przed laty.
Strasznego Mieszka, co łupił ze skóry,
Klęli, stękali — aleć on był człekiem.

DRUGI RYCERZ.

A ileż lat wam dziadu?

DZIAD.

Setkę liczę

Z okładem dużym... ale go nie pomnę,
Bo już od setki straciłem rachunek.
Zdrowaś Marya... Idźcie ku ołtarzom.
Łaskiś ty pełna... Nieszpór już zaczęty...

(*Dzwon wieżowy się odzywa, wchodzi Iwo Odrowąż z relikwiarzem w ręku w szatach biskupich, boso, za nim księża z wodą święconą*).

SCENA 2.

CIZ, IWO, HENRYK.

IWO (*na stopniach ołtarza*).

Błogosławionaś ty, czeladko Boża!
Po krwawym znoju, niech wam łaska Nieba
Da pokrzepienie i serca uciechy.
Oręż wasz chlubnie ustrzegł nam Krakowa.
I bogobojny, szlachetny, łaskawy
Książę Bolesław bezpieczen na tronie.
Twoja to sprawa, szlachetny Henryku,
Potężny książę — dzierżyjże nas zawzdy
Pod twemi skrzydły od tyrana ciosów.
A wy rycerze, by chór Cherubinów,
Z górnych obłoków spadliście na Czarta:
Niech wam policzą święci wasze czyny.
Czemuż, o dziatwo! troska wam na czole,
A nie zwycięztwa odblask świetny,
Choć się zwycięztwo wam dostało?
Czemuż, by smętne brzozy
Głowy wasze zwieszone?
Och! bo to bratnia krew
W téj walce strasznéj ciekła!
Jakąż, o bracia! boleścią niezmierną
Krwawię me serce, że ten bój ohydny
W serce braterskie pchnięty cały. O Boże!
Nie karz nas srogo za to krwi przelanie.
Nie dopuść Panie klęsk straszniejszych jeszcze,
I kiedy dłoni trzeba będzie mężów,
By nas stać było na odpór. Daj Panie!
Och bo straszliwe przeczucia mnie trwożą,
Drżę o tę matkę szarpaną przez dzieci
Tylu klęsk, mordów, zdrad, przeniewierstw, hańby!

Nie było jeszcze, odkąd Wisły wstęga
Oblewa niwy Polski... O! nie było.

(*Wchodzą powoli zbrojni Konrada i grupują się na przodzie sceny tak, że otaczają zebranych w kościele*).

DZIAD.

Zacni rycerze, witajcie! witajcie!
Białemu dziadu grosz dajcie.

IWO.

Niosę wam rosy niebieskiéj ochłodę,
I serce wdzięczne całe wam przynoszę.

(*Idzie z relikwiarzem ku Henrykowi, ten go całuje przyklęknąwszy, kropi go wodą święconą.—Rycerstwo Henryka zbliża się przed ołtarz do balustrady. Iwo im daje do całowania relikwie i wodą ich święci*).

IWO.

Asperges me, Domine, hysopo et mundabor
Lavabis me... etc.

(*Zbrojni Konrada wchodzą znowu po jednemu i zostają na przodzie sceny oddzieleni od rycerzy Henryka*).

DZIAD.

Zacni rycerze, witajcie! witajcie!
Białemu dziadu grosz dajcie.
To chyba obcy, gdy tak skąpią słowem,
I groszem skąpią.

IWO.

Co tam za ludzie w ciemnościach pod chórem,
Których źrenice by wilków się błyszczą?
Czemu od świętych pokarmów stronicie?

(*Wszyscy, którzy byli blizko ołtarza, oglądają się po za siebie i wydają okrzyk przerażenia. Konrad ze zbrojnymi wchodzi drzwiami z lewéj przy ołtarzu*).

GŁOSY.

Zdrada! zdrada! To Mazury Czarta!

KONRAD.

A owdzie on sam, pozdrawia was.

SCENA 3.

CIŻ, KONRAD, ZBROJNI.

DZIAD.

A Słowo stało się Ciałem!
Toć to on, Mazur-Czart!

GŁOSY.

Do broni! zdrada! zdrada!

KONRAD.

Niech miecze wasze spią,
Bo żaden żywym ztąd nie wyjdzie.
Kościół opasan w koło
Memi wiernemi roty.
Henryku, włożysz pęta
I w lochach Czerska chowan będziesz..
(Do rycerzy)
Strach wam, rycerze, zbielił lica
Jeszcze niedawno tak rumiane.
Wy zwycięztw hymn radosny
I klątwy na Konrada
Sypaliście garściami;
A teraz trwoga blada
Przybiła was do ziemi.

HENRYK.

Nie trwogi to, lecz zgrozy duch nas owiał,
I dreszczem zmroził członki nam.
Jakież czartowskie wichry
W usługi ci oddane?
Zaledwieś cały uszedł z pola,
Hańbą okryty i błotem,
Już milczkiem, by gadzina,
Przyczajasz się i chwytasz
Bezbronnych, co ku Bogu
Pod świętym dachem modły korne
Wpokorze przyszli nieść.
Staję ci, Czarcie, wolen trwogi,
Ni prośb, błagania, ni rozpaczy

Ni narzekania jęku.
Spełń czyn hańby
Przy ołtarzach Chrystusa,
I więzy twoje kładź.

IWO (*wchodząc pomiędzy nich*).

Stój, poganinie! czynię przedział
Pomiędzy twą ofiarą
A kośćmi męczennika,
Który poległ za prawdę,
(*Jakby do siebie*)
To miara Bożego gniewu
Wypełnia się w całości.
Bóg bierze za narzędzie
Straszliwe złości kata
I chłoszcze niemi ziemię.
Lub może doświadcza wiernych mocy,
By w walce z wrogiem prawdy
Zhartować cnoty ich,
I blaskiem wiary świętéj
Rozjaśnić mroki ciemne.
Słuchaj Konradzie, zanim świętokradzką
Skalaną dłonią zbezcześcisz ołtarze,
Stawię ci obraz, który w duszy twojéj
Niezatartemi zgłoski się wypisze,
I wołać będzie w ostatniéj godzinie
Konającemu: Biada! biada! biada!

KONRAD.

Wołaj w powietrze—ja ciebie nie słyszę!
Henryku w drogę—a ty nie stój spornie.

IWO.

Och! będziesz słyszał. Tu jest Bóg nad nami!
Tu Chrystus wisi rozpięty na krzyżu,
I niegodnemu cud sprawi, że uszy
I oczy twoje rozewrzesz do słuchu.
I duszę całą utopisz w powieści,
Bo takiéj jeszcze nie słyszałeś dotąd.
Bo trwożne usta sług twoich nie rzekną,
Co ja ci powiem: Mazowieckie książę!
Przeszedłem wczoraj szlak ziemi nad Wisłą,

Kędy twojego orła panowanie.
Wieszże, nieszczęsny ty władco bez serca,
Czém się ten straszny szlak ziemicy znaczy?
Znaczy się głodu okrutnego plagą,
Znaczy się jękiem ofiar przeraźliwym,
Znaczy cmentarzem bielejących kości.
Twoi poddani zjadają się wzajem;
Matka niemowlę, co jéj piersi kąsa
Z wściekłego głodu—zabija, by potém
Ciałem dziecięcia rozpaczny głód karmić.
Zebrałem chleby — wszystko ziarno wziąłem
Z moich spichlerzy i rzuciłem w paszczę,
Lecz ono było kroplą wody w morzu.
Wszystkie listeczki z drzewa objedzone —
Zda się Maj miesiąc w Grudzień zamieniony.
Ziemia ta cała wygląda tak smutnie
Jakby czekała dnia Sądu strasznego,
Jakby już rodzić zaprzestała wiecznie.
Imię twe, książę, z przekleństwem złączone,
Mazura-Czarta uczą kląć ojcowie
Małe chłopięta i do zemsty wdrażać.
Gdzie jęk największy — gdzie rozpacz zasiadła,
Gdzie już nadziei kotwica przepada,
A czarny jako piekło smutek owładł,
Tam twoje imię powtarza się gromem.
Twojego Mieszka lud przezwał *Kościsko*,
Bo mu z pod płowych włosów biała czaszka.
Niby kościana, obnażona błyska.
Ile dni głodnych i nocy bezsennych
Spędzili biedni, tyle ciosów krwawych
Na wyrodnego twego syna spadnie.
Chceszże dorzucić do szali, co zwisła
Już na dno samo—jeszcze zbrodni tyle,
Rzucić, by miarę przebrała i padła
W głębokość piekieł? O przestań, Konradzie!
Nie folguj chuci, co z piekła płomieni
Rodzi się w tobie—odstąp, a Bóg dobry
Przebaczy jeszcze.

KONRAD.

Mało o to stoję.
Jeślim przeklęty, niech będę do pełni.

Ja się w połowie nie zatrzymam drogi,
A co mi na niéj zawadza, rozdepczę.

IWO.

O Boże! w duszy téj otchłaniach
Sumienia umilkł głos.
Zeszlijże grom, o Panie!
I zbudź w téj piersi
Ludzkiego bicia tętna.
Konradzie straszny, droga twa
Pokotem ofiar krwawych słana
Kończy swój nędzny kres.
Tego książęcia ty nie zmożesz
I Piastów świętéj korony
Nie chwycisz w brudne dłonie,
Bo jéj strzegą Anieli.
A bój ten niecny, który toczysz z księciem,
Co błogosławieństw i dobra tysiące
Na lud swój zlewa—co go karmi, uczy,
I drogę Pańską gotuje mu w niebo,
Jakąż korzyścią wypłaci się tobie?
Jego to rządy znaczą się błogością,
A twoje mordem, łupieżą, ohydą.
Za nim tysiące podniosą miecze!
Za nim kościołów ozwie się dzwon,
Za nim lud cały jak jeden mąż
Wstanie, by zemstę w twe piersi nieść,
A ciebie czeka przekleństwa grom,
Ohyda czeka i nicości piętno.

KONRAD.

Precz mi, puszczyku nocny!
Ja z twoich klątew szydzę,
Jużem połknął ich tyle,
A żyję zdrów i cały
I silny by z granitu.

IWO.

Ma klątwa pieklem ci zacięży,
Bo ją z pod duszy wydobędę.
I krwawe ci łzy cisnę do niéj.

KONRAD.

Jeszcze raz precz mi z drogi,
Bo trupem cię położę!

IWO.

O! uderz w piersi przy ołtarza stopniach!
Życie z radością poświęcę męczeństwu.
Koronę za to błogosławionego
Jak on Stanisław święty dziś wywalczę.

KONRAD.

Nie! téj ci chluby nie zostawię,
Będziesz żył, i świadkiem będziesz
Tryumfów moich blasku.
(*Konrad odtrąca Iwona—porywa Henryka i oddaje go straży swojéj*).

IWO.

Świadkiem zgnilizny twéj, robaku.
Uderzcie w dzwonu jednę stronę!
Śpiew psalmu niech się ozwie.
(*Dzwon uderza w jednę tylko stronę.—Księża biorą świece do rąk—śpiewają psalm: Deus, laudem meam etc.*).

IWO.

Przeklęty jest Konrad, zwany Czartem,
Mazowsza były książę.
Przeklęty niech będzie w domu
I na dworze przeklęty.
Przeklęty w mieście i na roli,
Przeklęty niech będzie siedząc,
Stojąc, jedząc i czyniąc.
Przeklęty we śnie i w jawie,
Zdrowego członka niechaj nie ma
Od stopy aż do głowy!
Niechaj wnętrzności mu wypłyną
A ciało robactwo stoczy.

KONRAD (*śmiejąc się*).

Ha! ha! ha! ha!

IWO.

Przeklęty z Ananiaszem,

I z Zafirą przeklęty!
Z Judaszem zdrajcą czarnym
Z Abironem, z Datanem,
Których ziemia pożarła!
Przeklęty z Kainem mężobójcą!
Mieszkanie jego spustoszone
I płód jego zgubiony!

KONRAD
(*zatyka uszy i wybiega*).

IWO.
Niech będzie wymazany z żywota księgi,
I sprawiedliwych regestru.
Pamiątka jego niech zaginie.
Niech na sądzie ostatnim
Przeklęty będzie z diabłem,
Z aniołami ciemności,
I niech zginie w przepaściach!
(*Rzuca świecę na ziemię, depcze ją nogą, za nim księża czynią to samo, powtarzając wszyscy*)
Fiat! Fiat! Fiat!
(*Obecni przez czas klątwy padli na kolana zasłaniając twarz rękami*).

W zamku Konrada w Czersku.

SCENA 4.

Wchodzi JUDYTA *ciągnąc* MIESZKA *za rękę.*

JUDYTA.
Pójdź tu, nędzniku!... nie trwoż się, pójdź!
Ja cię nie skarcę .. bo i jakaż kara
Za taką zbrodnią przystałaby tobie?
Tyś tyle winien co i to żelazo.
Nie tyś zasłużył, rozbójnicze dziecko,
Bóg sprawiedliwy wymierzy ją w czasie,
Może nie tobie, bo tyś jéj nie pojął;

Tyś, nikczemniku, nieświadom twych czynów.
Rzeknij mi tylko, co mówił w skonaniu?
Słowa ostatnie, co mu uleciały
Z piersi przebitéj, należały do mnie;
Te słowa... słyszysz?... powtórz mi je!

MIESZKO.

A puścisz mnie Judyto?

JUDYTA.

Téj chwili będziesz wolnym.

MIESZKO.

Więc zwolnij twoje dłonie,
Co, by żelazne kleszcze,
Trzymają spętanego.
Gdyby tak każda dziewka
Tyle sił miała w ręku,
Nie dotknąłbym się żadnéj.
(Judyta zakrywa twarz rękami).
Czy ty płaczesz Judyto?

JUDYTA.

Boże potężny, co dzierżysz losow szalę,
Sprawiedliwości Bogiem Cię zwą!
Spraw, by mój rozum w téj rozpaczy czarnéj
Bluźnierstwa głosem nie ozwał się.
Już nie chcę twoich słów,
Nie powtarzaj mi mowy
Równéj aniołom raju.
Z brudnych twych ust
Skalanaby wybiegła.

MIESZKO.

Nie żałuj tego psa,
Tyś chrzciła go—a on
Poklusem uczcił zgon.

JUDYTA.

Coś ty wyrzekł ohydny?
Szyderstwem draźnisz ranę,

I pastwisz się katowsko
Nad bolem moim srogim.
Odejdź — uciekaj!... zostaw mnie.
(Wchodzi Konrad).

JUDYTA.

To on! z czartowską twarzą,
Z rękami cuchnącemi,
Czerwonemi od krwi!
On!.. co by trzodą zwierząt,
Ludzkiém frymarczy ciałem.
On!... kędy stopę stawi
Tam zniszczenie i jad.
On!... dla którego świat
Jest li tortury pastwą.
I co pięknością błyszczy,
Co bóstwa nosi cechy,
Zniszczenia darzy grobem,
Och on!... to ojciec mój! *(wybiega w boczne drzwi).*

SCENA 5.

MIESZKO, KONRAD, *późniéj* AGAFIA.

KONRAD.

Czy co dojrzała na mém czole?
Z zgrozą wlepiła oczy
W moję twarz i na ręce.
Czy czartowskie przezwisko,
Którém mnie ludzie zowią,
I dzieci moje straszy?

MIESZKO *(który przez czas poprzedniéj sceny patrzał wkoło siebie w obłąkaniu i jakby odganiał od siebie).*
I tu pełno tych myszy,
Myślałem, że w komorze
Tylko gnieździć się rade.
(Chce odejść).

KONRAD.

I ty uciekasz? Pójdź tu, Mieszku!

Pójdź i do ojca ramion się tul.
Czemu drżysz, nędzny?... mojaż twarz
Takim cię strachem ziębi?

MIESZKO.

Ja się nie trwożę ciebie,
Tylko patrzę na roje
Tych myszy, co się wiją.
Czegożbym się miał bać?
Dziwię się tylko wielce:
Zkąd w zamczysku aż tyle,
Tego plugastwa wzrosło?

KONRAD.

Coś powiedział, głuptasie?

MIESZKO.

Każ ty robić zatrzaski,
I pułapki olbrzymie;
Bo te plugawstwa roje
Zagryzą nas do szczętu.
Czy widzisz tego szczura
Jak ogonem zamiata?
Tu drugi sunie... trzeci...
Och! ratuj mnie Judyto,
Patrz! pod stopy mi leci.
(*Rzucając sztyletem*).
Precz mi, precz mi! Och ratuj!
Coraz więcéj ich bieży!

KONRAD (*chwytając go*).

Przy kuflu nędznik zapomniał rozumu.
Otrzeźw się... popatrz... tu nie ma nic z tego
Co ci się w mózgu twym pijanym plącze;
Jest tylko ojciec, co plagi wyliczy.

MIESZKO.

Och bij! bij! zabij! Jaskołdzie jedyny!
Precz, zgrajo wściekła! Ja do Wisły lecę,
Siadam do łodzi i sunę na wodę;
Tam mnie już żaden nie sięgnie z was.
(*Wyrywa się i wybiega*).

KONRAD.

Hej straży, do mnie! (*Wchodzi straż*).
Pośpiesz za książęciem,
Co mi w gorączce majacząc wyleciał.
Miéj go na oku, bo głową nałożysz. (*Straż odchodzi*).

KONRAD (*po chwili*).

Krystyn go przeklął, a potém znów Iwo.
Przeklętym w płodzie i w rodzinie całéj.
Czyżby on trafił tak srogo tą klątwą?
Przeklętym w dzieciach... a mój Kaźmierz dzielny,
I mój Ziemowit, czy także przeklęci?
I dziewka moja, dorodna Judyta?
„Twojego Mieszka lud nazwał Kościsko,
Ile dni głodnych tyle przekleństw rzucił.“
Zkąd mi te brednie?
(*Wchodzi Agafia*).
Twój pieszczoch w gorączce
Pobiegł ku Wiśle.

AGAFIA.

Mój Mieszko w gorączce!
I ty tak chłodno to mówisz człowieku?
Gdzie on? Tu przyjmij żonę Henrykową,
Która o wolność męża przyszła prosić,
A ja za Mieszkiem biegnę.

KONRAD.

Stój, szalona!
(*Wybiega za nią*).

SCENA 6.

JADWIGA *wchodzi* z JASKOŁDEM, *późniéj* JUDYTA.

JASKOŁD (*wprowadzając Jadwigę*).
Raczcie wejść, księżno.

JADWIGA.

Niech błogosławieństwo
I łaska Boża będzie nad tym domem.

JASKOŁD.

Tu przekleństw brzemię oddawna zawisło,
I Bóg w tych murach oddawna nie gości,
I jeśli chcecie tu coś zdziałać, pani,
To Boga najmniéj trudzić wam należy.

JADWIGA.

O biedny człeku! jakiż jad szyderstwa
Leży w twéj duszy!

JASKOŁD.

Tutaj nam z nim dobrze,
W piekle śmiech szydny zdobi czartów twarze.
(*Odchodzi*).

JADWIGA (*sama*).

Dziwny ton w mowie u tego człowieka.
To dusza chora. Wszyscyż oni tacy?
Smutek ponury wisi na tych murach.
Boga wygnali. W całym grodzie huczą
Niby złych duchów wycia przeraźliwe.
O biedne dusze! Dozwólże mi Chryste,
Abym w te progi wniosła miru blaski,
I świętéj zgody oliwną gałązką
Rozweseliła te ponure ściany;
Abym te serca zbryzgane sromotą,
Świętéj miłości obmyła krynicą.
(*Po chwili*)
Niewiasta jakaś, co mi drogę zaszła,
Zimném szyderstwem powitała w progu.
Ni pozdrowienia, ni iskry uczucia
W jéj bladéj twarzy nie zdołałam odkryć.
(*Judyta wchodzi z prawéj komnaty ze sztyletem, zamykając starannie drzwi*).

JUDYTA.

Skończy się to nędzne pasmo dni,
Co go wlokę szalona
Niby łańcucha ciężar.
Żegnaj kolebko zdrad i krwi!
I ty świecie straszliwy,

Co próżnią kryjesz w łonie,
Larwą odzian szczerości!
Wychyliłam już do dna
Twoje jady trujące.
Miłość, zbożność i cześć,
Wiara, nadzieja, Bóg,
To frymarki kuglarzy,
Płaszczyk błyskotek pełen
Kryjący dżumy marę.

JADWIGA.

Kto jest to dziewczę, z tą rozpaczą wielką?
Ten zamek cały jękiem mi odbrzmiewa!

JUDYTA.

Ktoś ty z tą twarzą łagodną i smętną?
Precz mi z przed oczu, larwa kryje węża.

JADWIGA.

Jużeś doznała zdradnych grotów ludzkich;
Tyś nieszczęśliwa, pospieszajże do mnie.

JUDYTA.

Jam nieszczęśliwa! urągasz mi, stara;
Pociechy nie chcę.

JADWIGA.

Ja też nie pociechę,
Nie marne słowo chcę ci dać niebogo,
Ja się mém sercem z toba dzielę całém.

JUDYTA.

Zkąd? ja cię nie znam.

JADWIGA.

A ja cię znam dawno.
Ty zwiesz się: *Rozpacz*. Och! ja was znam dawno.
To są najmilsi towarzysze moi.
Szukam ich śmiało, spotykam ich wszędy,
W chacie rolnika i w baronów zamkach.
Niosę im duszę, krzyż Chrystusów niosę,
I póty grzeję ciepłem czucia mego,
Dopóki uśmiech nie spędzi téj czarnéj,

Ponuréj troski... Wówczas jam zbyteczna,
Stronię też chętnie, kędy śmiech panuje.

JUDYTA.

Umiesz się wkradać do duszy tajników,
Umiesz dobierać tonów twojéj mowie,
Ażeby trafić w ton ınych uczuć...

JADWIGA.

Umiem.
To me rzemioslo. A gdy mi pogardą,
Gdy najgrawaniem płacą za me służby,
To błogosławię i dziękuję z serca
Tym biednym ustom, co mi wzgardę niosą.

JUDYTA.

A zkądżeś taka? Uciekaj... uciekaj!
Bo tu do krzyża przybiją cię ludzie.

JADWIGA.

O! niech przybiją, sroższém zniosla męki,
Bom ja jest matką, a syny i wnuki
Gwoździe mi w serce wbijali niebaczni.
Patrz, dziewczę biedne: jedyną nagrodą
Za te tortury, co mi świat gotuje,
Jest dla mnie jedna łza z ocz takich smętnych,
Jak twoje, piękna, jasnowłosa dziewko.

JUDYTA.

Jam tę twarz twoję już ongi widziała.
Lecz gdzie?... nie pomnę.— W marzeń moich niebie
Postać twa jednę z świętych w pamięć niesie,
Lecz którą—nie wiem. Tyś nie z ziemskich krain.

JADWIGA.

Jam biedna, grzeszna jak każdy z tych ludzi,
Ja tylko kochać umiem więcéj.

JUDYTA.

Och tak!
Twój wzrok, niewiasto, na serce mi pada,
I jakby balsam niebiańskiéj błogości
Goi tam rany... rozpływa się całe.

Ach! tak... patrz na mnie... patrz zawsze! O Boże!
Widzisz, jam biedna... zraniona, zdeptana,
Złamana srodze wichru burzą wściekłą,
Straciłam wszystko, co mi drogiém było;
Ty... ty... o dobra!... ratuj mnie... ja ginę.

JADWIGA.

O ty gołąbko!... Tyle czucia ronisz.
Takiemi tony żałosnemi jęczy,
Twa biedna dusza, że cię znam do głębi.
Całąś mi spowiedź wyśpiewała smutnie.
(*Wchodzi Konrad*).

SCENA 7.

TEŻ i KONRAD.

JUDYTA.

Ojciec mój wchodzi.

On!... tyś więc Judyta!
Drży twoja ręka i chwiejesz się cała.

KONRAD.

Księżnę Jadwigę pozdrawiam w mych progach.

JUDYTA.

Tyś jest Jadwiga!... w tych szatach, z tą mową!
Czyż takiém słowem księżne przemawiają?

JADWIGA.

Myśmy sługami sług naszych, Judyto.
A wszystkie służby niesiem Panu w niebie.
Widzisz Konradzie, serce téj dziewicy,
Nie wiedząc kto ja, przylgnęło do mego.
Znajdęż i w tobie, mój synu, to czucie,
Com je w twéj pięknéj córze obudziła?
Czyżby rdzeń drzewa wydawał szlachetne,
Piękne owoce, nie mając zarodku
Dobrego w sobie? Boże sprawiedliwy,
Jak ludzkie sądy są ślepe i marne!
Weszłam w ten zamek niby w grobu cienie,

A ot na wstępie to serce zdobyłam.
Bogdaj tak każde czuciem mi oddało!
O bogdaj w waszych stalowyeh pancerzach,
Gdzie duma, zawiść, chuć występna mieszka,
Serce szlachetne uderzało!—mniéjby
Swiat biednych matek i sierot mniéj liczył.

KONRAD.

Szlachetna księżno, to odwieczne prawa,
Nie nam ich zmieniać. Ależ spocząć raczcie
I cel wymieńcie, który was tu przywiódł.

JADWIGA.

I tyż się pytasz? Ty czczéj mowy słowo,
Zimne szyderstwo kładziesz mi na rany,
Gdyś osierocił małżonkę i dziatwę,
I puste ściany uczynił domostwu,
Które w gruz pada bez pana i ojca?
O! nie ukazuj téj szyderczéj twarzy,
Szczerość serdeczna niech na jaw wystąpi
Z całą swą barwą, wówczas się pojmiemy.
Wówczas war chuci i krewkich popędów,
Co w duszy burzą i spokój nasz mącą,
Nieprzytlumiony swobodnie wypłynie,
A już je wolę niż ten uśmiech Czarta.

KONRAD.

Dobrzeście rzekli, szlachetna Jadwigo:
Jam nie do dworskich szydnych słówek mistrzem.
Czém dusza tętni, to na jaw dobywam.
Wyście za księciem uwięzionym przyszli.
Lubom rad wielce wam, dostojna pani,
Ale daremnie droga wasza zbiegła:
Księcia nie puszczę, dopóki Krakowa
Sam nie odzierżę, Pudyka nie strącę.
Jam Henrykowi nie stawał upornie,
Dopóki milcząc w swoim Szlązku siedział;
Lecz kiedy w sprawy Leszkowe się wmieszał,
Bój będzie kipiał dopóty, aż jeden
Zostanie panem spuścizny Leszkowéj.

JADWIGA.

I mój małżonek będzie liczył głowy,

Które ty strącisz w tym ohydnym boju!
I znów zapełnisz puste pola nasze
Ciałem twych braci i krwi czarnéj strugą;
Znów rozpacz, ucisk, jęków wycia straszne
Ozwą się chórem na przestrzeniach Polski.
Dosyć Konradzie! *(Pada na kolana)*.
Patrz, jam jest żebraczką
Dzisiaj przed tobą — a ty żebrakowi
Dajesz jałmużnę, boś szczodry jak Cezar.
Nie cofasz ręki. — Jam księżną żebraczką,
Daj mi jałmużnę równą księcéj mierze,
Daj mi jałmużnę litości nad mężem.

JUDYTA.

O Boże wielki, co patrzysz z wysoka
Na twych wybranych! nie daszże zawładnąć
Tym czystym duchom nad ciemnoty piekłem.
Powstańcie, księżno... jam omdlenia blizka;
A ty mój ojcze, czegoż czekasz jeszcze?
Podnieś tę świętą z kolan, uczcij godnie,
Spełnij jéj prośbę, bo inaczéj kamień
Wstydem zapłoni swe lica, łzy roniąc.

KONRAD.

Powstańcie pani, jam niegodzien hołdu.
A ty, Judyto, oddal się z tych komnat.
Sprawy téj wagi ciebie nie dotyczą.

JADWIGA.

O! niech zostanie, bo ja mówić będę
O losach dzieci naszych. One pewniéj
Złączą nam stare i skostniałe dłonie.

KONRAD.

Nic tu wspólnego nie mają z tą sprawą.

JADWIGA.

Och! mają więcéj niż dociecbyś umiał.
Nieszczęsne matki, coś ich dzieci biedne
W krwawych rozterkach tych wygubił marnie,
Klną twoje plemię niewinne tych zbrodni.
Czujesz, nieszczęsny, tych przekleństw potęgę?

Gdyby twe dzieci, twe nadzieje całe,
Grom pomsty Bożéj za twe winy krwawe
Zniszczył i podciął twego domu drzewo?
A toż to naszéj lepszéj doli świadki:
One obrazem téj szlachetnéj pory,
Co się to pięknéj młodości zwie porą.
Ich młodość, krasa i ten żywy obraz
Naszego kształtu z upłynionych czasów,
Znów nas przenosi w lepsze czasy owe,
Gdy dusze nasze niezbrukane błotem,
A im podobne rwały się w niebiosa.

KONRAD *(do sługi).*

Pospiesz do księżny, niech mi zaraz powie,
Co z Mieszkiem słychać?

JADWIGA.

Rzućmy dziś pychę i występne chuci,
I żyjmy dla nich, przez nich tylko.—Słuchaj,
Siejmy na przyszłość—niechaj dziatwa nasza
Zbiera owoce z téj siejby. Konradzie!
Niech nasze błędy w zapomnienia fali
Czas stary grąży. Bo patrzaj, Konradzie:
Szlachetne dzieci, to błogosławieństwo,
To łaski Bożéj widome świadectwa,
A tyś ją posiadał w całéj pełni, bracie.

KONRAD.

Tak, tak, to prawda: Bóg mi błogosławił,
Gdy mnie obdarzył synów pięknych wiankiem.
Wasze mi słowa otuchę do serca,
Pociechę niosą.

JADWIGA.

Posłuchaj, Konradzie:
Gdy doniesiono, żeś porwał Henryka,
Mego małżonka, z przed ołtarza stopni,
Upadłam na twarz... i pótym leżała,
W prochu przed Panem modląc się za ciebie,
Aby ci w serce zesłał Ducha swego
I mnie oświecił, co mam począć biedna,
Aż Bóg litosny objawił mi myśli,

Co nas pogodzą; i wstałam szczęśliwa,
I kostur wziąwszy do dłoni, przychodzę,
By ci objawić tych myśli osnowę.
Ty masz dorodnych trzech synów Konradzie,
Jam wychowała trzy gołąbki białe,
Cnót ich uczyła, poświęceń, zbożności;
One twojego domu krasą będą,
One ci szczep twój odrodzą, Konradzie!
A tę dziewicę dasz Opolczykowi.

JUDYTA.

Coście wyrzekli? O szlachetna pani!
Nie zagłębiajcież żelaza w mych piersiach!

JADWIGA.

Jam cię drasnęła wbrew woli, Judyto!
Darujże staréj, którą oczy zwiodły.
Toś ty płakała po kochanka stracie.
(*Do Konrada*)
Cóż mi odpowiesz, Konradzie? Ty milczysz?
Przywołaj księcia Konradzie... przywołaj!
Ja wasze dłonie pd bratersku zwiążę,
On ci się rzuci w ramiona serdecznie,
I wieczna zgoda węzłami krwi stanie.
Już widzę w tobie tę iskrę uczucia,
Pochmurne oko jasném światłem strzela,
O! ty méj piersi zranionéj dasz ulgę.
Daj! daj Konradzie! Bóg nad nami w niebie
Na ten się związek uśmiecha przyjaźnie.

KONRAD (*do służby*).

Wprowadzić księcia.

JADWIGA.

Łaska Boża z tobą!

KONRAD.

Szlachetna pani, jakimże wy cudem
Czytać umiecie w ludzkich myślach jasno?
Nim przybyliście, jam już marzył o tém.

JADWIGA.

To Boża wola.

KONRAD.

Niech się iści w pełni.

JADWIGA.

A ty, dziewico, pójdziesz w moje ślady,
Ty zahartujesz ducha siłą męża.
Niech w tém skarlałém pokoleniu błyszczy
Jako dyament twoja cnota czysta.
Ty nam pomożesz skojarzyć te węzły;
Siła niewiasty leży w poświęceniu,
Trzeba nam matek, i żon świętych trzeba,
Aby w tym mroku blask prawdy szerzyły.

KONRAD (*n. s.*).

Błogosławieństwem Bóg mnie obdarował!
W tym świętym związku widna jego wola.
Gdzież wasze klątwy, szaleni krzykacze?
Bogatém wianem Brodacz skąpy sypnie
I na Szlązk wróci—reszta pójdzie gładko.
(*Wchodzi Henryk pod strażą*).

SCENA 8.

CIŻ i HENRYK.

JADWIGA (*klękając przed nim*).

Mężu i panie!

HENRYK.

Wy tutaj, Jadwigo?

JADWIGA.

Jam tu niegodna, by cię do dom wrócić.
Jam przebłagała Konradową dumę.
Wracasz nam panie... ale wprzód braterską
Dłoń podaj księciu.

HENRYK.

Ja mu dłoni—nigdy!
Dłoń ma zdradzieckiéj nie chwyci prawicy.

JADWIGA.

Panie mój! mężu! chrześciańskie książę!
Tyż Konradowi nie dorównasz cnotą?
I gdy on rzucił pychy jędzę czarną,
Tyś się w nią odział — ty, rycerzu Boga?

HENRYK.

Wstańcie, Jadwigo... poniżacie godność,
Mojego orła poniżacie tarczę.

JADWIGA.

Ja jéj nie noszę — jam sługa Chrystusa.
On poszanował we mnie matkę, żonę,
A ty, Henryku, o orła się troskasz,
Więcéj niż o mnie... Patrz... on czeka... pójdźmy,
Nie daj ostygnąć jego dłoni hardéj,
Bo już raz drugi nie starczy mi siły.
(*Henryk po chwilowém wahaniu zbliża się do Konrada — Jadwiga łączy ich ręce*).

KONRAD.

Przebaczcie, bracie.

HENRYK.

Przebaczcie wzajemnie.

JADWIGA.

A Ty, o Panie, błogosław nam z góry.

JUDYTA (*do Jadwigi*).

O duszo piękne w męczeńskiéj koronie!
Jakże cię wielbię, ty jutrzenko jasna!
Tyś rozwidniła tego lochu ściany;
Jam twoja, bierz mnie i prowadź przez ciernie.

(*Zasłona spada*).

AKT V.

W Prussiech—Okolica lesista.

W głębi święte drzewo, dąb kolosalny ścięty i powalony na ziemi, obok niego posągi potłuczone bogów.

SCENA 1.

KREWE *siedzi na pniu dębu ściętego; wchodzi* SAMBO *w otoczeniu zbrojnych.*

SAMBO.

O Krewe, Krewe! Bogowie potężni,
Takiż to koniec gotujecie krwawy?
Tę białą głowę na szyderstwo wichrów
Na pośmiech, wzgardę wystawiacie. Starcze
Wstań i pójdź z nami, schronimy twą starość
U pobratymczéj Świętéj Żmudzi plemion;
Oni czekają, aby wspólnie z nami
Krzyż zrąbać wrogi.

KREWE.

Krzyż stać będzie silnie.
Wy nie sprostacie w mocy, by go zniszczyć.
On zawładł światem. Bogowie upadną!
Lejcie krew szczodrze tych gości z za Odry.
Żegnajcie bogów. Krzyża znamię chwyćcie,
I własną bronią Niemców gromcie chytrych.

SAMBO.

I tyż, o Krewe, te myśli nam rzucasz?
Wiesz ty, że cala Prutenów kraina,
Kędy ją Wisła oblewa sinawa,
Dymi krwią ciepłą—a ołtarze bogów
W pyle zdeptane? Tysiącami Niemiec
W pień nas wycina, albo topić każe.
Nie ma już mowy o chrzcie i o krzyżu,
Tylko o łupy trwa bój, o zagrody,
O ziemię naszę zlaną krwawym znojem
Dziadów i ojców.

KREWE.

Toż brońcie jéj, brońcie!
To samo znamię, którém Niemiec błyska
Na piersi krwawéj, wy weźcie za godło
I w bój okrutny.

SAMBO.

A wy, ojcze biały?

KREWE.

Ja tutaj umrę, na tych szczątkach. Spiesz się,
Bo lada chwila Niemcy tu nadciągną.
Wymordowali Romowe, i z łupem
Ciągną w te strony krwią pijani naszą.
(Słychać grzmot w oddaleniu).
Słyszysz Prutena słowa w gromach jasnych?
On tu przemawia do sługi. Ty odejdź.
Na zgliszczach bogów skończę. Ty nie słuchaj
Téj strasznéj mowy, tybyś jéj nie pojął.
Idź! Ja rozmawiać z nim będę przed skonem.

SAMBO.

Chrońcie bogowie tę głowę znękaną!
Daléj w tulactwo! bracia, z zemstą w duszy!
(Odchodzą).
(Grzmoty coraz bliżéj).

KREWE.

Stary Perkunie! i tyś stracił siłę.
Grzmot twój podobny do niewiast gwarzenia;
Nie jesteś już tém, czém ongi bywałeś.
Czyż i ty kornie przed tym nowym Bogiem
Pochylił głowę?*(Grzmot)*. Prawda? prawda stary?
Pod jego sztandar garnie się co może;
On syna starcu, i me córy pożarł,
Ciebie druzgoczą, wyśmiewają, depczą,
A ty bezsilny, mruczeniem posępném
Dajesz znak życia... ha! tyś karłem lichym.
(Silniejszy grzmot).
Tak! zagrzmij siłą, nędzny! wyostrz gromy
Co najsilniejsze wybierz z swojéj kuźni,
Wstrząśnij w posadach tę niewdzięczną ziemię,
Zniszcz ich ołtarze i wywróć z korzeniem

Ich świątyń szczyty, bo inaczéj przeklnę,
Pogardzę tobą, zeplwam i podepczę.
(*Grom uderza w ścięte drzewo*).
W martwy pień bijesz twojego ołtarza?
A mnie pomijasz, co ci wzgardą rzucam;
Byłożby prawdą... żebyś ty był sługą
Wyższego Pana, o którym ci Niemcy
Prawią nam dziwa? (*Grzmot już w oddali*).
Prawdą? Czarny boże!
Zabierzże starca w twe ciemne otchłanie,
Nie daj widokiem strasznym oczu karmić,
A życie całe pchnij w toń zatracenia.
Lecz i ty może straciłeś swe siły,
I tyś ustąpił potężniejszym?... Cicho!
Jacyś tu ludzie albo wilki dążą.

SCENA 2.

KREWE, *wchodzą* HERMAN von BALK, OTTO, GUNTHER, KRZYŻACY, JEŃCY PRUSCY.

HERMAN.

Rozbić namioty! Tu staniem przed burzą,
A psów niewiernych do drzew wiązać silnie.
Gdzie jest mój giermek? Daj dziryt mój! W imię
Świętego Piotra, bierzemy w dzierżenie
Tę ziemię całą krwią naszą zdobytą.
Ot, wbijam oszczep na znak praw wieczystych;
Tam na téj górze stanie zamek silny,
Który urągać będzie zawistnikom,
A fundamentem mu kości niewiernych.

GUNTHER.

Gdzież kościół stawisz?

HERMAN.

Wprzód dachu nad głowę
Dla ciała trzeba—wprzód, niźli dla ducha.
A wy mój ojcze, już nie sporzcie z nami,
Wracajcie do dom. Dla służby kościoła,
Która pod waszém władaniem zostaje,

Staranie, pomoc i wszystko nieść będziem,
Byle wprzód zakon zapuścił korzenie.

GUNTHER.

A oni z głodu, z nędzy niechaj giną,
Lub pod toporem pogaństwa padają.
Tak to spełniacie coście nam przyrzekli?
Gorzéj niż z knechty, niźli z służbą waszą,
Niż z niewolniki, z nami się ładzicie.
Za czyjąż sprawą, za czyjém staraniem
Dziś możny zakon urósł na téj ziemi?
A wy nam chleba skąpicie okruchów,
Nam sługom wiernym Chrystusa i Rzymu?
Wyście z pamięci zrzucili cel święty,
Który was wiódł tu—już o nawracaniu,
O chwale krzyża nie ma tu i mowy,
Tylko zaborów i łupów pragniecie,
Po co ta krew się leje potokami.
Kiedy z niéj plonów nie ma?

HERMAN.

Was w tem winić,
My burzym bogów—wy nowego stawcie;
Ale łakomstwu waszemu ni miary,
Ni końca nie ma. A władzyście chciwi:
Wybyście radzi, ażebyśmy w strachu
Złożywszy ręce drżeli i oddali
Pod wasze klucze dostatki i ziemię.
Z nami nie będzie tego co z Konradem.

GUNTHER.

O! głupi Konrad, dziś nie przed Prussami
Ale przed wami drżeć będzie. Lecz biada!
Rzym i my wszyscy staniem mu w obronie.

HERMAN *(n. s.)*.

Choćby świat cały! Zalejemy wrzaski
Niesforne złotem *(Głośno)* Kto tu pędzi cwałem?
(Wchodzi Dobrogost).

SCENA 3.

CIŻ, DOBROGOST.

HERMAN.

Czego żądacie?

DOBROGOST.

Ziemi naszéj żądam,
I ludzi naszych wygnanych haniebnie,
Wymordowanych. Dobytku ich, mienia,
Coście zbójecko wydarli niewinnym.
Jakież wy prawo do tych ziem rościcie?
To ziemie księcia przez chrześcian prawych
I ludzi zbożnych zamieszkane. Zkądże
Jako dziedzice oszczepem znaczycie
Granice wolne naszego władania?

HERMAN.

Wasz pan nie umiał dzierżyć téj dzielnicy;
Słuszna, że ten ją bierze co ją dzierżyć
I trzymać mądrze w swych rękach potrafi.

DOBROGOST.

Czy tak pergamin szanujecie, Niemcy?

HERMAN *(uderzając po mieczu)*.

To nasz pergamin, ten nam prawa pisze.

DOBROGOST.

Hermanie Balku! przeklęty łupieżco!
Zdrajczy, ohydny, przeniewierco Boga!
Rzucam ci wyzyw srogi w imię Tego,
Który najezdcę, rozbójnika skarci.
(Rzuca mu rękawicę).
Za tyle zdrady, nikczemności tyle,
Niebo i ziemia do pomocy staną,
Wyjąc przekleństwem wam, faryzeusze,
Zdrajcy krwiożerczy... O! nie mam imienia
Aby was nazwać za te czyny...

KREWE (*który wstał i przysłuchiwał się*).

Czekaj.
Ja ci go znajdę. Myślałem ja długo
Nad tym zamętem, w którym świat dziś tonie.
Wzywałem bogów moich, lecz ogłuchli
Lub oszaleli, zesłabli i znikli.
Przekląłem bogów i wołałem Tego,
Co nad nich większy—waszego wołałem.
A on mi światłem rozjaśnił mózg stary.
Nie ma Prutena—ni Poklusa nie ma:

Jest jeden mocny, on Bóg wasz nad nami,
Światły i jasny, drugi zły i czarny.
Tamtem li dobro—ten zło sieje w świecie.
Ci to są sługi czarnego—podłego,
A że się ludzie ku dobremu garną,
Oni włożyli larwę Boga światła,
Aby nią zmylić ludzki rozum słaby.
Och to są czarci czarnego włodarza!
Niechaj przeklęci będą krwią tą całą,
Co się z pod mieczy ich sączy zbójeckich
I niechaj marnie zginą wszyscy.

GUNTHER *(n. s.)*.

Amen.
Z serca przywtórzę tobie, starcze.

HERMAN.

Hola!
Wziąć mi to widmo.

KREWE.

Wprzód ręce wam uschną,
Zanim mnie dłonią dotkniecie plugawi.
Jam tutaj umrzeć przyszedł na tych zgliszczach
I mrę z rozpaczą, bo naród mój kona.
(*Słychać w oddali róg*).
Nie... nie... on żyje... gotujcie się wrogi,
Ostatnią chwilę nadzieja mi złoci.
A więc żegnajcie! (*przebija się i pada—wskazując ręką w górę*).
A ty im pomagaj! (*umiera*).

OTTO.

To jest róg Prussów.

HERMAN.

Do broni, rycerze!

GUNTHER.

Ja w powrót z wami, zacny Dobrogoście.

DOBROGOST.

W duszy się modlę za wygraną Pruss.

Komnata w zamku Konrada.

SCENA 4.

KONRAD *przy stole, na którym dzbany z winem.* JASKOŁD *mu usługuje.*

KONRAD.

Nie skąp Jaskołdzie, nalewaj do pełna;
Nie każdy dzień to tak się szczęśnie kończy.
Ty osowiały krzątasz się i milczysz.
Tobie w tém szczęściu też udział niemały:
Ja wierne sługi nagradzam sowicie,
Boś ty mém okiem, moją prawą ręką.
Leszek Goworka miał, ja mam Jaskołda.

JASKOŁD.

Gdzie mnie z Goworkiem równać, książę panie

KONRAD.

No, no, ty więcéj u mnie ważysz, więcéj.
Prawdać, korony nie dałbym za ciebie
Jak głupi Leszek, ale dałbym dużo.
(pije).
Patrzajże Jaskołd, jak się wszystko składa:
Prussy spokojne, bo ich Niemcy strzegą.
A tu znów Kraków cały odsłoniony.
Pudyk w pazurach. Brodacz siedzi cicho
I liczy posag dla mych chłopiąt chrobrych.
Opolczyk Judyt bierze bez posagu.
Wielkopolanie drżą dziś przed Konradem.
Stary Świętopełk do nory się schował.
Otwarta droga, choćby Ruś zdobywać;
Przycichło wszystko—czeka mego gromu.
Ja też tę ciszę straszliwie rozerwę.
A oni nędzni szydzili z Konrada,
Rzucali klątwy, straszyli gromami,
Piekła czeluście wskazywali w dali.
A jam z tém piekłem tak się cały zbratał,
Że mi w niém siedzieć jakby ano w raju.
I wciąż brodziłem, com zapragnął, zdziałał.
I stoję silny dziś więcéj niż kiedy,

Bom poznał nicość tych widziadeł marnych.
I gdzież te siły, coby mnie zwalczyły?
Dopóki ręka dzierżyć miecz podoła,
Potąd Konrada stanie zawdy.

JASKOŁD (*n. s.*).

Głupi!

(Krzyk Mieszka za sceną).

KONRAD.

Zkąd te okrzyki? To Mieszko niesforny
Pogroź mu Jaskołd... Kiedy ojciec doma,
Niechaj rozpustnych szalów się wystrzega.

SCENA 5.

MIESZKO *wpada przestraszony, blady—oczy obłąkane—z mieczem; za nim* AGAFIA.

MIESZKO.

O! te przeklęte pożrą mnie ze szczętem!
Wołajcie księży niech wodą święconą,
Niech kredą świętą koło mnie zakreślą.

KONRAD.

Przestań, pijaku! trzymaj go, Jaskołdzie!

AGAFIA (*do Konrada*).

Głupi człowiecze, nie widzisz, nie czujesz?
Toż on szalony, gorączka go zmogła.
(*Do Mieszka)* Mieszku mój biedny, ja tu nic nie widzę.

MIESZKO.

Boś ty przeklęta i on ojciec także;
Wyście szatani—więc ich nie widzicie.
A Judyt święta dojrzała je zaraz
I odpędziła mocą swoich zaklęć.
Szlijcie po Judyt... wyście ją wygnali...
O wy!... wy diabły! Precz zgrajo zajadła!
Czegoż się patrzysz, ojcze? ty pijany!
Czemuś niezdolen swym mieczem wypłoszyć
Tego robactwa... Czy wy nie widzicie,
Jak mi po głowie chodzą i kąsają!
Ogony długie... Do Wisły uciekłem

I w łódź wskoczyłem... a one wciąż za mną;
Jak one pływać umieją przeklęte,
A zdałoby się...

KONRAD.

Lekarza wołajcie!

AGAFIA.

O ja nieszczęsna! nic tu leki marne,
Lekarza wygnał i widzieć go nie chce.
(*Mieszko szamocząc się, przybliżył się do okna*).

MIESZKO.

Aha! tam skoczę... jam lekki i zwinny,
A wy przeklęte mnie nie dostaniecie.
(*Wyskakuje przez okno*).

AGAFIA.

Och! (*pada zemdlona*).

KONRAD.

Mieszku nieszczęsny! (*wybiega*).

JASKOŁD (*spokojnie patrząc przez okno*).

Zgruchotan na części.
Bóg nie zapomni choć nierychło. (*do Agafii*) Pani!

AGAFIA.

Mieszku mój, Mieszku!

KONRAD (*wchodząc*).

Trup z niego już tylko.
(*Agafia wybiega z krzykiem*).

KONRAD.

Biegnijcie za nią. Straszliwy Krystynie!
Twoje przekleństwo gromem uderzyło.

SCENA 6.

KONRAD, MŚCIWONG, *potém* CZAPLA, DOBROGOST, JASKOŁD, SŁUŻBA.

KONRAD (*do wchodzącego Mściwonga*).

A ty, co niesiesz?

MŚCIWONG.

Piekło niosę w duszy!
Widziałem Mieszka jak padł roztrzaskany;
A stokroć lepiéj, by twe dzieci taką
Śmiercią zginęły, niżby taką zdradą
Zatruły życie.

KONRAD.

Coś ty wyrzekł, nędzny!

MSCIWONG.

Kaźmierz Kujawy ci zagarnął całe,
Wypędza twoich rządców i włodarzy.
Ziemowit złączon z Świętopełkiem zdrajcą,
Mazowsza pragnie. Łowicz cały złupił,
Odebrał Rosprzę i Spicymierz zajął.

KONRAD.

Kłamiesz przeklęty... mój Kaźmierz, Ziemowit!

MŚCIWONG.

Nie kłamię... słuchaj!.. Gdyś z Brodatym sporzył,
Synowie twoi zaciągali wojska
I z pod ojcowskiéj uciekli opieki.

KONRAD.

Och, psy niegodne! Wylecieli z gniazda
I kąsać będą rodzica by psy!
Alem ja jeszcze żyw i cały,
I rózgę chwycę w dłonie,
By te szczenięta harde
Nauczyć pokory i czci.
(*Wchodzi Czapla*).
Z czém ty przychodzisz, mistrzu ty wielbiony?
Usłysz jak twoi uczniowie tu radzą:
Z mieczem na ojca i z wrogiem podchodzą.
To twe nauki, twa mądrość wysoka
Me pacholęta obróciła w zbójce.

CZAPLA.

Jam ich bojaźni Bożéj i cnót uczył,
Ale powolność wasza
Psuła moje nauki.

KONRAD.

Przednio, fałszywy mnichu,
Na mnie twój ciężar walisz.
Poźniéj zrobim rachunek:
Teraz mów, co mi niesiesz?

CZAPLA.

Złe nowiny z Krakowa.
Węgry w odsiecz przybyli
By Pudyka zasłonić.

KONRAD (*uderzając puharem*).

Czy ten dzień się nie skończy?
Czy dzisiaj piekło całe
Rzyga ogniem straszliwym?
A ty, przeklęty, sadła
Do tego ognia lejesz.
I wszystko w przepaść wpadło,
Me ziemie, dzieci, cześć,
Wszystko pochłonął wir.
A kto tym sprawcą był?
Kto mnie, by zdradny wąż,
Upoił jadem? Ten!

CZAPLA.

Jam był gorliwym sługą.

KONRAD.

Służyłeś sobie, nędzny,
I twoim braciom, zgrai,
Za to też kara cię nie minie.
Jeżelim kiedy miecz
Surowéj kary wzniósł
Sprawiedliwości płacąc dług
To będzie dzisiaj on.
Pochwycić go i zawieść
Do Fryca tortur silnych.

CZAPLA.

Mnie? tyś szalony—zapomniałżeś książę.
Że suknia moja...

KONRAD.

Och! nie zapomniałem
Tyś mnie nauczył płacić za me czyny:

Kościół wystawię Najświętszéj Krwi,
Com za Krystyna obiecał ci.
Precz z nim, do lochów!

JASKOŁD (*n. s.*).

Już przeważa szala!
(*Odprowadzają Czaplę*).

KONRAD.

W dzwon pogrzebny niech biją!
Zwołać mnichów i księży,
Niech nad przeklętym Mieszkiem
Odśpiewają rekwiem.
A gdyby się wzbraniali,
Podzielą Czapli los.
Z całym światem i Bogiem
Biorę się dziś za bary,
Albo w przepaście runę
Podeptany haniebnie,
Albo ich zmiażdżę w proch.
Ogień piekielny, co mi kipi w duszy,
Płomienne czyny na jaw wydobędzie.
Wołajcie roty! (*Do Mściwonga*) A ty, nędzny ptaku,
Coś mi tą czarną wieścią uszy rozdarł
I zbudził widmo krwi,
Pospieszysz ze mną w bój;
Inaczéj biada ci!

MŚCIWONG (*do Dobrogosta, który wszedł przed chwilą i chce się zbliżyć do Konrada*).

Stój Dobrogoście—nie teraz.

DOBROGOST.

Dzieciuchy!
Ja prawdę jasną i okropną niosę.
Czyż on nie mężem?—Niech się radzi głowy,
Jak to złe straszne, co nam na kark ściągnął,
Odegnać można.

KONRAD.

Daléj, więcéj jeszcze!
Czarci dziś ucztę w Czersku zgotowali:
Zasiądziem radzi... podawaj polewkę.

DOBROGOST.

Uczta dla ciebie, dla nas jęk rozpaczy.

KONRAD.

A tybyś, nędzny, chciał pieśni radości?
Dziś jęk rozpaczy i wycie niedoli
Jest mi muzyką z rajskich stron;
Pieści me uszy gdyby pieśń
Miłości lirą wydobyta.

DOBROGOST.

Chłońże ją całą i lubuj się nią.
Jak ta szarańcza z syryjskich puszcz,
Co liście drzewa i kwiatów źre,
Tak horda Niemców straszliwa mknie!
Całą Chełmińską obsiadła ziemicę;
Kędy się zjawią, wysysają głodni
Wszystkie pożywne soki z matki ziemi;
Po ich odejściu wygląda jak cmentarz.
I coraz więcéj ich się wlecze,
Twych rządców wypędzają
Lub wbijają na pal.
Srogości ich tygrysiéj
Chyba piekło dorówna,
A biednego Pipina
Przywiązano do drzewa
I jelita dobyto.
To muzyka Konradzie,
Co szpik w kościach porusza:
Cieszże się nią dowoli.

KONRAD.

Ha! ha! ha! ha! ha! ha!
Wtórzcie czarci śmiechowi!
Całe piekło niech huczy
I w takt za mną podąży!
I tyś myślał, ty Boże,
Że mnie twą ręka zmoże?
Nie, dopóki mam siły,
Póki miecza udźwignę,
I wierne moje roty
Póki na blankach stoją,
Ja drwię przed zemstą twoją!

Miecza! miecza i zbroję!
Sprawię ucztę wspaniałą,
Wszyscy pod broń niech stają!
Czy słyszycie wy, tchórze!
To cóż, że Niemcy górą,
Że Kraków dzierżą Węgry,
Że synowie zdradzili
I że klątew grzmią gromy!
Póki ziemi i ludzi
I krwi w ludziach czerwonéj,
Nie zabraknie Konrada!

MSCIWONG.

Synowie wojsko wzięli,
Przeszły wszystkie chorągwie
Pod znaki Ziemowita
I Kazimierza znaki.

KONRAD (*po chwili patrząc w górę*).

On nie działa w połowie:
Zdruzgotanym straszliwie!
Z wiatru echem posępném,
Co po zamczysku dmucha,
Będę walczył, lub myszy,
Te co Mieszka zagryzły,
Będę z kryjówek płoszył.
I zostałem żebrakiem,
Świat mnie palcem pokaże.

DOBROGOST.

Rozumu weźcie przed się,
On wam lepiéj poradzi,
Niż ta buta szalona,
Co was trzęsie by febra.

KONRAD.

Rozumu? Nędzny człeku!
Ja siłą wzrosłem takim.
Tam gdzie siła stargana,
Nic z rozumu, ni z głowy.
Mnie w mózgu warem kipi,
A ten nędznik rozumem
Każe mierzyć me losy.

Serce pęka w kawały,
Jakby się rozpaść miało,
Ziemia z pod stóp mi bieży,
Widma białe latają
Okrążają dokoła.
Tam Krystyn... owdzie Leszek...
Dalej Bogusz z Warmonem.
Czy to dzień sądu dzisiaj?
Słońce we krwi się pławi,
A tu mroki piekielne.
Na przemiany z tém światłem
Krystyn ręką dotyka
I prowadzi. prowadzi
W otchłań ciemną... Och biada!
(*Pada zemdlony*).

JASKOŁD (*zbliżając się do Konrada*).
Siła złamana, lecz się duch kołace.
Już on mój teraz.
(*Do obecnych*).
Do łoża go nieśmy.

Podziemia w zamku Konrada.

(*Dekoracya z drugiego aktu*).

SCENA OSTATNIA.

KONRAD, JASKOŁD.

JASKOŁD (*schodzi ze schodów głębią z pochodnią, za nim* **Konrad**).
Postępuj książę! Jedyne to miejsce
Gdzie spokój mieszka, którego pragniecie.
Tu słońca promień nie odmierza czasu;
Sunie on zwolna, bez liczby i końca,
I ani człowiek spostrzeże, jak w progi,
Wieczności wkroczy.

KONRAD.
Zimne twoje słowa
I tak ponure jako te sklepienia.
Sądzisz Jaskołdzie, że tu mnie opuszczą
Te blade mary, co mi życie trują?

JASKOŁD.

Opuszczą pewnie, jeżeli spełnicie
Co wam zalecam.

KONRAD.

O! wszystko wypełnię,
Co twoja mądrość, Jaskołdzie jedyny,
Zdziałać mi każe...

JASKOŁD.

Ot! woda ze dzbanem,
A tu chleb czarny. Owdzie włosiennica
I dyscyplina. A za towarzysza
Ta uśmieęchnięta czaszka wam wystarczy.

KONRAD.

Ty szydzisz, nędzny!

JASKOŁD.

Już teraz nie szydzę;
Szyderstwom zgubił za tamtym ot progiem.
A jeśli czasem jakie słowo trefne
Z ust mi się wyrwie, to nałogu skutki.
Ja lat dziesiątki szydziłem, Konradzie,
Nicże dziwnego, że zimne szyderstwo
Tak mi przyrosło jak szata do ciała;
Ale niedługo zrzucę ją do szczętu.

KONRAD.

Słowa twe ziębią—ja patrzę się w ciebie,
I widzę innym niż dotąd, Jaskołdzie.

JASKOŁD.

Boć tu świat inny—tu grobów przybytek.
Spojrz co tu kości, a czy wiesz ty czyje?
Tu ich stosami wala się po ziemi,
A ty nędzniku zliczyćbyś nie umiał,
Ani rozpoznać czyje one. Prawda?

KONRAD.

Człeku straszliwy, ja się ciebie boję!
Poraz to pierwszy moję duszę trwoag
Tajemna dręczy.

JASKOŁD.

To przeczucia dreszcze.
To Bożych sądów już godzina blizka.
Znasz mnie ty? Powiedz... Mów kto jestem?...

KONRAD.

Nie wiem.
Twarz twoja dziwna, by owa tablica
Greckiego maga, przepowiada burzę,
A w oczach widzę nienawiści ogień.

JASKOŁD.

Jam synem Włosta: czy ty słyszysz? Włosta!
Dzisiaj przywracam swe miano rodowe,
Które w pogardzie wisiało tak długo,
I porachunku od ciebie wymagam.
Przez lat dwadzieścia łudziłem cię chytrze.
Tylko wy nędzni, co mordem dyszycie,
Co mordujecie ojców, matki, synów,
Potém z córkami zawieracie związki,
Wy tylko jedni mogliście uwierzyć
W tygrysie serce moje.

KONRAD.

O Jaskołdzie!
Nadludzką mową twoją mnie przygniatasz.
Tyleś lat larwę nosił na swéj twarzy,
I serce twoje zamknąłeś przed światem,
Czy to podobna! to snu mary dziwne.

JASKOŁD.

Takim cię dziwem ogarniają, podły,
Mego zaprzania i ofiary czyny.
W brudnéj kałuży, coć twe serce mieści,
Nie ma tam miejsca na żadne uczucie,
Coby pojęło mych męczarń katusze.
Tyś wymordował rodzinę mą całą,
Mnie niewolnika przykuł do swéj nogi,
Bo ci mój rozum, mój dowcip nad lata
Przyobiecywał korzyści z méj służby,
I jam się poddał pod twe jarzmo piekła.

Wkradłem się w łaski, uprzedzałem myśli,
Jakie twój brudny rozum ci poddawał;
Ale w mém sercu poprzysiągłem zemstę.
I ot przybyła wyczekana zwolna.
Konradzie Czarcie, tu położysz głowę!
Gotuj się na śmierć. W tém zamczysku czarném
Nie ma nikogo, prócz warty na blankach.
Twa Agafia synów szukać poszła.
Sam się zostałeś i tu skończysz marnie.
Nie wołaj—bo wiesz, że pomoc nie przyjdzie,
Nikt twego głosu nie usłyszy. Umrzyj.
Ty jeszcze wątpisz?... patrzysz by na marę?
Tobie snem zda się ta rozmowa cała?
Podobna iście do snu, a jest prawdą.
Gdybym li śmierci twéj pragnął nędzniku,
Byłbyś już dawno gnił. Bo cóż trudnego
Jak sztylet wepchnąć, albo jadu wsączyć?
Alem ja tobie zgotował rachunek
Z sumieniem twojém.

KONRAD.

Jaskołdzie mój dzielny!
Ciebie szaleństwa owładnęła zmora.
Ten zamek dziwném powietrzem oddycha.
Mieszko oszalał i ty za nim idziesz.

JASKOŁD.

Ty płazie podły, nie rozumiesz jeszcze
Całéj boleści, co mi żarła piersi
Przez lat dziesiątki; ale tu poczujesz,
Tu, nim twa dusza w otchłań piekieł zstąpi,
Widmo sumienia straszne wstanie w tobie.
Wtenczas wystąpią me czyny na jaśnię,
Co niegdyś oko twe bielmem okryte
Poziomych chuci dojrzeć nie zdołało.

KONRAD.

Więceś był zdrajcą... ha! nareszcie wierzę,
Choć moje serce zadaje mi kłamstwo.
Jam cię miłował, miłował, Jaskołdzie,
Więcéj miłował niż syna. Tyś zdrajcą?
Weźmiesz jak zdrajca zapłatę...

(*Wydobywa miecz z pochwy, ale złamany*).

KONRAD.

Ha, piekło!

JASKOŁD.

zCarci już dłużéj służyć nie chcą tobie,
Jużeś uprzykrzył i piekło i ludzi,
Umrzyj! (*idzie ku drzwiom*).

KONRAD.

Jaskołdzie! Jaskołdzie jedyny!
Stój! to nieprawda? Ty mnie zdradzać... za co?
Jam tobie nigdy nie wyrządził krzywdy.
A o twym ojcu, o twych braciach zdrajczych
Tyś już zapomniał. Wszak mawiałeś ongi,
Żeś się ich wyparł i miano rodowe
Na obce zmienił.

JASKOŁD.

Mawiałem tak, prawda.
I ludzi zacnych nienawiść dźwigałem.
Kopano nogą jako psa podłego,
Co swego gniazda wyparł się haniebnie,
I miasto zemsty wszedł w usługi wroga.
Ty tylko jeden w brudném sercu czułeś,
Nie wzgardę dla mnie jak inni, lecz miłość.
To Bóg tak zrządził—drżyj przed sądem jego!
Nienawidźże mnie teraz z całéj duszy,
Bo jak mówiłem, z tych lochów nie wyjdziesz.

KONRAD.

Nie, mój Jaskołdzie, ja cię nienawidzieć
Nie w mocy jestem; dziwem zdjęty cały
Ja w tobie wielbię tyle cnót i hartu,
Jam cię dotychczas nie cenił jak trzeba.
Twój rozum piękny i ta dzielność duszy
Na większe względy moje zasłużyła,
Niż ci ich dotąd dawałem zbyt skąpo.
Ja cię bogactwem osypię i ziemi
Rozległéj panem uczynię. Przysięgam!
Rzuć ten szał straszny, co ci głowę owładł.
Będziesz mi druhem, przyjacielem, synem,
I powiernikiem, doradcą, lekarzem.

Co każesz spełnię, pocznę inne życie,
Pod tym promieniem odrodzę się cały.

JASKOŁD.

Milcz, nędzny głupcze... bo mi obrzydzenie
Sprawiasz tém małpiém, kuglarskiém matactwem.
Ono w twych ustach wygląda ohydnie.
Jesteś mi gorszym od psa, co go chłoszczą,
A on językiem liże rękę wroga.
Tyle tchórzowstwa nikczemnego w Piaście,
Synu Kaźmierza i bracie Leszkowym,
Nigdym nie tuszył znaleźć.

KONRAD (*z wściekłością*).

Nędzny,
Ohydny zdrajco! teraz cię pojąłem.
Toś ty z Brodatym znosił się kryjomo
I wszystkie moje udaremniał plany,
Tyś sprawił zwłokę w odsieczy Semkowéj.

JASKOŁD.

Teraz potrochu czyny me przeglądasz,
Lecz to są małe zaledwie iskierki
Na tém ponurém tle mojego życia.
Gdy tu zostaniesz w spokoju grobowym,
Więcéj ich ujrzysz.

KONRAD.

Och ty przeklęty! bez miecza, bez dzidy
Ja dłońmi memi rozerwę cię w sztuki.

JASKOŁD.

Teraz znów jesteś czém byłeś Konrądzie.

KONRAD.

Precz, zdrajczy synu, dosyć naigrawanią!

(*Chwyta go.— Walka.— Jaskold powala go na ziemię*).

JASKOŁD.

Umrzyj nędzniku! Twa koléj skończona.

(*Wychodzi i zamyka drzwi na klucz*).

JASKOŁD (*za sceną*).

Klucz rzucam w Wisłę, dopóki ci chleba
I wody starczy, rachuj się z sumieniem,
A potém umrzyj.

KONRAD (*zrywa się*).

Jaskołdzie! Jaskołdzie!

JASKOŁD.

Niech noc posępna i cisza grobowa,
Toń niepamięci i nicestwa próchno,
Nad tym przeklętym grodem zapanuje,
Aż wstanie jasna jutrzenka pogody.

Słychać oddalające się kroki Jaskołda. Konrad w rozpaczy pada na ziemię, zasłona spada powoli).

O poezyach polskich i łacińskich Andrzeja Trzycieskiego

przez

Dr. KAROLA MECHERZYŃSKIEGO.

Trzycieski w literaturze naszéj na poczesne zasługuje miejsce, jako słynny czasu swego wierszopis łaciński, a razem jeden z pisarzy, którzy w początku XVI wieku, u zwrotu nowéj epoki, pierwsi otwierają zawód polskiego piśmiennictwa. Współczesny i przyjaciel Reja, podobny mu łatwością pisania ojczystym językiem i pochopnością do rymu, a wyższy nierównie nauką, przyłożył się snadnie do ogłady polszczyzny i równie w prozie jak i w wierszu przed innymi gładkiém się piórem odznaczył. Ściśléj jednak spoufalony z muzami łacińskiemi, do których przylgnął był od pierwotnego wychowania, z większém upodobaniem oddawał się łacińskiemu rymotwórstwu, i w tym zawodzie najwięcéj u spółczesnych pozyskał chwały.

Pod obu temi względami *Trzycieski* w dzisiejszéj literaturze nie ma należnego sobie dotąd ocenienia. Znaczenie jego, jako polskiego pisarza, ograniczono do saméj niemal *biografii Reja*, która jest wprawdzie znakomitym, ale nie jedynym prac i talentów jego pomnikiem. Łacińskie jego poezye poszły całkiem w zapomnienie; a kiedy inni rymotwórcy nasi łacińscy, jako to: Krzycki, Dantyszek, Janicki, Kochanowski, Klonowicz, Sarbiewski, doczekali już należnéj sobie rehabilitacyi, i w pięknych przekładach Brodzińskiego, Władysława Syrokomli i innych, z przyjemnością są czytani; o utworach *Trzycieskiego* dowiadujemy się zaledwo z suchych wzmianek bibliografii. Godzi się zatém powiedzieć o nich słów kilka.

Nie wszystkie poezye *Trzycieskiego*, tak polskie jak i łacińskie, doszły naszych czasów. Znaczna ich liczba, dla zbyt uszczypliwéj satyryczności i potępionych przez kościół mniemań religijnych, uległa zniszczeniu. Te, które wychodziły pojedynczo, do największych rzadkości należą. Łacińskie zachowały się w dwóch niewielkich zbiorach; ale niemała ich część, podobnie jak polskich, rozrzucona jest po różnych książkach w kształcie epigrafów, przygrawek poetyckich lub dedykacyi. *Trzycieski* dla wysokiéj nauki i dojrzałego w rzeczach naukowych sądu, wielkiéj u spółczesnych używał powagi: dlatego każdemu autorowi głos jego ku zaleceniu dzieła, wobec ówczesnych Zoilów, wielce był pożądany. Natrafiamy też w bardzo wielu książkach, bądź to na początku, bądź na końcu, wiersze *Trzycieskiego*, które obecnie zebrane, o ile się wyśledzić dały, mamy przed sobą.

Wszystkie w ogóle noszą cechę swego czasu. Z nich też jakożkolwiek wyrozumieć można charakter osobisty i fizyognomią pisarza, o którym zinąd zbyt szczupłe doszły nas wiadomości.

Paprocki w Herbarzu swoim (pod klejnotem *Strzemię*) powiada: „Był wieku mego *Andrzéj Trzycieski* S. S. R. M. (t. j. sekretarz królewski), człowiek nauki wielkiéj, który był prawie *ornamentum* królestwa tego, jako go niektórzy w skryptach swoich opowiadali. Był poeta *utriusque linguae non vulgaris*, przed którym przedniejszy nie był wieku mego. Wiele ksiąg pisał potrzebnych ku ozdobie ojczyzny, które uczonym nie są tajne.“ Wcześnie nabyta znajomość starożytnych języków greckiego i łacińskiego, powiodła go na drogę sklonnościom i usposobieniom jego odpowiednią. Uczył się początkowo od ojca, światłego męża, ucznia sławnego Erazma z Roterdamu, który z wielu uczonymi swego czasu w przyjaznych żył stosunkach i znaczną posiadał bibliotekę (1). Wyższe ukształcenie odebrał w akademii krakowskiéj, gdzie korzystając ze zbliżenia się do celniejszych nauką mężów, a zwłaszcza przysłuchując się odczytującym swoje prace wierszopisom, między którymi upodobał sobie szczególniéj *Jana Langa i Roizyusza* (*affuitque eorum recitationibus poëticis*), zapalił się do rymotwórstwa i rychło na téj drodze zdolności swoje rozwinął. Po uzyskaniu w Krakowie roku 1520 stopnia bakałarza, udał się na dalsze nauki do akademii lowańskiéj, gdzie do obu klassycznych języków przyłączył jeszcze znajomość hebrajszczyzny.

---

(1) Ojcem *Andrzeja Trzycieskiego* był *Jan*, szlachcic herbu *Strzemię*, obywatel Sanockiéj czy Sandomierskiéj ziemi; matka z domu Wielogłowska.

(Nie mógł w Akademii krakowskiéj, jak to o nim piszą, nauczyć się języka hebrajskiego od Stankara, bo na professora tego języka Stankar sprowadzony był przez biskupa Maciejowskiego dopiero w roku 1550). Zwiedził następnie Francyą, Włochy, Hiszpanią, Anglią i inne oświeceńsze narody, strawiwszy na téj *peregrynacyi* jak pisze Starowolski, znaczną część swojéj młodości. (*Hecat. p. 146*). Domyślają się niektórzy, że odbył tę naukową podróż z pomocą Decyusza, naówczas sekretarza królewskiego i rajcy miasta Krakowa, hojnego nauk i uczących się mecenasa. Pobudką Decyuszowi do zajęcia się *Trzycieskim* i wysłania go za granicę miała być przypisana mu w roku 1548 nader piękna *Elegia na śmierć Zygmunta I. (Janociana II. 273);* co się jednak nie zgadza z porą ukończenia nauk przez młodego *Andrzeja* w akademii krakowskiéj, stanowiąc różnicę czasu o lat blizko trzydzieści. Wprawdzie widzieć to z pism *Trzycieskiego*, że domowi Decyuszów wiele zawdzięczał względów—w dwóch miejscach (*Epigr. l. II*) nazywa Justa Ludwika Decyusza swym opiekunem i *drugim ojcem* (*culte loco mihi parentis*); nigdzie wszelako nie czyni wzmianki, aby jego nakładem jeździł za granicę, o czém na pochwałę swego dobroczyńcy nie byłby pewnie zamilczał.

Niewiadomy jest wreszcie zawód pierwszych lat jego młodzieńczych. W jednym tylko wierszu saficznym *Do przyjaciela swego Wojciecha Przetockiego* (*Sylvar.* III. 3), wspomina z goryczą cierpienia i niedole, które mu wiek pierwiastkowy zatruły. „Nazbyt już długo, Erato, tęsknisz (mówi) w żałobie, opłakując przygody mojéj młodości, i bolejąc nad srogością moich losów.“ Do jakiéj jednak pory odnoszą się i jakiego rodzaju były te przeciwności trudno odgadnąć. Nie rozstrzyga tu zagadki sama *Erato;* w pismach bowiem *Trzycieskiego* nie znajdujemy nigdzie wspomnień dawnéj miłości i ani jednego erotyka.

Wychowany w wierze katolickiéj, jakkolwiek podróżując za granicą zachwycić mógł nieco nowości religijnych, długi czas jednak pozostał na łonie kościoła. Pierwsze jego płody rymotwórcze ukazujące się od r. 1532, nie okazują jeszcze śladów odstępstwa — można w nich nawet dostrzegać żarliwego wyznawcę, jak np. w wierszu *do Galla* (*Epigr. l. I*), w którym szydersko herezyarsze temu czyni wyrzuty, *że w kazaniach swoich rozsiewał za pieniądze zdania kacerskie i wpychał bezkarnie dusze do piekła.* Późniéj dopiero, gdy od zejścia Zygmunta Starego powiał w Polsce śmieléj duch Reformacyi, skojarzony bliższemi stosunkami z drużyną czynniejszych nowowierców, zwłaszcza z Jakóbem Przyłuskim, Stankarem, Rejem, Stanisławem Lasockim, Strykowskim, Mączyń-

skim, do których i ojciec jego należał (1), przyjął zasady obcego wyznania, i ze zwykłą młodemu wiekowi gorącością czynnie je w początku popierał. Pisze między innemi Węgierski (*Slav. reform. p. 228*), że gdy Stankara, oskarżonego o rozsiewanie między młodzieżą akademicką zdań innowierczych, biskup Maciejowski uwięzić kazał i osadzić w zamku lipowieckim, *Trzycieski*, zmówiwszy się z kilku towarzyszami, wydobył go potajemnie z więzienia. Jerzy Czerny (Niger) podarłszy na kawałki prześcieradło spuszczał go z muru, a *Trzycieski* z Lasockim pochwycili spadającego i przeprawili potém do Dubiecka do Stanisława Stadnickiego. Kiedy znowu w roku 1551 doniesiono biskupowi Andrzejowi Zebrzydowskiemu, że w Iwanowicach, blizko Krakowa, odbywał się pogrzeb Dluskiego, dziedzica téj włości, na którym w zebraniu licznéj szlachty odprawiano mszą w języku polskim, przy jednéj tylko palącéj się świecy i bez żadnych innych obrządków, i że pogrzebem tym zarządzał *Trzycieski;* rozgniewany biskup pogroził mu, że go każe spalić na stosie — wszelako uszedł Andrzéj zagrożonéj kary. (*Lubieniecki Hist. reform. Pol. l II. c. 3*). W roku 1555 znajdował się na odprawianym poraz pierwszy synodzie prowincyalnym w Koźminku, miasteczku Ostrorogów, jako wysłannik ze strony Małopolskich zborów (*velut patronus ecclesiarum Poloniae minoris*), żadnego jednak na tym synodzie nie piastował starszeństwa, jak to mylnie o nim powiedziano (2). Jeździł w tymże samym roku, bo synod koźmiński trwał tylko dni dziesięć, do Królewca, przyciągniony czy to widokiem uzyskania jakiego miejsca u Alberta książęcia pruskiego, który już wcześnie podpisawszy wyznanie augsburskie, wielu przybywających tam Polaków nowowierców, między innymi Seklucyana, swoim nakładem utrzymywał—czyli namową tegoż Seklucyana aby do ułożonego przezeń kancyonału dorobił stosowne pieśni w języku polskim. Z téj podobno przyczyny na zwołany następnie w 1556 r. synod do Pińczowa nie przybył, o co go bracia spółwyznawcy mocno oskarżali. Niedługo jednak zabawił w Królewcu, bo już

(1) Mieszkał *Jan Trzycieski* w Krakowie. Zdarzyło się w roku 1546 że gdy zaprosił raz do siebie na obiad Frycza, Przyłuskiego, Wojewódkę i jakiegoś Belgijczyka nazwiskiem *Spiritus* (sam to Modrzewski opowiada), nim siedli do stołu, poszli do biblioteki nader zamożnéj *Trzycieskiego*, i tam przeglądając to tę, to ową książkę, zawiązali dysputę teologiczną, która późniéj na szersze wytoczona pole, dała silny popęd wkraczającéj reformie. (*Sylvae I. tract. 2 p. 81*).

(2) *Patronus* znaczy tu tyle co poseł albo rzecznik; takimi ze strony małopolskiéj byli razem z *Trzycieskim* Stanisław Lasocki, Hieronim Filipowski i inni, których wymienia Węgierski (l. c p 74). Od r. 1554 superintendentem w téj prowincyi był Felix Cruciger.

z początkiem roku następnego widzimy go na sejmie warszawskim, usiłującego swym wpływem przeszkodzić działaniom Lippomana, posła papiezkiego, wymierzonym przeciwko dyssydentom. Wpływ ten atoli ograniczył się na wydaniu zelżywéj satyry na Lippomana i wszystkich w ogóle katolików.

Właśnie pod te czasy Radziwiłł Czarny, z namowy kalwińskich spółwierców, zamierzywszy wydać Biblią w języku polskim dla swego wyznania, wezwał między innymi do téj pracy *Trzycieskiego*, który wraz z Jakóbem Lubelczykiem i Krowickim, zająć się miał głównie dokładnością polszczyzny, gdy inni pracowali nad samą korrekturą textu. Nowsza krytyka podała i tę rzecz w wątpliwość, chociaż o tém piszą zgodnie Węgierski, Sandius, Lubieniecki i inni. Do ich świadectw przyłączę tu z *księgi II Epigrammatów* własne i dość wyraźne *Trzycieskiego* świadectwo, który w *wierszu do Joachima Pelki*, senatora gdańskiego powiada: „*Ponieważ teraz zajmuję się pracą około Słowa Bożego, i język święty odwołuje mnie od Muz moich* (*Quia tractantem divini oracula verbi, avocat a Musis me sacra lingua meis), nie mam przeto czasu do pisania wierszy i dlatego mało ci ich posyłam.*“ Widać, że wtedy zatrudniał się przekładem Biblii Radziwiłłowskiéj, która po sześciu latach (w r. 1563) wyszła z druku w Brześciu. Inaczéj byłby się tu poeta wyraził, gdyby te słowa stosować się miały do poruczonéj mu od kalwinów Małopolskich *Agendy*, do któréj przekładu nie miał wcale ochoty, i o którą upominali się bracia, pisząc za nim do Litwy. Kogoż wreszcie mógł właściwiéj do pióra polskiego wybrać Radziwiłł, jeśli nie *Trzycieskiego*, który już z dawna wydaniem wielu pieśni pobożnych i świeckich, a zwłaszcza przekładem polskim dzieła *Krescencyusza* (*wyd. w Krak. 1549*) głośno się był odznaczył?

Niewiadomo z pewnością, kiedy i za czyjém zaleceniem uzyskał *Trzycieski* wstęp do dworu. W roku 1557 był już dworzaninem królewskim, i towarzyszył Zygmuntowi Augustowi w podróży na Litwę. W zbiorze *Epigrammatów (Ks. II)* znajduje się wiersz jego *do towarzyszów*, *dworzan królewskich*, pisany *na Litwie w czasie zimy*. Zapewne wtedy także wyszły z pod pióra *Trzycieskiego* epigrammata: *O wojewodzie wileńskim Radziwille*, i *do jego lekarza Pietkowicza*, Litwina, w których Radziwiłła nazywa *słońcem litewskiém*, a innych światłych Litwinów *gwiazdami*. Widać atoli, że nie pilnując statecznie służby dworskiéj, uchylał się od niéj często dla innych prac, a zwlaszcza przekładu Biblii, dla któréj Mikołaj Oleśnicki otwarł tłómaczom spokojną gościnę w miasteczku swojém Pińczowie.

Od roku 1563 uważać można jakby zwrot *Trzycieskiego* na inną drogę. Wysłanemu do Turcyi z ramienia rządu Jerzemu Jazłowieckiemu, kasztelanowi kamienieckiemu, towarzyszył zapewne z przyczyny biegłości w wielu językach; a za powrotem (w r. 1565) spisał sprawozdanie z odbytego poselstwa, zachowujące się dotąd w rękopiśmie. Nie mieszał się bynajmniéj do spraw duchownych; owszem, pod względem religijnym, jak w pismach swoich tak i w czynach zachował zupełne umiarkowanie. Dzielił przyjazne stosunki zarówno z katolikami jak i innowiercami, i wiele poezyi swoich poświęcił nawet pochwałom najżarliwszych przeciwników swego wyznania. Zastanawia między innemi wiersz umieszczony na czele *Postylli Białobrzeskiego*, w którym wymienia z uwielbieniem i zaleca do czytania jego dzieła, a mianowicie *Katechizm albo wizerunek wiary chrześciańskiéj, przeciwko wszystkim obłędliwościom tych czasów*, zawierający objaśnienie przedniejszych części wiary, a w ten sposób zniesienie błędnych mniemań kacerskich— i *Wyznanie prawéj wiary* (*Orthodoxa confessio*) przeciw nauce nowych wyznawców, *Bogu i ludziom świętym przeciwników, a kościoła prawego chrześciańskiego ozorników* (t. j. bluźnierców). Z drugiéj strony, nie wiele służył rzeczy publicznéj. Oddając się namiętnie wierszopistwu, głównie jak się zdaje skierował myśl ku celom osobistym—pukał ustawnie do rozmaitych dworów, zabiegał o wyższe stanowisko, wyszukiwał i zmieniał ku temu mecenasów. Rzecz jednak dziwna, że mimo znacznéj u ludzi wziętości, mimo przyjaźni i zażyłych stosunków z najznakomitszymi swego czasu mężami, nie miał odpowiedniego powodzenia. Często w pismach swoich mieni się *nieszczęśliwym poetą* (*infelix vates*), narzeka, *że się pod nieszczęśliwą gwiazdą urodził*, i w skargach swoich przebiera nawet miarę. Z elegii niemal rozpaczliwéj (*Sylv. III*, *9*), pisanéj po odjeździe z Polski króla Henryka (*Nulla vacat lachrymis nox mihi*, *nulla dies)*, i z wiersza *do Jana Dymitra Solikowskiego*, podówczas przebywającego w Paryżu, na jego dworze, wnosićby można, że od tegoż króla już był uzyskał obietnicę otrzymania godności sekretarza królewskiego. Prosi go bowiem i zaklina, aby skłonił Henryka do spełnienia żywionéj przezeń nadziei i przysłania mu dyplomu *(Sollicita regem misso diplomate rursus, Surgere spem faciat vatis ut ille sui*). A co niżéj dodaje, że w ten sposób *Trzycieski poeta będzie znowu szczęśliwy i pełen zaszczytu, jak był pierwéj*, mogłoby naprowadzać na domysł, że za poprzedniego panowania Zygmunta Augusta posiadał już tę godność (jak to utrzymuje Janocki); wszelako aż do czasu króla Stefana nie występuje nigdzie *Trzycieski* z tytułem sekretarza królewskie-

go i pisze się tylko szlachcicem polskim (*eques polonus*). Zdaje się więc, że dopiero król ten przyznał mu rzeczony zaszczyt, umiejąc ocenić talenta jego i naukę, dla których nadto w roku 1578 roczną mu płacę wyznaczył.

Na tém stanowisku *Trzycieski* zakończył życie w roku 1583, zostawiwszy (jak Niesiecki namienia) *pisma zaczęte i niedokończone.* Z wiersza *do Wojciecha Łaskiego* (*Epigr. l. II*) dowiadujemy się o napisanym przezeń, jak się zdaje prozą, *Dyaryuszu wyprawy tunetańskiéj*, o którym bibliografowie nasi nie czynią wzmianki. *Trzycieski* ofiarując to dzieło Łaskiemu, sam podaje wierszem treść jego w krótkości (*De Diario expeditionis Tunetanae*): „W jaki sposób Karol pokonał hufce Maurów i po kraju barbarzyńskim szerokie rozniósł spustoszenia — co nadto zdziałał w Libii, i jakie na pobrzeżach Algeru podjął trudy, to w krótkim opisie zawiera niniejsze dziełko, które ci, Łaski, składam na pamiątkę. Że napisane jest w języku łacińskim, przyjmiesz je zapewne mile, mężu dostojny.“

Niektórzy biografowie zarzucają mu niestatek w życiu domowém—przeciwnicy jego spółcześni zwali go poetą-pijanicą; téj jednak wolności obyczajów nigdzie śladów dowodnych dostrzedz nie można. W pismach *Trzycieskiego* przebija raczéj charakter poważny i surowy. W zebraniach tylko towarzyskich nieco się umysł jego ożywiał. Otaczał go powszechny szacunek, a jako poeta wysoko był ceniony. Jan Dymitr Solikowski, w mowie mianéj na pogrzebie Zygmunta Augusta w r. 1574, wymieniając na zaletę panowania tego króla ludzi najsławniejszych, którzy wtedy kwitnęli, jako to: Hozyusza, Kromera, Orzechowskiego, Warszewickiego, Kochanowskiego, Zamojskiego, Jak. Górskiego i innych, nie pomija między nimi *Trzycieskiego*, jakkolwiek innowiercy. Sam Kochanowski w wierszu łacińskim ustępował mu pierwszeństwa, *jak w śpiewie gęś łabędziowi. a słowikowi jaskółka ustępuje.* „Złote twoje wiersze, *Trzycieski*, możniejsi (mówi) złotem i drogiemi darami nagrodzą. Ja, którego dom ubogi i szczupłe jest mienie, za wiersz gładko toczony dajęć moje nieostrugane rymy.“ A Maciéj Stoins z Królewca, w wierszu na pochwałę *Trzycieskiego* (zamieszczonym w dziele Barlecyusza: *Żywot Kastryoty*, tłóm. *Bazylika*) zowie go *ozdobą Muz* (*Aonidum decus sororum*), najuczeńszym i najwyborniejszym poetą, *który między polskimi wierszopisami świeci jak gwiazda.*

Poezye łacińskie *Trzycieskiego* zawarte są w dwóch osobnych zbiorach: *Epigrammatum l. I. II. Cracoviae a. 1565* i *Sylvarum l. I. II. III. Crac. a 1568*, prócz tych, które wychodziły pojedynczo lub rozrzucone są po rożnych książkach. Uważamy je tu wszystkie w ogóle.

Panująca w nich forma jest epigrammatyczna. Obok właściwych jednak epigrammatów, znajdują się gdzieniegdzie elegie, ody lżejszego rodzaju, epithalamia, epicedia i wiersze potocznéj treści. Podzielić je można na *pochwalne*, *satyryczne* i *historyczne*, między któremi dwa tylko są *religijne*.

Pochwalnych największa jest liczba. Wielbił poeta swém piórem obu królów Zygmuntów, Henryka i Stefana Batorego — szukał względów i protekcyi wielu znakomitych panów, zwłaszcza Mikołaja Radziwiłła, Firleja, Decyuszów, Tarnowskich, Ligęzów, Czartoryskich, Bużeńskich, Krzysztoporskich, Alberta Łaskiego, Dudycza, Solikowskiego — ożywiał przyjaźń i stosunki z ludźmi uczonymi, z pomiędzy których szczególną odznaczył czcią Roizyusza, Mikołaja Reja, Jakóba Przyluskiego, Mączyńskiego, Groickiego, Strykowskiego, Krzysztofa Kobyleńskiego, Jakóba Górskiego, zalecając ich dzieła i wielbiąc zasługi.

Księga pierwsza Epigrammatów przypisana jest Janowi Firlejowi, wojewodzie lubelskiemu, marszałkowi koronnemu. Otwiera ją wiersz do tegoż Firleja, jeden z wcześniejszych utworów łacińskich poety. Widać w nim świeżego ucznia Horacego, przyswajającego sobie zdania i wesoły dowcip swego mistrza.

Do Jana Firleja z Dąbrowicy, wojew. lubel. m. k.

Składają inni znakomite dary,
Łańcuchy złote, czasze i puhary,
Rzędy bogate, lub dziarskiemi stopy
Słynne bieguny ze stad Partenopy.

Ja, co ni złota, puharów ni czarek,
Ani podjezdków nie mam na podarek;
Na co się prosta Muza zdobyć może,
Prostą przegrywkę w ofierze ci złożę.

Lecz wielkim, czasem, smakują i fraszki,
Przy dobréj myśli zejdą się igraszki:

Przyjm więc te lekkie rymy od poety,
Jako po ucztach przyjmują się wety,
Gdy Bachus wdzięczny do uciechy wzywa
I krotochwila żądana przybywa.

Zdala niech będą surowe Katony:
Nam brzmią przyjemniéj Horacyańskie stróny;
Dźwięk ich weseli serca i pociesza,
Chociaż Stoików przygania im rzesza.

Podczas nie wadzą żarty bodaj płoche:
Miło z dobrymi i poszaléć trochę.

Podobny treścią jest wiersz do Andrzeja Dudycza, pięciokościelnego biskupa (w Węgrzech) męża uczonego i głośnego w swym czasie rymotwórcy. Był on radcą nadwornym trzech cesarzów: Ferdynanda I, Maxymiliana i Rudolfa. Zasiadał na soborze trydenckim w imieniu duchowieństwa węgierskiego i w Polsce długi czas poselstwo sprawował. Późniéj apostata, zrzekł się biskupstwa i złożył wszystkie godności. *Trzycieski* zabiegając o jego względy, pisze między innemi:

Do Andrzeja Dudycza, pięciokościelnego biskupa.

Jeśli mógł Katul, Muz pieszczone dziecię,
Słać Wirgilemu swój wierszyk poecie,
W którym zgon smutny opłakiwał ptaszka:

Czemużbym nie miał i ja równie śmiały,
Tobie, Dudyczu, mężu pełen chwały,
Mych słabych rymów posłać, choć to fraszka?

Wielcy poeci ten przymiot dziedziczą,
Że próżni żółci tchną zwykle słodyczą:
Słodycz cechuje twą szlachetną duszę,

I jedna ufność: zaczém śmiele tuszę,
Że dar złożony w słusznéj czci wymiarze
Uznasz za godny, choć cię fraszką darzę.

Wiele poezyi poświęcił *Trzycieski* Justowi Decyuszowi i jego rodzinie. Był to jeden z pierwszych i najprzychylniejszych mu mecenasów. Posiadał włość blizko Krakowa, Wolą Chełmską, która późniéj od jego imienia nazwana została Justowską. Tam zbudował sobie dom piękny w smaku włoskim, z ogrodem. Kiedy nowowiercy nie mieli jeszcze w Krakowie żadnego religijnego przybytku i zbierać się musieli dla nabożeństwa za Wisłą na Krzemionkach, Decyusz otwarł im pierwszy gościnę na Woli, gdzie Stanisław Sarnicki, Grzegorz Pauli, Wawrzyniec z Prasnysza, miewali do swych braci kazania. Tam *Trzycieski* z innymi spółwyznawcami uczęszczał i u Decyusza miłym bywał gościem. W poezyach swoich *(Epigr. l. II)*, zachował nam wiersz piękny Klemensa Janickiego, nie znajdujący się w dziełach tego poety, a w którym skreślony jest obraz Justowskiéj Woli: przytaczam go tu zatém jako ważny zabytek genialnego pisarza:

Do Justa Ludwika Decyusza, męża przezacnego, Klemens Janicki.

„Za wszystko złoto nie przedaj swobody."
Kto to napisał, znać przewidział wprzódy,
Że będzie kiedyś wolna przy Krakowie
Wieś, Decyuszu, co się *Wolą* zowie.
Téj zatém Woli przedać się nie godzi
Za wszystko złoto, które ziemia rodzi.

Podziwiam dworzec przecudnéj budowy,
I kwieciem wonny ciennik ogrodowy,
Po wzgórzach niby przybłąkane gaje,
Wkoło przejrzyste stawy i ruczaje.
Rozkoszna Wola! z powaby swojemi
Może Auzońskiéj nie zazdrościć ziemi.

Pocóż do raju miałbyś kiedy spieszyć?
Jest tu w czém kochać i czém się ucieszyć,
Masz do użycia liczne dary Boże:
Więcéj rozkoszy ledwo raj mieć może.

Nie był *Trzycieski* z razu skory do ogłaszania swoich wierszy. Ci, którzy znali bliżéj jego zdolności, nalegali nań często,

aby się ze swemi pismami nie ukrywał, na co dawał odpowiedź jak w następującym wierszu:

Do Justa Ludwika Decyusza.

Pytasz mnie, czemu długo trzymam w domu,
I kryję rymy nieznane nikomu?
Odpowiem mówcy ateńskiego słowy:
Bo pragnę, aby wiersz kształtnéj budowy
Zdał się nie pismem nakreślony skorém,
Lecz jak rzeźbionym w marmurze utworem.
Nie te bo rymy, co w pierwszym zapale
Wyjdą, na papier rzucone niedbale,
Ale te tylko, którym praca skrzętna
Nie szczędzi nadać dokładności piętna,
Które mistrz biegły starannie wygładzi,
Chwalą uczeni i czytają radzi.

Do najdawniejszych utworów *Trzycieskiego* należy wiersz *(Epigr. l. II)*, w którym wynurzając się z synowską ku Decyuszowi miłością (*Cum te Tricesius loco parentis Semper Juste colat*) prosi go, aby Muzie jego dał gościnne u siebie schronienie, a życzy mu, aby go Jowisz za to stokrotną obdarzał pomyślnością—i powtarza jeszcze swój wyraz serdeczny: *Juste, culte loco mihi parentis.* Jednym z wcześniejszych płodów jest także przypisana temuż Decyuszowi *Elegia na zgon Zygmunta I*, o któréj bibliografowie nasi wątpią, chociaż Janocki z największą dokładnością o niéj wspomina (*emortuumque Regem deploravit elegis fluentibus, teneris et nitidis, Cracoviae per Math. Scharff. mense Aprili a. 1548 excusis*), ob. *Janociana II. 273.*

Miał *Trzycieski* we czci całą rodzinę Decyuszów, nietylko za ich życia, ale i po zgonie, jak to poświadcza godny tu przytoczenia liryk (*Epigr. l. II):*

Do cieni Decyuszowych.

Cienie Decyuszów, w święte niebian grono
Wziętych niedawno na wieczności łono!

Przebaczcie proszę, że wasze pochwały
W rymach poety zbyt krótko wybrzmiały.
Aby cnót waszych podać rysy wierne,
Księgi napisać trzebaby obszerne,
A mieć po temu geniusz i zalety
Marona albo Rescyusza poety,
Co w żywém czerpią źródle Hipokreny.

Mój rym, choć słaby, przecież nie bez ceny,
Gdy szczerych chęci niosę w nim dowody:
Król perski niegdyś przyjął kubek wody,
Który mu podał pastuszek od bydła,
A Bóg nie gardzi i szczyptą kadzidła.

Zygmunta Augusta uczcił *Trzycieski w Encomium*, zamieszczoném w dziele Klemensa Janickiego *Życia królów Polskich* (z r. 1573), pięknym elegicznym wierszem, i w wierszu *ad inclytam Lachiam* przy panegiryku Solikowskiego na pogrzebie tego króla. Są nadto dwa epigrammata, z których jeden *(post Livoniam subactam)* z księgi I. *Epigrammatów* przytoczyć się godzi:

Do Zygmymta Augusta, K. P.

Bez klęsk niszczących, mordów i pożogi,
Wrogom potężnym harde utrzeć rogi,
Trudne to dzieło—a przecież, o! dziwy,
Ty je spełniłeś, królu miłościwy.

Czujem w tém dziele sprawę Boskiéj ręki,
Więc Niebu za nię korne niesiem dzięki,
Pragnąc, by naród przezeń szczęście trwałe,
A tyś pozyskał wieczną cześć i chwałę.

W liczbie najtroskliwszych opiekunów swoich i mecenasów mieścił *Trzyciecki* również Jana Dymitra Solikowskiego, scholastyka łęczyckiego i sekretarza królewskiego, któremu z najczulszą miłością się wynurzał, rachując zarazem na czynne z jego strony u dworu poparcie. Kiedy zwłaszcza po zgonie Zygmunta Augusta los jego w pewném był zawieszeniu, a nadzieje pokładane w nowym elekcie zawiodły, nalegał na Solikowskiego, prze-

bywającego w Paryżu na dworze Henryka, o wstawienie się za nim i uiszczenie przyrzeczeń. Natarczywe jego prośby, pełne przesady pochlebstwa, niemiłe na czytelniku czynią wrażenie, odejmując i poezyi najważniejszy jéj przymiot, prawdę. Przywodzę tu z téj epoki wiersz następujący (*Sylvar. III, 13*):

Czerpnąłeś chyba wody z źródeł Lety,
Kiedyś tak o mnie zapomniał niestety,
Że przyjaciela, co się w troskach biedzi,
Niegodnym nawet czynisz odpowiedzi.

Ach! prawda wielka, co Propercyusz śpiewa:
Wszystko się zmienia, i miłość rozwiewa.

Popłyń wstecz Wisło, cofnijcie bieg wody!
Gdy pospieszywszy zwiedzić Gallów grody,
Mógł Solikowski tak zmienić swe chęci,
Że mnie wraz z oczu stracił i z pamięci!
On, co go wielbię i kocham bez miary,
Którego obraz tkwi wiecznie w mém łonie,
A imię jego słodsze nad nektary,
Milsze mi niżli ambrozyjskie wonie!

I ty, Kameno, rozpuść włos splątany,
I wydaj utysk bolejącéj rany.

Bo jak o słynnym piszą Demostenie,
Że się na wrogie skarżył przeznaczenie,
Taż sama klątwa nademną spoczywa —
Ach! i mnie gwiazda świeci nieszczęśliwa!

Lecz niech już wyrok srogość swoję skróci,
A Solikowski swą przyjaźń mi wróci;
Niechaj żądane przyszle mi pisanie,
Co za największą pociechę mi stanie.

W innym wierszu do Solikowskiego, pisanym po wyjeździe jego do Francyi (*Sylvar. III, 10*) szczęśliwym go mieni, że ogląda twarz Henryka i jego królewską rodzinę. „Ja (mówi) osierocony po nim umieram ze smutku i tęsknoty. Ale ty możesz uleczyć moje

rany. Nakłoń króla, aby mi przysłał dyplom i ożywił ducha w swoim wieszczu. W ten sposób *Trzycieski* może za twoją pomocą stać się znowu szczęśliwym i dawną pomyślnością zakwitnąć. Wszakże to mawiałeś, Solikowski, że mnie kochasz jak swego brata, i że ze mną podzieliłbyś się chętnie twojém mieniem, gdybym tego kiedy potrzebował. Otoż teraz potrzebuję twéj pomocy, abym nie upadł z biedy, a mógł podźwignąć się na nowo, i żyć swobodnie, bez troski i żalu.“

Jak dalece niecierpliwił się *Trzycieski* losu swego niepewnością, pragnąc jak najrychléj uzyskać jakie odpowiednie sobie stanowisko, widzieć to równie z wiersza *do Faustyna (Epigr. l. I)*, który, jak mu poeta wymawia, długo zwodził go swemi obietnii skutek ich zawsze do *jutra* odkładał. Kto był jednak ten Faustyn, i jakie czynił mu obietnice, domyślić się dziś nie można. Wiersz wspomniany brzmi jak następuje:

Do Faustyna.

Co mi z przeszłości? przyszłość nic nie warta,
I twego *jutra* nie cierpię jak czarta.
Obecność tylko za coś sobie ważę:
Kto każe czekać, umierać mi każe.

Przeszłość i przyszłość są to mary czyste,
Ja dbam o szczęście tylko wiekuiste:
Resztą się łudzić, jak łudzę lat tyle,
I żyć przyszłością — ba! ciężkież to chwile.

Nadzieją płonną kto ciągle mnie głaszcze,
Zdobycz wilkowi ten wydziera z paszcze.
Głodnemu w końcu i cierpliwość ginie;
Więc z szczerą chęcią wyrzecz już, Faustynie:
„Zbyt długo czekasz, by przyszła, twéj kreski,
Czegoś chciał zatém, oto masz *Trzycieski!*“

Wszystko ma czas swój: co nie w czasie dane,
Niemiłém czyni i szczęście żądane.

Rozpisało się na wjazd króla Henryka i jego koronacyą mnóstwo panegirystów, między innymi słynniejsi *Joannes Auratus* poeta regius, i *Stanislaus Amicinus*. Nie dał się im wyprzedzić

Trzycieski. Witał po kilkakroć króla swemi wierszami w Międzyrzecu, w Poznaniu, w Krakowie. Jak zwykle w panegirykach, widać w nich silenie się poety na sztuczne ozdoby, które nie są językiem prawdziwego uczucia. Razi między innemi dziwaczną a ulubioną wtedy niektórym wierszopisom formą akrostych, w którym pośrodku i na końcu występują głoski składające napis: *Dux Mavortius Andium. Vivat Sarmatiae decus*. A po nim inny jeszcze ułożony z imienia *Henricus*. Smutnym epilogiem tych poetyckich owacyi była potém elegia pełna żałosnych skarg i fałszywéj patetyczności:

Do Henryka Walezyusza, po jego niespodziewanym z zamku krakowskiego odjeździe do Francyi.

Cóż to był za dzień! w którym opuściwszy zamek królewski,
Pospieszyłeś do twéj ojczyzny królu Henryku!
Ustąpiłeś — i zabrałeś z sobą nasze pociechy...

I mnie wszystkie chwile utonęły w smutku.
Czy to Febus śmiertelnym niesie światło dzienne,
Czy noc z głuchém milczeniem rozwodzi ciemności,
Nie usypia w sercu mojém troska.
Jęczę, jak synogarlica po stracie towarzysza,
Utyskując rzewnie, że porzuciłeś Lechią.

Tak zapewne Aryadna, w żalu rozpuściwszy włosy,
Smutne niegdyś rozwodziła skargi:
„Ach! czemuż mnie biedną opuszczasz, Tezeuszu!
Czemu wracasz do ojczyzny, a mnie gubisz sierotę?
Takież mi to zgotowane były losy! Niestety!
Żaden dzień, żadna mi noc nie upływa bez płaczu.“

Często krążąc samotnie ponad brzegiem Wisły,
Słyszę Nimfy żałosnemi zawodzące głosy:
„O! dla czegoż opuszczasz nas królu Henryku!
Czemuż dozwalasz łzom naszym płynąć we dnie i w nocy?
Powróć ludu wiernego ukoić tęsknoty:
Z tobą wróci pokój, radość i pociecha.“

Ja sam, który umieram ze smutku i żalu,
Skoro powrócisz do nas, ożyję.

Liczne i z treści swojéj dość ważne są epigrammata *do Alberta Łaskiego*, wojewody sieradzkiego, znakomitego bohatera. W jednym z nich (*Epigr. l. I*) wielbi poeta tego męża, że wespół z Despotą Janem Bazylikiem strącił z hospodarstwa Alexandra wojewodę Mołdawskiego. Rzeczony Jakób Herakliusz Bazylik przebywał czas jakiś w Polsce, gdzie się był spąchał z różnowiercami. Zalecony królowi przez elektora brandeburskiego, pojechał do Wilna, i tam zaprzyjaźnił się z *Trzycieskim*. W inném, na czele dzieła Barlecyusza *O żywocie i sprawach Jerzego Kastryota (Skanderberga) tłóm. Cypr. Bazylika*, zowie go poeta *Lukullem* swego czasu, i chwali, że wydał swojém staraniem dzieło Polakom tak potrzebne, aby je czytając zwracali uwagę na niebezpieczeństwo, jakie im zagrażało od Turka—sam wreszcie groźną do nich wypisuje przestrogę: „Oto czyha na was, nakształt lwa, ten srogi nieprzyjaciel, pragnąc wtłoczyć wam na karki swoje jarzmo. A wy śpicie Polacy, i nie zabiegacie póki czas, waszéj ruinie i ostatecznéj zagładzie.“ Są i akrostychy z imienia *Lascus*.

Między epigrammatami wreszcie poświęconemi domowi Tarnowskich, czytamy na początku dzieła Groickiego *Porządek sądów prawa magdeburskiego* (1562) jeden epigraf w kształcie dyalogu, ułożony wierszem przez *Klemensa Janickiego*, który nie znajduje się w dziełach tego poety:

Na herb domu Tarnowskich.

Rozmowa cudzoziemca z Polakiem.

CUDZOZIEMIEC.

Gwiazda nad księżycem — jakiegoż to rodu u Polaków godło? któremu domowi przynależy?

POLAK.

Herb to rodu Tarnowskich: żaden ród nie jest godniejszy takiego godła. Tak świetnie bowiem wśród innych chwałą jaśnieje, że raczéj mógłby być słońcem między pokrewnemi sobie herbami, i wszystek nawet wyobrażać zodyak.

CUDZOZIEMIEC

Ale któraż to jest z gwiazd niebieskich? chciałbym wiedzieć.

POLAK.

Nie wiem, lecz zdaje mi się, że to Mars będzie.

CUDZOZIEMIEC.

A z czegoż tak wnosisz?

POLAK.

Bo zawsze sprzyjała wojnie, a teraz służy wodzowi wojennych zastępów. Poskromił on Wołochów, rozniósł zwycięztwa na północy, i już samém imieniem trwoży nieprzyjaciół.

CUDZOZIEMIEC.

Zaprawdę, gwiazda to godna nieba.

POLAK.

O! najgodniejsza, ale niech jeszcze pozostanie u nas i rozprasza ciemności na naszéj ziemi; niech nam przyświeca, dopóki księżyc z innemi gwiazdami na niebie świecić będzie.

Trzycieski, uzupełniając dzieło Janickiego *Życia arcybiskupów gnieźnieńskich*, ułożone w epigrammatach łacińskich wierszem, przydał do niego własną pracą żywoty: Latalskiego, Gamrata, Dzierzgowskiego, Przerembskiego i Uchańskiego. Z tych ostatniego najwięcéj chwali, zowiąc go swoim szczególnym opiekunem i dobroczyńcą.

Nie szczędził *Trzycieski* pochwał i kobietom zacniejszego rodu, jak np. w wierszu (*Epigr. l. I*):

O Zofii Tęczyńskiéj, żonie Ostroroga.

Tak właśnie skromną twarz i wdzięczne lica
Miała Lukrecya, obraz twój, dziewica;
Tak Andromacha wzrostem i postawą,
A Penelope wiernéj żony sławą,
Jak ty jaśniały; Sulpicya wreszcie,
Z godnością cnoty łączyła niewieście.

Tylu przymiotów razem i zacności
Sama, Zofio, Wenus ci zazdrości.

Z napisów grobowych godny jest przytoczenia następujący (*Epigr. ks. I*):

Urszuli z Morsztynów żonie Kaspra Koswickiego.

O! zwodne szczęścia ludzkiego uśmiechy,
Tak-li znikacie jak zmienne wód fale?
I gdzież tu trwałéj szukać nam pociechy?
Ona dopiero w przyszłéj nieba chwale.

Próżne więc smutki, daremne łzy w oku,
Nie zmiękczysz niemi, ni zmienisz wyroku.
Lepszy w nieszczęściu umysł niezachwiany:
Czas i cierpliwość zagoją te rany.

Ze spółczesnych wierszopisów cenił *Trzycieski* najwyżéj Reja, którego w polskich i łacińskich wierszach jako poetę i filozofa wysławiał, zowiąc go *wieczystą Sarmatów ozdobą*, i kładąc niemal na równi z Homerem i Platonem. W wierszu (*Epigr. l. I*), który tu przytaczam, twierdził za zdaniem Sokratesa, że ludzie wielcy otrzymują już z przeznaczenia swoje sławne imiona:

Do Mikołaja Reja, sławnego poety polskiego, w dzień Św. Mikołaja.

Najdowcipniejszy w wieszczów naszych rzędzie,
Co ich ma Polska, lub mieć kiedyś będzie,
Cny *Mikołaju!* toć twe chrzestne miano,
Którém ci przyszłość sławną obiecano:
Grecki jest wyraz i oznacza męża
Przeważną siłą *co ludy zwycięża.*
Tyś tym zwycięzcą. Tak Agamemnona
Od losów nazwa była przeznaczona,
Że mnogie trudy ponieść miał i znoje,
Lat dziesięć mężną oblegając Troję.
Protesilaus ztąd także nazwany,
Że pierwszy z Greków legł w wojnie z Trojany.
Wyroków wolą wziął i Pelid śmiały
Imię Achilla pełne smutnéj chwały,
Że w walkach głośnych z męztwa i przewagi
Ilionowi straszne zadał plagi.

Ten wyrok losu i w tobie uznajem,

Że słusznie Reju zwiesz się *Mikołajem*,
Który nad ludzi pospolitych tłumem
Przeważasz gładką mową i rozumem.
A jak z swych rymów we włoskim narodzie
Dant i Petrarka stoją dziś na przodzie,
Dwaj mistrze pieśni — tak ty u Polaków
Jesteś najpierwszym, największym z śpiewaków;
I póki tylko stanie polskiéj mowy,
Żaden ci, wieszczu, wieszcz nie zrówna nowy.
Nie było w Grecyi nad piewcę Achila,
I Rzym poety nie miał nad Wirgila:
Tak i nad ciebie nie znajdzie się drugi.
A więc żyj Reju, żyj zdrowo wiek długi,
Pociecho moja, chlubo i zaszczycie!
Używaj darów, które tak obficie
Hojne w swéj łasce nieba na cię zlały.
Niech się twe imię święci pełne chwały,
Jak nieśmiertelne święcą się imiona
Homera w Grecyi, u Rzymian Marona:
Byś równie wielki i u ludzi wzięty
Z słodkiéj twych rymów uciesznych ponęty,
Jak *ojciec wieszczów* słynął w naszym kraju,
Rzeczą i nazwą istny *Mikołaju*.

Głośnego także podówczas z talentów rymotwórczych Piotra Ruiza, Hiszpana, professora akademii krakowskiéj, chwalił *Trzycieski*, między innemi w wierszu następującym (*Epigr. ks. II*):

Do Piotra Rojzyusza, Maura, prawoznawcy i wielce sławnego poety.

Mężu przezacny i od wszystkich czczony,
Piewców przedniejszych ozdobo i chwało!
Długo myślałem, jakim z mojéj strony
Darem, Rojzyuszu, uczcić cię przystało?
Otoż z ksiąg jedna znalazła się celna,
I godna ciebie, poeto wybrany:
Pieśń Meońskiego wieszcza nieśmiertelna!
Wieszcza, co ojcem poetów nazwany,
Greków i Trojan śpiewał bohatyry.

Na jéj wzór nastrój brzmienia twojéj liry,
Ażebyś z mroku dobył zapomnienia
Sarmatów dawnych kolebkę i czyny,
I pierwszych wodzów lackiego plemienia
Entejską pieśnią odświeżył wawrzyny.

Przyjm więc to dzieło—składa je *Trzycieski*,
Twój *Andrzéj*, co cię kocha z duszy całéj,
Wierny przyjaciel do grobowéj deski—
Przyjm, byś w pamięci zachował mnie trwałéj,
Czy pod ośnikiem śnieżnéj hemisfery,
Czy z ojczystemi zamieszkasz Ibery.

A niech Apollo z siostr dziewięciu gronem
Wieszczegoć skarbów użycza natchnienia,
I trzy wdziękinie wejrzeniem pieszczoném
Słodycz i wdzięki leją w twoje pienia;
Abyś w wiek późny słynął na wsze strony,
Mężu przezacny i od wszystkich czczony!

Zapomniany prawie w literaturze naszéj Krzysztof Kobyleński (czy Kobieliński), wierszopis, ma tu także chlubne wspomnienie (Epigr. l. II):

Na księgę epigrammatów Krzysztofa Kobyleńskiego.
(*Cobilenii*).

Pielęgnować nauki nadobne i kształcić niemi duszę,
Było niegdyś największém staraniem ludzi zacnych:
Dziś nauki te znikczemniały, i upadło wszystko
Czémkolwiek śmiertelni wznieść się mogą ku niebu.
Rzadko kto zbliża się do grona siostr aońskich.
Mniéj je ważąc niż swoje sprawy powszednie;
Rzadki miłośnik mądrości: ale im jest rzadszy,
W tém większéj powinien być cenie u ciebie,
Ktokolwiek boskim zagrzany duchem
Muz jesteś czcicielem, jak wieszcz Kobyleński,
Głowę podnoszący chlubnie pod gwiaździste stropy.
Jego zabawą jest, ćwiczeniem doskonalić dowcip,
A czerpiąc napój wieszczy z krynic kastalskich,
Laurem poetyckim uwieńczać skronie.

W dziele Starowolskiego *Hekatontas* (*str. 37*) znajduje się skreślony przez *Trzycieskiego* wierszem żywot całkowity Marcina Białobrzeskiego. Zasługują równie na uwagę grobowe napisy: *Sebastyana Myona*, poety i matematyka, którego zowie *Trzycieski* drugim *Aratem* (*Epigr. I*) i *Joba Komerstada*, szlachcica szlązkiego, męża uczonego. Powiada autor o tym ostatnim, że słusznie *Joba* nosił imię, bo prawdziwie cierpiał jak Job. Każdy człowiek ma pewne przeznaczenie. Gdyby nie było kiedyś Dyogenesa Cynika ten byłby (mówi) Dyogenem naszych czasów. Zdaje się jakoby duch owego filozofa w niego wstąpił, jak Ennius niegdy mawiał o sobie, że w jego ciało przeszedł duch Homera. (*Epigr. II*). Takież są (*w ks. II*) epigrammata: *do Piotra Poznańczyka*, lekarza królewskiego; *Na Dyaryusz astrologiczny z r. 1555 Walentego Arnolda*, i *Na herb Hilarego Wiślickiego*, lekarza sławnego i matematyka.

Rzecz dziwna, że z Kochanowskim żyjąc nawet w przyjaźni, nie oddał mu nigdzie czci należnéj. Raz tylko w wierszu *do Mikołaja Gomółki* wspomniał z pochwałą przekład *Psałterza*, do którego jak wiadomo, rzeczony Gomółka dorobił melodye.

Pięknie w kilku miejscach przemawia *Trzycieski* do młodzieży polskiéj, zachęcając ją do nauk—mianowicie: na czele dzieła Szymona Maryckiego *De scholis s. academiis*, tudzież Jakóba Górskiego *De generibus diendi* (*1559*), w którém wielkie mieści pochwały dla Padniewskiego biskupa krakowskiego.

Z licznych epigrafów, przedsłów i dedykacyi możnaby brać miarę ówczesnéj krytyki literackiéj, gdyby te nie były po największéj części panegirykami.

* * *

Satyrycznéj poezyi *Trzycieskiego* szczupłe bardzo otrzymaliśmy zabytki. Okazuje w nich poeta pióro ostre i dotkliwe: nie wiele jednak wydobyć z nich można światła na objaśnienie ówczesnych obyczajów i stanu społeczeństwa. Są to proste ucinki albo sarkazmy, w których więcéj surowości niż dowcipu.

W wierszu *Do przyjaciół dworzan*, niewiadomo gdzie i w jakim czasie pisanym (*Epigr.* l. I), poeta obrażony widać jakąś obmową czy krytyką, powiada, że uczuwa w sobie gniew, który, go pobudza do pisania (*facit indignatio versum*); że jeżeli Zoil na tém nie poprzestanie, więcéj jeszcze przeciw niemu zaostrzy swoje pociski, jak niegdy Nazo na Ibisa i Archiloch na świekra swojego. Takąż oddycha osobistością epigrammat (*w ks. I*) *in Copriam* (?) raczéj zelżywy niż dowcipny.

Dla poznania satyrycznego pióra *Trzycieskiego* przywiodę tu *(z ks. I Epigr.)* parę przykładów:

Do Galla, lekarza.

Długo w kościołach prawiłeś kazania,
Kacerskie szerząc za pieniądze zdania:
Powiedz mi, z jakiéj teraześ przyczyny
Lekarzem został? małoż jeszcze winy?
Wpychałeś dusze do piekła bezkarnie,
Chcesz-li i ciała dawać na męczarnie,
I jak mistrz w sztuce zabijania słynąć?
Ej! strzeż się, możesz sam od kaźni zginąć.

Na Turpika.

Czemu fortunę ślepą zwiesz Turpiku?
Lepsza jest ona niż ty niewdzięczniku!
Ślepą bo była, znosząc ci bez miary
Niezasłużone zaszczyty i dary;
To twoje szczęście—ale jeśli kiedy
Przejrzy przypadkiem, o! bądź pewny biedy.

Z liryków *Trzycieskiego* najpiękniejszy jest *Hymn na święto Trzech króli*, ułożony wierszem saficznym, do Wojciecha Przetockiego, jednego z najlepszych przyjaciół poety (*Sylvar. III, 3*). Tu *Trzycieski* czuł się natchnionym. Ton hymnu poważny i uroczysty, najwłaściwiéj odpowiada przedmiotowi, przypominając w tym rodzaju wzniosłą muzę Sarbiewskiego:

Nazbyt już długo, Erato, tęsknisz w żałobie,
Opłakując przygody mojéj młodości,
I bolejąc nad srogością moich losów.
Porzuć już szaty żałobne, i ukaż się w bieli.
Strojna jak niegdyś i błyszcząca,
Abyśmy ten dzień świąteczny i błogi
Uroczystemi uczcili hymny.

W tym dniu, który mnogie ludy
Wesoło obchodzą i święcą,

I w który niegdyś królowie sabejscy
Składali pobożne ofiary Panu:
Przyjm *królu* złoto, *Boże* przyjm kadzidło,
A ty *człowiecze*, jak my podległy śmierci
Odpędź od nas śmierć wieczną i wybaw
Z czartowskiej nas niewoli.

Przed tobą drży władca piekielnego dworu,
Widząc, że siły jego są złamane,
I że jego państwo zbliża się już do końca.
Oto wschodzi nowa na niebie gwiazda,
Która jasném połyskując światłem,
Królów pielgrzymów ze wschodu
Prowadzi do miasta Betleemu.
Ciebie ukazuje jako nowe słońce,
Które dla nas rozproszy ciemności Erebu,
A ty serca wiernych tobie ludów
Napełnisz i oświecisz światłością twego ducha.

A więc podziwiajmy to, czego ani myśl objąć,
Ani język wysłowić nie zdoła,
I Bogu naszemu, jak słusznie przystoi,
Z głębi serca słodkie wyśpiewajmy hymny,

A kiedy nam Bóg pokoju i swobody użycza,
Starym obyczajem, mój Przetocki,
Składajmy mu, jak ongi królowie wschodni,
Dary pobożne i dzięki.

Ciekawy *w ks. II Epigrammatów* natrafiamy zabytek: Hexastichon jakiegoś bezimiennego poety o herbie *Nowina*, mający się znajdować w aktach Kazimierza Jagiellończyka z r. 1477, i ztamtąd wypisany:

Nowość dała ci w świecie imię głośne *Nowino*,
Abyś dziwiła sobą najodleglejszą potomność.
Dziejopisowie swojém piórem uczynili cię zaszczytem,
I zrównali z zaszczytami najdawniejszych domów.
Zawierasz w sobie rzeczy dawne, choć jesteś imieniem nowém,
A nie zestarzejesz się i z najpóźniejszym wiekiem.

Ważniejszy dla swego historycznego opisu i więcej ożywiony jest wiersz *Trzycieskiego* (*w ks. II. Epigr.*) na tenże herb Nowinę

Jana Dymitra Solikowskiego. Opowiada w nim poeta początek i znaczenie tego szlacheckiego klejnotu:

„Niósłem do Krzywoustego poselstwo od austryackiego książęcia. Już król w obozie dosiadywał konia, i hufce nieprzyjacielskie rwały się do oręża, niecierpliwie pragnąc spotkania Przyłączyłem się do boku królewskiego—i wnet zawrzała bitwa, a krew polała się strugami. Taka zaś była gwałtowność boju, że pod królem padł koń zabójczym ugodzony ciosem. Ale ja czémprędzéj zeskoczywszy z siodła, i podniosłszy króla z ziemi, wsadziłem go na mego konia. Wszelako i wtedy, brnąc pieszo we krwi, nie opuściłem pola walki—taż sama co wprzód odwaga, tenże sam ożywiał mnie zapał. Walczyłem, dopóki nie odcięto nogi u samego biodra—wtenczas dopiero padłem na ziemię bezbronném brzemieniém. Alić Sarmaci odnoszą zwycięztwo: wśród najcięższych bolów uczuwałem w sercu radość—wszystkie pola zasłane były trupami nieprzyjaciół. Zwycięzcy biorą mnie na ręce i odnoszą do swego obozu, pytając, co zacz byłem, jakiego nazwiska i rodu? Tu gdy im opowiedziałem, że ojciec mój wyrabiał naczynia miedziane, król, wynagradzając moję zasługę, nadał mi ten herb, oznakę męztwa: miecz błyszczący, i krzyż, Zbawienia godło, a na szyszaku uwieńczonym koroną, nogę utkwioną. W taki sposób pozyskałem dla rodu mego złotą koronę. To moja prawdziwa własność, pozyskana bohaterskiém męztwem—z którą gdy wracając do domu ogłaszam dobrą nowinę o zwycięztwie ziomków, herb mój nazwany został *Nowiną.*“

* * *

Z poezyi treści panegiryczno-historycznéj godne są przytoczenia następujące:

Epithalamium (wiersz godowy) *na wesele Piotra Bużeńskiego z Konstancyą Zygmunta Myszkowskiego córką.* Poemat nieco obszerniejszy, ułożony wierszem jambicznym, a wyd. w Krakowie roku 1580.

Był ten Bużeński starostą brzezińskim i dobczyckim, Konstancya córką Zygmunta Myszkowskiego, niegdy oświecimskiego i zatorskiego wielkorządcy.

„Już tu (mówi poeta) nie Juno, nie Wenus lub inne bajeczne bóstwo starożytności, ale Bóg prawdziwy i wszechmocny nowemu małżeństwu przodkuje i błogosławi. Ztąd jak najlepsze wróżby powodzenia. Na podobieństwo róż i fiołków kwitną świeżą wiosną nowożeńcy, oboje zacnych przodków plemię. Jakaż pociecha dla sędziwych rodziców! Zagaja obchód uroczysty błogosławień-

stwo biskupie. Zastawiają stoły biesiadnicze, z wykwintnym sybaryjskim prawie przepychem. Brzmią rozkosznemi tony fletnie i puzony, którym towarzyszą chóry dobranych śpiewaków. Młodzież obojéj płci zawodzi tańce. Następują potém widowiska świetne, z wielką przez rycerstwo przygotowane wspaniałością. Dwa dni poświęcone takim godom." „Opiewaj daléj, Muzo, dostojne zebranie gości, którzy je swoją obecnością zaszczycili." Wylicza zatém poeta ze stosownemi pochwałami: Dembińskiego kasztelana krakowskiego, Zborowskiego wojewodę krakowskiego, Szafrańca kasztelana sandomierskiego, Firleja kasztelana bieckiego Krzysztoporskiego kasztelana wieluńskiego, Mikołaja Koniecpolskiego kasztelana rosperskiego, Rokosowskiego podskarbiego koronnego żupnika salin wielickich i bocheńskich, i innych. „Tysiąc (powiada) i więcéj potrzebaby wierszy, na opisanie tego wszystkiego—na co niniejszy poemat nie wystarcza."

Jest to panegiryk dość suchy i bezbarwny. Wersyfikacya dokładna całą jego zaletą. Nie widać tu tego talentu ani sztuki, jaką w poezyi tego rodzaju odznaczył się J. Kochanowski. Umiał. ten ostatni zastosować do rzeczy sam kształt zewnętrzny, nastrajając w swojém Epithalamion chór liryczny na wzór greckich, i przeplatając nim akcyą dramatyczną.

Ważniejszy nierównie co do treści jest heroik p. t. *Triumphus Ser. Princ. Stephani P. R.*, wyd. w Krakowie 1582 r. Chwalą go bardzo niektórzy uczeni; Janocki powiada, że tym poematem *Trzycieski* zasłużył, aby między najcelniejszych poetów był policzony. Wiersz wprawdzie piękny i niektóre szczegóły historyczne dosyć w nim ciekawe; pod względem jednak estetycznym nie ma tak wielkiéj wartości, i ani równać się może ze spółczesnym *Epinikionem* Jana Kochanowskiego. Zaczyna autor dość skromnie, cofając się niejako przed wielkością przedmiotu:

„Chociażbym (mówi) meońskiego wieszcza lub Wirgilego posiadał geniusz, nie zdołałbym godnie tego, co przedsiębiorę, opisać. Wy zatém, o Muzy! wyśpiewajcie dzieła Stefana—rozgłoście odniesione w tylu wyprawach zwycięztwa, krótkim wierszem, bo krótkość podoba się dworowi."

Następuje ścisłe i po większéj części dość prozaiczne wyszczególnienie wojennych wypadków; ledwo gdzie znaleźć można ustęp nieco ożywiony poezyą, jaknp., opis zdobycia Pleskowa. I słusznie autor w końcu odstępuje chwały opiewania tego *tryumfu* innym zdolniejszym wieszczom.

* *

*

Nie można *Trzycieskiemu* przyznać wyższych poetyckich zdolności. Wielu spółczesnych przewyższał on wprawdzie talentem; może śmiało, jako wierszopis łaciński, mieścić się obok Pawła z Krosna, Krzyckiego i Dantyszka; ale nie dorównywa Janickiemu, a tém mniéj Janowi Kochanowskiemu. Był dokładnym i wzorowym rymotwórcą łacińskim, władał z wielką biegłością przyswojonym sobie językiem uczonym, a doświadczając się w różnych rodzajach wierszy, umiał naśladowczo przejmować kształty starożytnych poetów klassycznych: ale brak mu poetycznego ognia i natchnienia, które rzadko w sobie obudza. Żywość przyrodzoną wyobraźni zastępuje zwykle, a co gorzéj tłumi obcym przyborem mitologii i erudycyi. Nie widać w nim żadnego rozmiłowania się w naturze, a ztąd ubóstwo w malowidłach, gdzie zwykle występują obrazy przeniesione żywcem z dzieł starożytnych Treść poematów zazwyczaj powszednia—formy pożyczone. Tylko łacina czysta i poprawna, przejęcie się wzorami poetów klassycznych, dokładność prozodyi, i zwyciężenie trudności języka obcego i martwego, stanowią główną pisarza zaletę. Ale tak wtedy w całéj Europie pisano. Dla pisarzy miernych zdolności dogodna to była szkoła. Do wyjątków należały rzadkie tylko geniusze. Kto tu mistrzował we władaniu klassycznym językiem, i biegłością w sztuce rymotwórczéj, ten pisał się poetą i uzyskiwał laur poetycki. Według téj miary zatém oceniać należy poezye *Trzycieskiego.* Do ujemnéj jego strony należy, że w kreśleniu wizerunków osób spółczesnych, a zwłaszcza możniejszych, nie maluje charakterów, ale pochlebia tylko dworacko. Mało zwracając się do rzeczy publicznéj, krąży najwięcéj w kole stosunków domowych, towarzyskich, a zwłaszcza osobistych. W epitalamiach i epinikionach powinnyby znaleźć się ciekawe opisy życia społecznego i obyczajów, rzadko tu jednakże trafiamy na zajmujące pod tym względem szczegóły. W satyrach, pozbawionych wszelkiéj charakterystyki i dramatycznego przymiotu, panuje ton zelżywy i namiętny. Pierwiastek religijny w poezyach *Trzycieskiego* bardzo słabą gra rolę. Śmieszne nakoniec akrostychy, wiersze zagadkowe, okazują początek psującego się smaku. Przesądność poety należy do wad wieku.

Mimo tylu jednak ułomności, pióro *Trzycieskiego* nie jest bez zalety. Wiele poezyi jego czyta się z przyjemnością. Wiersz potoczysty i piękny, siła i wdzięk wyrażenia, miejscami świeżość farb poetyckich zasłaniają często wewnętrzną próżnię, brak głębszych pomysłów i śmielszych wyobraźni polotów. Dydaktyzm, panujący w większéj części utworów, godzi się tu szczęśliwie z poezyą

pożyczając jéj wewnętrznéj siły i treści. Dla tych przymiotów *Trzycieski*, uważany na tle swego czasu, dziś nawet nie stracił ceny.

II.

Ważne chociaż mniéj liczne posiadamy zabytki poezyi *Trzycieskiego* w języku ojczystym. Z tego co pozostało wnosić można, że gdyby na téj drodze raczéj kształcił był swój talent rymotwórczy, większą nierównie byłby uczynił przysługę naszemu piśmiennictwu. Wcześnie nabyta znajomość starożytnych języków ułatwiała mu środki doskonalenia się w ojczystym, którym rychło i nader szczęśliwie zawładnął. Wiersze jego płyną z większą łatwością i swobodą niż Rejowe, a smak na wzorach klassycznych ukształcony, nadaje im nierównie więcéj życia i barwy.

Począł *Trzycieski* swój zawód, jako poeta polski, w duchu swego czasu, od przedmiotów religijnych. Pisał pieśni nabożne, od których przeszedł wnet do świeckich, a zwłaszcza obyczajowych. W r. 1532 zajmował się tłómaczeniem Psalmów, które wychodziły pojedynczo z muzyką Wacł. Szamotulskiego w Krakowie w druk. Łazarza. Dotąd dwa tylko psalmy, t. j. I-szy i XIV, odszukano. O całkowitym jednak przekładzie Psałterza słusznie wątpić można. Nie miał *Trzycieski* dość wytrwałości do podjęcia jakiéjbądź obszerniejszéj pracy, i wolał talent swój rozpraszać na drobniejsze utwory. Może też spotkawszy się na téj drodze z Kochanowskim, nie chciał po pierwszych próbach iść w zawód z tak znakomitym rymopisem. Z innych pieśni, także luźno wydawanych, mała tylko liczba znajduje się razem zebrana w Kancyonale Seklucyana. Wydane przez niego *Pieśni chrześciańskie dawniejsze i nowe, których chrześcianie tak w kościele jako i domu używać mają, w Królewcu Prusk. 1559 r.*, zawierają między innemi *dwanaście pieśni tłómaczonych przez Trzycieskiego i modlitwę za Rzeczp.* i *króla* z łacińskich wierszy Trzycieskiego przełożoną na polskie przez Jakóba Lubelczyka.

W *przekładzie Psalmów* umiał *Trzycieski* przejmować się wzniosłą prostotą swego wzoru. Widzieć to osobliwie w psalmie I-szym, którego przekład zdaje się najwłaściwiéj nastrojonym do poważnych tonów psalmisty.

Psalm I-szy (skróc.) (*).

Beatus vir, qui non abiit in consilio impiorum.

Błogosławiony człowiek, co się tak sprawuje,
Że w radę niepobożnych ludzi nie wstępuje;

---

(1) W przykładach tu przytoczonych zachowujemy pisownię dzisiejszą.

Ale w zakonie Pańskim ma swoje kochanie,
A w nim we dnie i w nocy pilne rozmyślanie.

Ten będzie jako drzewo przy wodach szczepione,
I szeroce z bujności wielkiéj rozkrzewione:
A cokolwiek poczynać człowiek taki będzie,
Pofortuni się dobrze z łaski Bożéj wszędzie.

Nie tożci szczęście będzie niepobożnych ludzi,
Ale jako proch, który wicher z ziemi zbudzi,
Po powietrzu tam i sam prędko się rozwieje:
Tak przez kaźń Boską każdy z nich marnie zniszczeje.

Niemniéj i inne pieśni pobożne, przy lekkiém zaniedbaniu swojém, mają zaletę w saméj prostocie wysłowienia, która jest wyrazem prawdziwéj modlitwy. Zasługują przytém na uwagę pod względem języka, który tu pierwsze przeciera sobie drogi na polu piśmiennictwa. Nie można ich chronologicznie układać, nie wiedząc z pewnością, kiedy która z tych pieśni powstała: widać w nich jednak stopniowy i nader szybki postęp, tak co do języka jak i budowy wiersza, pod piórem jednego pisarza. Do najdawniejszych zapewne należą następujące pieśni z Kancyonału Seklucyana, w których widzimy nietylko początkową nieudatność rymów, ale i ślady języka XV-go a nawet XIV-go wieku:

Modlitwa gdy dziatki spać idą.

Już się zmierzcha, nadchodzi noc,
Poprośmyż Boga o pomoc,
Aby on naszym stróżem był,
Od złych czartów nas obronił,
Którzy najwięcéj w ciemności
Używają swéj chytrości.

Jezu Chryste, Panie miły!
Tyś wszystkie piekielne siły
Przez mękę swoję poraził,
A nam wieczny pokój sprawił:
Raczysz miłosierny Panie
Wysłyszać nasze wołanie!

Zeszléj anioła świętego,
Aby mocą Bóstwa twego

Przed dusznemi przeciwniki,
Bronił nas twe służebniki,
I zachował bez *wszéj* szkody
Od każdéj nagłéj przygody.

Tobieć wszystko poruczamy,
Cokolwiek w swéj mocy mamy;
Co nam użyczył z łaski swéj,
Niech to będzie w opiece twéj:
Jenż z Ojcem i Duchem Świętym
Jesteś królem wiekuistym.

Pieśń na północy.

Panie Boże, bądź pochwalon wiecznie,
Żeśmy przez to północy *przespiecznie*
Za twoją strażą śpiąc odpoczywali,
Dobrodziejstwo *osobne* uznali.

Ztąd przykładem Dawida świętego,
Który wstawał czasu północnego,
Ku twéj chwale i my też wstawamy,
A Boskiéj twéj miłości żądamy.

O! nasz Panie, Ojcze dobra *wszego*,
Racz *zachować nas snu szkodliwego;*
Niech w stateczńéj wierze nasze dusze
K tobie czują, tak jako *przysłusze.*

Bo iż pewnéj nie wiemy godziny,
Kiedy ma przyjść Chrystus syn twój miły,
Nielża nam jedno ostrożnymi być,
A k'przyjściu się Pańskiemu *gotowić.*

Aby nas nagle nie zszedł śpiących,
Lecz *urzędu* swego pilnujących,
Jako w nowym zakonie jest dane,
Od Jego samego przykazane.

O! raczże dać przez jego zasługi,
Byśmy byli między wierne sługi,

Którzy pilnie *czuli*, policzeni,
A czartowskie pokusy *odżeni*.

Zaszczyćże nas przeciw jego mocy
Przez to drugie, nasz Panie, północy,
Byśmy byli, mając twą obronę,
Zawsze *przespieczni* na każdą stronę.

A gdy przyjdzie sądzić Syn twój miły,
Daj, abyśmy postawieni byli
Między ludem twym błogosławionym,
A tak z tobą wiecznie żyli.
Amen.

Do wcześniejszych także policzyć trzeba pieśń p. n. *Powszednia spowiedź*, ułożoną w kształcie akrostychu, w którym głoski początkowe każdéj wrotki składają imię i nazwisko poety: *Andrzéj Trzycieski*. Chociaż w wydaniu tém (w Krakowie u Łazarza Andrysowicza) zamieszczony drzeworyt wyraża rok 1532, wszelako druk jest późniejszy; sama zaś pieśń nosi znamiona téj saméj epoki, co wyżéj przytoczone pieśni, i weszła także do zbioru Seklucyana. Trzycieski przebywając w Królewcu (r. 1555), mógł do zamierzonego śpiewnika podać niektóre już dawniéj przez siebie ułożone pieśni, których dla krótkiego czasu nie zdołał już przero bić ani ogładzić.

Powszednia spowiedz.

Ach! mój niebieski Panie,
Boże Wszechmogący,
W jedności Trójce świętéj
Wiecznie królujący!

Nielża mnie upadłemu,
A złości pełnemu,
Jedno k'tobie się uciekać
Panu Bogu memu.

Dałeś mi tę otuchę
W Piśmie przez proroka,
Że ty śmierci nie pożądasz
Grzesznego człowieka.

Radziéj widzisz by powstał,
A przyszedł ku sobie,
I żył zawsze w pobożności
Ku czci Panie tobie.

Znając dobroć takową,
Któżby się nie cieszył?
Ku Panu tak łaskawemu
Któżby się nie spieszył?

Ej! nuż każdy żałując
Ze mną swoich złości,
Podnieś serce k'Majestatu
Jego wielmożności.

I *żądaj o przyczynę*
Syna jedynego,
Między nami a swym Ojcem
Jednacza prawego.

* *
*

Ty Wszechmogący Boże
Stworzenia wszelkiego,
Weźry okiem miłosierdzia
Na mię upadłego.

Raczysz mi być miłościw,
Wszak Syna twojego
Nadroższa śmierć nagrodziła
Winę mnie grzesznego.

Zgladzisz wszystkie okrutne
Moje nieprawości,
A racz stworzyć serce czyste
Od złych namiętności.

Y raz już we mnie ducha
Odnowić prawego,
Aby chodził w niewinności
Żywota świętego.

Cieszysz w nadziei świętéj
Duszę mą tęskliwą,

A ugruntuj duchem swoim
We mnie wiarę żywą.

I daj możne zwyciężyć,
Ciężkie bojowniki,
Ciała z światem i szatanem,
Nasze przeciwniki.

Ej! nigdy nieprzebrana
Studnico miłości,
Racz *posilać* łaską swoją
Me wielkie krewkości.

Spomóż pielgrzyma swego,
A nie daj zabłądzić
Od królestwa, któreś raczył
Swoim wiernym zrządzić.

Kryste Zbawicielu nasz,
U Ojca wiecznego,
Swą przyczyną na wszelki czas
Ratuj służkę swego.

Jać się tobie w moc dawam,
I z duszą i z ciałem,
Boś ty sam jest Pan nad Pany
Na wiek wieków. *Amen.*

Gładsze już i wprawniejsze występuje pióro w innych podobnego rodzaju pieśniach, gdzie język pozbywa zwolna pierwotnych form i archizmów, a w miarę wzrastającéj swobody wysłowienia i wiersz zyskuje na sile i wdzięku.

Pieśń na północy.

(*z łacińskiego: Nocte surgentes vigilemus omnes*).

W nocy powstawszy bądźmy wszyscy czujni,
Swéj powinności ze wszech sił pilnujmy,
Wesołe pieśni Panu zaśpiewajmy,
Chwałę *wzdawajmy.*

Byśmy przy króla swego świętéj chwale
Aż do skończenia trwając zawsze stale,
Z jego świątyni mieli w niebie wieczny
Żywot społeczny.

O! wieczne Bóstwo, domieśćże nas tego
Ojca i Syna i Ducha Świętego,
Którego sława po *wszem* świecie słynie,
Nigdy nie minie.

Pieśń ranna gdy słońce wschodzi.

Już weszło światło słoneczne:
My przez modlitwy społeczne,
Słuszna byśmy Panu swemu,
Bogu Ojcu niebieskiemu,
Nabożnie chwałę dawali,
O pomoc jego żądali.

Aby w te dzisiejsze sprawy,
Jako obrońca łaskawy,
Raczył nas sługi swe bronić,
Mocną ręką swą uchronić,
Od *wszego* nam szkodliwego,
Z poduszczenia czarta złego.

Język nasz aby hamował,
A ku czci swojéj sprawował,
By snadź co z przyczyny jego
Nie urosło burzliwego.

Iż skoro jedno dzień przejdzie,
A nocna ciemność nadejdzie,
Byśmy w świętéj wstrzymałości,
Czyści będąc, i w trzeźwości,

Jemu cześć, chwałę *wzdawali*,
A tak wesoło śpiewali:
Bogu Ojcu Wszechmocnemu,
I Synowi jedynemu,

Także świętemu Duchowi,
Dusz naszych *cieszycielowi*,
Niechaj będą zawsze dzięki,
I cześć i chwała na wieki.
Amen.

Godzi się równie przytoczyć tu, chociaż w części, *Modlitwę albo pieśń, gdy rano dziatki wstają* („*Rano wstawszy ze snu swego*“ i t. d.)

Ku czci swéj, Ojcze łaskawy,
Racz obracać nasze sprawy,
I własne i pospolite:
Niech zawsze biorą obfite
W łasce twojéj pomnożenie,
Boś ty nasze wspomożenie.

Anielską straż miéj nad nami,
Nad twojemi dziateczkami:
Tak nas żadna rzecz nie ruszy,
Która z szatańskiéj pokusy
Na ludzi zwykła przychodzić,
Duszy, ciału wielce szkodzić.

Nie dotykamy tu bynajmniéj strony estetycznéj, bo pienia tego rodzaju, jako proste modlitwy, wolne są od krytyki. Najpiękniejsze są kiedy ze szczerego serca płyną. Wiejący z nich duch pobożności, forma prosta, wysłowienie gładkie, język czysty i poprawny, stanowią istotną ich zaletę.

W innych jednakże poezyach *Trzycieskiego* zwłaszcza religijno-obyczajowych, i tych które do późniejszéj epoki należą, widzimy już nietylko krok znaczny w uprawie języka i zewnętrznego wierszopistwa, ale i ślady obudzającego się ducha poety. Z takich wymienić można pieśń znajdującą się na końcu poematu Mikołaja Chrysztoporskiego p. n. *Niniwe miasto*, *wyd. w Krakowie 1572 r.*

Pieśń statecznéj krześciańskiéj pani, która Bogu za tę ozdobę dziękując, że jest w kościół jego wszczepiona, obyczaj pobożny szafunku majętności ziemskiéj ten być pokazuje, poratowanie a mnożenie kościoła świętego.

Jest to akrostych, w którym począwszy od drugiéj zwrotki,

początkowe głoski każdéj strofy wyrażają: *Reynie Bużenskiej, pomnoż Boże, Podskarbinéj ziemskiéj:*

Dary Twoje! o wieczny a wszechmocny Panie!
Naprzedniejsze są serca mojego kochanie,
Wiedząc jakoś mię zacnie sługę swą ozdobił,
Gdyś mię w poczet swych wiernych z łaski swéj sposobił.

Ręce tedy podnosząc k'Majestatu twemu,
(Gdyż człowieku nie może klejnot najświętszemu
Nad ten być kosztowniejszy) cześć i chwałę wieczną
Zawsze tobie oddawam ofiarą serdeczną.

I nie głupiż to człowiek, a na swém baczeniu
Okrutnie obłądzony, który o zbawieniu
Nic nie dbając, chwyci się spraw świata sprosnego,
A wszystkę chuć podawa na marności jego?

Bujać on myślą swoją wysoko złośliwą,
Lecz go Pan Bóg i z rotą jego obłędliwą
Stłumi, że się nie łączył do stada świętego,
Gdzie prawe używanie i uznanie jego.

Skarbić na to, pracę swą na to ziemską chować,
By się ztąd kościół Boży możnie mógł zbudować,
Toć jest rozum przedniejszy, toć skarb znamienity,
Który czyni pożytek tak bardzo obfity.

Nędznik ci to, nie bogacz, co jedno na dzieci
Ścisło zbiera, co potém prędko się rozleci,
Ani ku dobréj sławie, ani ku ludzkiemu
Pożytku, gdyż on mierzył ku końcowi złemu.

Ostatnie dwie strofy godne są pióra Kochanowskiego.

Z poezyi innego rodzaju przywiodę tu jeszcze epigrammat, zamieszczony *w Apokalipsie* Rejowéj (wyd. w Krakowie r. 1565):

Na obraz Mikołaja Reja z Nagłowic.

Ulisses był nie cudny, lecz wymowa jego
Sprawiła, że i dziś ma wieczną sławę z tego.

Także ten nasz Ulisses z narodu polskiego
Sprawił sobie, co poznasz i z pisania jego.
A k'temu przyrodzeniu iściebych był życzył,
Aby się był gdzie dalej, nie wszystko tu ćwiczył,
Byłby drugi Homerus, albo Polski Plato,
Acz nam jednak Polakom przedsię stoi za to.

Język *Trzycieckiego*, jak z przytoczonych wyżéj widać przykładów, zachowuje jeszcze gdzieniegdzie starodawne wyrazy i formy, tak grammatyczne jak i syntaktyczne, odnoszące się do najdawniejszych epok piśmiennych, a które od końca XV wieku już wychodziły z użycia. Do takich należą:

cieszyciel, zamiast *pocieszyciel*. „Dusz naszych cieszycielowi."

czuć ku komu. „Niech w statecznéj wierze nasze dusze k'tobie czują."

czyst, przymiotnik w formie rzeczownikowéj, pierwotnie najpowszechniejszéj. „Iż każdy jako kryształ czyst przed światem stanie."

darować kogo, zam: *obdarzać*. „Że nas żywisz, chowasz i darujesz."

gotowić się zamiast dzisiejszego *gotować*, które bierze się w różném znaczeniu. „A k'przyjściu się Pańskiemu gotowić."

jenż (jen, jenże) to samo co *który*, powszechne aż do końca XV wieku, i jeszcze w XVI się pokazuje. Zaimek *który* był wtedy pytający, rzadko względny. „Jenż z Ojcem i z Duchem Świętym jesteś królem wiekuistym."

imo, zam. mimo. „Wiele błędów dzisiejszych imo się puszczając."

iście, zam- zaiste, zaprawdę. „A k'temu przyrodzeniu iściebych był życzył."

nielża, *nielża* zam. niewolno, nie godzi się, nie przystoi „Nielża mnie upadłem jedno k tobie się uciekać." „Nielza nam jedno ostrożnymi być, a k przyjściu się Pańskiem gotowić."

niepomazane, t. j. nieskażone, niepokalane. „Ciała niepomazane."

nieprzespieczności, zam. niebezpieczeństwa. „Nocne nieprzespieczności."

pofortunić się, t. j. poszczęścić. „Pofortuni się dobrze z łaski Bożéj."

posilać, zam. umacniać, utwierdzać. „Racz posilać łaską swą me wielkie krewkości." „W prawéj wierze *posilenie*." W Psałterzu Flor. (141) mamy *posilniony* (confortatus).

przespieczni, zam. bezpieczni. „Byśmy byli zawsze przespieczni.“

przespiecznie, zam, bezpiecznie. „Ześmy przez to północy przespiecznie odpoczywali.“

przysłusze, t. j. jak słusznie przystoi, przynależy. „Niech w statecznéj wierze nasze dusze k'tobie czują, tak jako przysłusze.“

radziéj, stopień wyższy od zatraconego przysłówka *rado*. „Radziéj widzisz, by powstał a przyszedł ku sobie.“

urząd, zam. powinność. „Aby nas Pan nie zszedł nagle śpiących, lecz urzędu swego pilnujących.“

wiarować się, t. j. strzedz, chronić. „Naśmiewców się spraw boskich stolice wiaruje.“

wiarowanie, chronienie się, wystrzeganie. „A wszech niezbożnych rzeczy wiarowanie.“

wieldzy, jest odmiana pochodna od przymiotnika *wielgi*, w najdawniejszéj polszczyznie używanego zarówno jak *wielki*, i który dotąd utrzymuje się w ustach ludu.

wysłyszać, zam. wysłuchać. „Raczysz miłosierny Panie wysłyszać nasze wołanie.“ (W Psał. Flor. czytamy po kilkakroć *wysłuszaj* (26, 54).

wzdawać, zam. oddawać. „Wesołe pieśni Panu zaśpiewajmy, chwałę wzdawajmy.“

zaszczycić, zam. zasłonić, obronić. „Racz też nas i dnia tego zaszczycić od wszego złego.“ „Zaszczyćże nas przeciw jego mocy.“

zachować, z 2-gim przypadkiem: „Racz zachować nas snu szkodliwego.“

zruszon, zam. wzruszon. „Nie będzie zruszon na wieki.“

żądać o co, zam. *prosić*. „I żądaj o przyczynę Syna jedynego.“ „Słuszna byśmy Panu swemu nabożnie chwałę dawali, o pomoc jego żądali.“

W odmianach imion rzeczownych nie natrafiamy już, jak u Reja, zakończeń 7-go przypadku l. m. na *ech* i *och* (wyjąwszy *leciech*); zdarza się za to przyp. 3-ci l. p. w rzeczownikach męzkich zakończony (przeciw zwyczajowi dzisiejszemu) na *u* zamiast owi, np. *synu*. „Bądźże chwała Bogu Ojcu, także jedynemu Synu.“

Zaimek osobisty *on* w odmianach swoich: *jego*, *jemu* i t. d. położony z przyimkiem, nie przybiera jeszcze jednostajnie dodatku eufonicznego *n*; np. „Od *jego* samego przykazane.“ Wszelako czytamy już częściéj: „My nędzni chrobaczkowie *od niego* odbieramy.“—„Tak przez kaźń boską każdy *z nich* marnie zniszczeje.“

W odmianie słów widzimy formę trybu rozkazującego, jak w wieku XIV i XV, jeszcze nieustaloną. I tak, natrafiamy w wielu

miejscach: *weźry*, *patrzy*, *odżeni*, *nawidzi*, *cieszysz*, *zgładzisz*, *raczysz* *i racz*—ale gdzieindziéj już prawidłowo: *spomóż*, *pomnóż*, *zaszczyć*, *zeszlej* np. „Weźry okiem miłosierdzia na mię upadłego."—„Patrzy mocą swą złego przeciwnika naszego." — „A czartowskie pokusy odżeni."—„Ty serca nasze nawiedzi."

Słowo częstotliwe ukazuje się jeszcze w najdawniejszéj formie zakończenia na *awać*, *awa* (zam. *ywać*, *iwa*) np. „Przysięga swemu bliźniemu, a nie *oszukawa*."

Pisownia *Trzycieskiego*, jakkolwiek oczyszczona już z wielu zdrożności, nie ma wszelako żadnych jeszcze ustalonych i wyrozumowanych zasad. Najpospoliciéj *z*a znamię *z*miękczenia i w miejsce dzisiejszego *j* używa *y*. Za *sz* pisze *ss*.

Inne brzmienia, zwłaszcza złożone, nie są pisane jednostajnie. Przytoczę tu choć krótki przykład:

Ach moy nyebeski Panye,
Boze wssechmogący,
W yednosci Troyce Swyętey,
Wyeczne kroluyący.
Nyelza mnye upadłemu,
A zlosci pełnemu,
Yedno k tobye sye ucyekać,
Panu Bogu memu.
Dałeś mi tę otuchę,
W Pismye przez Proroka,
Że ty śmyerci nye pożądasz
Grzesznego człowyeka.
Radssey widzisz by powstał
A przyssedł ku sobye,
Y zył zawssye w pobozności,
Ku tci Panye tobye.
Znayąc dobroć takową,
Ktozby sye nye tyeszył,
Ku Panu tak łaskawemu
Ktozby sye nye spyessył —
i t. d.

LITERATURA KANTONU VAUD

skreślił

T. T. JEŻ.

Etudes sur l'histoire de la Suisse française, particulièrement dans la seconde moitié du XVIII siècle, przez *E. H. Gaullier; Histoire du canton de Vaud p. A. Verdeil; Genève et les rives du Leman p. Rod. Rey; Les poëtes vaudois contemporains p. A. Vulliet; Histoire de la Confédératon Suisse p. A. Daguet; le Canton de Vaud p. I. Olivier; le Canton de Vaud p. Villemain, etc.*

W wędrówkach moich po świecie wpadło mi w oczy postrzeżenie jedno, które uderzyło mnie w sposób osobliwy, pomimo że nie zaleca się ani nowością, ani oryginalnością. Wpada ono w oczy podróżnikowi każdemu. Przejeżdżając z miejsca na miejsce, postrzegać się dają, obok podobieństw ogólnych, różnice zachodzące pomiędzy miejscowościami jedną a drugą, a odnoszące się nietylko do strony zewnętrznéj, ale i do wewnętrznéj, nie tylko do położenia, szczegółów topograficznych i osobliwości dziełem ręki ludzkiéj będących, ale oraz i do ludzi samych, do ich temperamentu i charakteru, do ich fizyognomii moralnéj. Rzecz naturalna, sądzić o tém, w punktach zwłaszcza zbliżonych, należy, nie z okna wagonu na kolei żelaznéj, ani też z pobytu chwilowego. Niekoniecznie atoli potrzeba przebywać nader długo w dwóch miejscowościach ościennych, ażeby się o téj powszedniéj przekonać prawdzie, że nie masz na świecie podobieństw absolutnych. Wszędzie i we wszystkiém, różnice, różnice i różnice. Człowiek różni się od człowieka, wieś od wsi, miasto od miasta, prowincya od prowincyi, naród od narodu.

Przyczyny różnic owych są mniéj więcéj znane, ogadane i usprawiedliwione, w odniesieniu zwłaszcza do faktów na wielkie

rozmiary. Dlaczego, naprzykład, Francya, mimo blizkie sąsiedztwo, odrębna jest od Anglii, od Hiszpanii, od Włoch, od Niemiec, dlaczego Francuz nie jest ani Anglikiem, ani Hiszpanem, ani Włochem, ani Niemcem, rozumie każdy. Każdy téż rozumie, zkąd się to wzięło, że we Francyi samėj, Bretończyk jest Bretończykiem, Gaskończyk Gaskończykiem, Sabaudczyk Sabaudczykiem. Są to fakta naturalne i widoczne, a dotykalne niemal, które, przyjmowane jak są, służą za ważne skazówki w badaniach o początkach narodów.

Na powierzchni ziemi, rozpadającéj się naturalnie na okolice, w okolicy każdéj, przez rodzaj człowieczy zamieszkanéj, utworzył się punkt ogniskowy, około którego ugrupowała się narodowość odrębna. Stało się to pod wpływem tysiąca przyczyn i okoliczności i wyraziło pod postacią następstw faktycznych. Narodowości potworzyły się w taki mniéj więcéj sposób, jak z ziarn tworzą się rośliny.

Przeniosłszy się myślą w narodów czasy pierwotne, nie można wyobrazić sobie ziarn owych inaczéj, jak w znacznéj jedno od drugiego odległości. Zaludnienie małe osiadało rodzinami, gromadkami, plemionami, szukając sobie punktów najdogodniejszych pod względem stosunków wewnętrznych, stosunków, które w odniesieniu do czasów onych byly patryarchalnemi, plemiennemi; w odniesieniu zaś do czasów obecnych są ekonomicznemi. Jądro narodowości stanowił punkt środkowy ekonomicznéj ciężkości. Jąder tego rodzaju była mnogość wielka, dziś jeszcze widna w różnicach, jakie zachodzą pomiędzy stykającemi się okolicami, w których miasto, miasteczko, wieś niekiedy, ogniskując w sobie ruch ekonomiczny, odegrywa rolę stolicy naturalnéj.

Z upływem czasu, z pomnożeniem się ludności, z wytworzeniem się nowych, rzeczywistych i urojonych potrzeb, wywiązały się formacye państwowe. Te nie uwzględniały grup naturalnych; przeciwnie, gwałciły je, rozpędzały, dzieliły, kawałkowały, rozbijały, psując dzieło natury z zawziętością niesłychaną. Pomimo to, nie zdołały one zniszczyć doszczętnie wytworów tych samoistnych. Zmusiły je jednak do przeobrażeń rozlicznych, dzięki którym trudne jest wielce odszukiwanie w czasach obecnych pierwotnych zaczynów narodowościowych. Trudność ta wszakże nie je st niepokonana. Kierując się wedle punktów środkowych ciężkości ekonomicznéj, można państwa rozłożyć na pierwiastki naturalne: można je rozłożyć na części składowe, na narodowości pierwotne, na—że się tak wyrazimy—ojczyzny ściste, z których powstała i urobiła się ojczyzna obszerna,

ogólna, officyalna. We Francyi ojczyzn ścisłych dałoby się odszukać do ośmdziesięciu, w Niemczech bodaj czy nie więcéj, w Anglii, w Hiszpanii, we Włoszech, wszędzie ilość ogromna. Centralizacya państwowa zaciera je i w cień spycha, lecz nie jest w stanie pozbawić ich życia własnego, cząstkowego, składającego się na życie ogólne w stopniu większym lub mniejszym, stosownie do czasu, w jakim je okoliczności stawiają, a objawiającego po wsze czasy dążenie do samorządu, będące niczém innem, jak tylko protestacyą ustawiczną przeciwko pogwałceniu, jakiego organizacya sztuczna dopuściła się względem organizacyi naturalnéj. Gdzie pogwałcenie to w mniejszym istnieje stopniu, bardziéj zaś gdzie wcale nie istnieje, tam ojczyzna ściślejsza żyje życiem własném w pełni całéj, bez krzywdy niczyjéj, a z pożytkiem niemałym dla wszelkich życia objawów.

To ostatnie widzieć się daje w kantonach szwajcarskich.

Szwajcarya, na pierwszy rzut oka, dziwném jest i dziwaczném śród Europy zjawiskiem. Wygląda na istną anomalią. Z jednéj strony przylega do niéj Francya, a w téj, pomimo że się ochoczym sposobem odzywają zasady przez Żyrondystów niegdyś głoszone, lecz zasady te zagłuszane są przez nawskroś centralizacyą nabrzmiałe hasła patryotyczne, wykrzesywane ze wspomnień tryumfów wielkich i klęsk wielkich; ze stron innych otaczają ją Niemcy i Włochy, gdzie centralizacya pełną oddycha piersią, gdzie tak zwany „partykularyzm,“ głuszony maczugą przemocy i smagany rózgami szyderstwa, głosu podnosić nie śmie. Śród państw tych olbrzymich, ona, „rozpartykularyzowana,“ rozczłonkowana, złożona z państw dwudziestu pięciu a licząca mieszkańców mało więcéj niż półtrzecia miliona, wydaje się czémś nakształt szyderstwa w obec rozumu, opierającego się na dziesiątkach milionów głosów i podającego centralizacyą wielką a silną za zadanie ludzkości i za rękojmią postępu. Patrząc na nią i porównywając ją z mocarstwami sąsiedniemi, ciśnie się do myśli mimowolnie ta uwaga, że albo te ostatnie na błędnéj znajdują się drodze, albo ona; inaczéj, że prawda owa, która, wychodząc z punktu autonomii osobistości człowieczéj, tkwić powinna w organicznych fundamentach zbiorowości ludzkich zwanych państwami, ażeby zbiorowości owe czynić mogły zadość zadaniu ludzkości, znajduje się albo tu, albo tam.

Uszanowanie osobistości człowieczéj leży w głębi dążeń do samorządu, o których wspomnieliśmy powyżéj. W ustrojach państwowych, w jednych więcéj, w drugich mniéj oddalono się od niego, a zatém w jednych bardziéj, w drugich w mniejszym stopniu uczyniono zadość dążeniom do samorządu.

Szwajcarya odznacza się tém, że w niéj ustrój cały ma za punkt wychodni jednostkę człowieczą pojedynczą, obywatela, stanowiącego niejako pestkę polityczną. Około obywatela osnuwa się gmina, około gminy obwód, około obwodu kanton-państwo. Ustrój ten odmodelowany jest według wzoru pierwotnego, zatartego i w części zatraconego w państwach wielkich ościennych. Ztąd w Szwajcaryi samorząd w całéj istnieje pełni i tu też lepiéj aniżeli gdzieindziéj postrzegać się dają różnice pomiędzy okolicami, postawionemi na stopie państw odrębnych. Każda żyje życiem własném, starczy sobie sama i samodzielnie się rozwija. Rozczłonkowanie to Szwajcaryi nie przeszkadza jéj bynajmniéj podążać, na równi z mocarstwami największemi i najmocniéj zcentralizowanemi, drogą postępu. Kanton każdy idzie zosobna, kroczy naprzód, rozwija się wszystkiemi naraz zasobami, złożonemi w społeczności ludzkiéj, rozwija się, najprzód na rachunek i pożytek własny, następnie, na rachunek i pożytek Szwajcaryi i ludzkości—rozwijając się zaś, zachowuje zawsze cechy, które mu są właściwe, a które przebijają się we wszelkich produkcyach tak myśli, jak fantazyi.

I.

Pomiędzy literaturą a historyą ścisły zachodzi związek. Chcąc pisać o jednéj, nie sposób pomijać drugiéj.

Historya kantonu Vaud głęboko sięga w starożytność, sięga bowiem w czasy przedhistoryczne, o których świadectw pełno po muzeach kantonowych. Jeziora Newszatelskie i Lemańskie uważać można jako muzea, we względzie mieszkań napalowych. Nieme te świadectwa jednak, otwierając szerokie domysłom pole, nie dostarczają materyału do budowania historyi, która zarysowuje się wyraźniéj wówczas dopiero, gdy populacye, zaludniające północne okolice Lemanu, weszły w styczność z Rzymem. Nastąpiło to przed narodzeniem Chrystusa na lat półtorasta. W roku 120 przed N. C., Genewa znajdowała się już w posiadaniu Rzymian. Od tych ostatnich wiemy, że wybrzeża jeziora zamieszkiwały plemiona celtyckie, pokrewne Celtom zaludniającym Gallią, a zwane Helwetami. Te, z upływem czasu, uległy orężowi Rzymu, pod panowaniem którego przyjęły cywilizacyą rzymską, złaciniły się w tym samym co reszta Gallii stopniu. Rzymianie zakładali kolonie wojskowe, które zmieniły się w miasta. W ten sposób założonemi zostały: Noviodunum (Nyon), Lousonna (Lozanna), Ebrodunum

(Yverdun), Minidunum (Moudon), i inne. Budowano drogi wojenne. Na gruncie kantonu Vaud znajdowała się stolica posiadłości rzymskich w Helwecyi, Aventicum (Avenche), posiadająca akademią i teatr.

Tak tedy, zaczątki cywilizacyjne odnoszą się do Rzymian. Rzymianie założyli tło, wprowadzili na brzegi Lemanu religią, sztuki, literaturę; na tle tém wieki następne szczepiły rozwój dalszy, który ulegał kolejom tym samym, jakim ulegała Gallia. Wprowadzenie chrześciaństwa zmieniło prąd rozwoju: najście barbarzyńców powstrzymało takowy. Północno-wschodnią część Helwecyi zaleli Allemanie; południowo-zachodnią zajęli (456 po N. C.) Burgundowie—pierwsi zgermanizowali ludy któremi zawładnęli, drudzy zromanizowali się sami. Konsolidacya zaborów tych nastąpiła w V wieku po Chr.,—nastał system feudalny, który wywołał współzawodnictwo ze strony kościoła i opór ze strony miast. Kraj rozpadł się na drobne udziały, zależne od cesarza, od króla, od grafów i baronów, od biskupów i opatów, od samych siebie wreszcie o tyle, o ile zdobywać zdołał przywileje i utrzymanie się przy takowych. Ludność podzieliła się na stany i podszyła warstwą spodnią klassy niewolniczéj, *taillable, corvéable et mainmortable à merci et à miséricorde*. Okolica cała napełniała się zamkami obronnemi, których, ilość powiększając się ustawicznie, utrzymywała zamęt, niesprzyjający pracy umysłowéj. W stanie zamętu tego kanton Vaud przebył epok kilka, zaznaczonych następującemi po sobie kolejno panowaniami Francyi, Burgundyi, cesarstwa i Sabaudyi; każda z epok tych pozostawiała po sobie osad, urabiający grunt społeczny; każda wprowadzała modyfikacyą sobie właściwą, która się odbijała na społeczności; każda jednak gruntowała zasady katolickie, monarchiczne i arystokratyczne.

W takim stanie rzeczy cywilizacya rozwijać się nie mogła. Krainę otaczały gęste cienie; oświata była udziałem duchowieństwa, ale jednostronna i spożytkowywana na wyłączną kościoła korzyść. Narodowi, dostawały się odpadki, które on przerabiał na legendy i fantastyczne powieści, o duchach, o zakonnikach, o biskupach świętych, o rycerzach, o królowéj Bercie, na piosnki przygodne i miłosne układane w *patois* nie pozbawionym wdzięku śpiewnego. Lud waldeński, wesoły z temperamentu i lubiący się zabawić przy okazyi, lubi też śpiewać, lubi śpiewami wtórować sobie przy zajęciach powszednich, domowych i rolnych. Utwory tego rodzaju tworzyły się same przez się i rozchodziły, jedne się zapominały, drugie powstawały, przerabiane wedle czasu, miejsca i okoliczności.

Pomiędzy podaniami i powieściami niektóre noszą na sobie cechy poetyczne. Podanie naprzykład, przywiązane do wybrzeży jeziora Lemańskiego, opowiada, że w dawnych, bardzo dawnych czasach jezioro nie istniało. Na miejscu, które ono obecnie zajmuje, rozlegała się obszerna, rozkoszna dolina, środkiem któréj przerzynał się Rodan, a dokoła piętrzyły góry. Zdarzyło się raz tak, że do gór przyszło w gości morze i takiego doznało przyjęcia, tak mu się tu podobało, iż odchodząc, zostawilo górom w upominku portret własny—jezioro Lemańskie, będące w rzeczy saméj wizerunkiem morza w miniaturze, oprawionéj w ramy cudne.

Przytoczę jeszcze jedno podanie. W Avenche stolicę biskupią zajmował św. Protazy, którego cnotą główną byla pokora tak wielka, iż za życia swego często się z tém odzywał, że chce być po śmierci tak pogrzebanym, ażeby ludzie deptali po nim. Nastąpił najazd Germanów, którzy miasto zdobyli i w ruinę obrócili. Biskup usunął się w puszczę, rozlegającą się u stóp gór Jura, gdzie umarł. Złożono go do trumny — od czego miejscowość dostała nazwę Bière (trumna) — i biskup lozański nakazał sprowadzenie zwłok jego do Lozanny, w celu złożenia takowych w katedrze. Cała kapituła towarzyszyła przenosinom ciała świętego; orszak szedł powoli z chorągwiami, ze śpiewaniem hymnów pogrzebowych, z kadzeniem. Doniesiono w ten sposób zwłoki do kapliczki, wznoszącéj się nad brzegiem jeziora Lemańskiego. Gdy przestępowano próg kapliczki onéj, trumna stała się nagle tak ciężką, iż udźwignąć jéj sposobu nie było. Rozpoznano w tém wolę świętego. Wykopano grób i złożono go pod progiem, kapliczkę zaś zmieniono w kościołek, który po dziśdzień istnieje. Kościołek ten był celem pielgrzymek pobożnych tak długo, aż nastała reformacya i miejsce proboszcza katolickiego zajął pastor protestancki. W miejscu tém powstała osada, nazwana od imienia świętego biskupa Saint Prèx. Mieszkańcy dzisiejsi, protestanci po największéj części, przyjmują podanie to z wiarą pełną i szanują pamięć biskupa, którego zwłoki spoczywają pod progiem ich świątyni starością nacechowanéj, pomimo że i pielgrzymki oddawna ustały, i święty cudów nie czyni żadnych.

Do każdego niemal zamku, do każdéj prawie ruiny przywiązane jest opowiadanie jakieś, odnoszące się do wieków dawno minionych a woniejące wonią wieków średnich. Nie rzadko też i duchy rolę odegrywają, tak że dziś nawet przy oświacie, która w kantonie Vaud stoi na stopniu cale wysokim, znajdują się miejsca opuszczone, z powodu podań o duszy pokutującéj w sposób

zupełnie podobny do tego, w jaki podania tego rodzaju urobiły się w innych krajach pod wpływem katolicyzmu.

Najpopularniejszą jednak postacią w podaniach występującą, jest *la bonne reine Berthe*, dobra królowa Berta, małżonka Rudolfa II króla Burgundyi Transjurańskiéj i Cisjurańskiéj, który panował w pierwszéj połowie wieku X. O królowéj Bercie opowiada się w kantonie Vaud tak, jak o osobistości niedawno ze świata tego zeszłéj. Przedstawiają ją pod postacią prządki, jeżdżącéj na koniu z kądzielą za pasem, przez góry i doliny, przędącą i siejącą dobrodziejstwa. Podań o niéj krąży mnóstwo, i dużo miast, klasztorów, kościołów i zakładów dobroczynnych początek swój do niéj odnosi; każdy Waldeńczyk, dziecko każde w kantonie Vaud wie o niéj; po muzeach przechowują relikwie jéj przypisywane: w Payerne, gdzie umarła i pogrzebaną została, pokazują siodło, na którém ona dobroczynne swoje odbywała wędrówki.

Do zauważania jest, że w podaniach wszystkich, przechowanych z czasów dawniejszych a krążących obecnie, przebija się wyraźnie i wyłącznie duch katolicko-monarchiczny. Zadziwia to w kraju protestanckim i republikańskim i nadaje mu fizyognomią dwoistą: inną, kiedy się na nią zapatruje przez pryzmat tradycyi, inną w praktyce życiowéj.

W czasach, w których się pod wpływem kościoła katolickiego, zamków feudalnych i panowania obcego tradycye poetyczne urabiały, oświata pozostawała w pieluchach, kołysana do snu przez księży; literatura nie istniała wcale. Pozostały wprawdzie z czasów owych kroniki i literackie próby, te atoli nie wliczają się do literackiego inwentarza kantonu, autorstwo ich bowiem odnosi się po większéj części do cudzoziemców, osiedlonych nad brzegami Lemanu i nieodłączających losów ziemi waldenskiéj od losów Sabaudyi. Pierwszym waldeńskim kronikarzem jest Piotr z Pierrefleur. Utwory te pisane są językiem francuzkim, wszyscy bowiem autorowie, z wyjątkiem tego ostatniego, są to Francuzi. Jeden z nich Marcin Lefranc, dziekan kapituły lozańskiéj i sekretarz Amadeusza VIII, tłómaczył Biblią. W rękopisie onéj czyta się dopisek następujący: „*Cy commence le livre de Jérémie, translaté de latin en françois par M. Martin Le Franc, du siége apostolique protonnotayre et prevost de Lausanne, et escript par la main du moi, J. Servion, citoyen de Genève, premier varlet de chambre de l'empereur Fréderic, et escuyer d'Escurye de mon très redouté seigneur monseigneur le Duc de Savoie.*“ Słuszną robi uwagę autor *Studyów nad historyą literatury Szwajcaryi francuzkiéj*, że w czasach onych tuziemiec „sługa książąt znakomitych“ uważał sobie za wielki zaszczyt być

prostym kopistą. Sztuka pisania mało znaną jeszcze Waldeńczykom była i nie posiadała pośród nich mistrzów. Ludność zdobywała się na czeladników zaledwie, i to nie nader biegłych. Ów J. Servion, którego dopisek przytoczyliśmy powyżéj, nad przepisaniem na czysto jednego tomu tłómaczenia Biblii pracował lat pięć, od 1455 do 1460.

W pierwszéj połowie wieku XVI (1536) ziemia Vaud, wraz z miastem Lozanną, która z obwodem swoim stanowiła państwo oddzielne pod berłem biskupa, dostała się pod panowanie Rzeczypospolitéj Berneńskiéj, rządzonéj oligarchicznie.

Kanton Vaud przechodził kolejno z pod panowania jednego pod drugie. Niepodległość była mu nieznaną — ani marzył też o niéj, przyjmując zmiany berła z obojętnością i okazując się żarliwym w jednym tylko względzie, a mianowicie, we względzie przywiązania do wiary ojców, szczególnie zaś do Przenajświętszéj Dziewicy, pod wezwaniem któréj w Lozannie wspaniała wznosiła się katedra, napawająca Waldeńczyka każdego czcią i dumą. Ruch reformatorski nie znalazł śród nich rozgłosu. Ziemia Vaud nie poszła za przykładem Genewy. Pierwsi kaznodzieje protestanccy, Farel i Vives, o mało ukamienowanymi nie zostali; musieli się wynosić prędko kosztem własnym; lecz powrócili pod opieką oręża berneńskiego i dokonali nawrócenia w krótkim czasie. Wielką w tém pomoc znaleźli w niekoniecznie przykładnéj konduicie duchowieństwa katolickiego, które posiadając dobra ogromne, obracało bogactwa na życie rozkoszne. We względzie tym odznaczała się szczególnie stolica biskupia, Lozanna. Krainę napełniało więcéj aniżeli pięćdziesiąt opactw i przeorstw: niektóre z klasztorów posiadały prawa zwierzchnicze i panowały nad dużemi obszarami. Berneńczycy wyzwali stary kult do dysputy uroczystéj, która się odbyła w katedrze Najświętszéj Panny w Lozannie. W turnieju tym teologicznym, trwającym przez tydzień cały, wzięły udział głowy najtęższe, Kalwin, Farel i Vives. Strona jedna nie przeparła drugiéj, racya atoli pozostała przy protestantach, którzy rozporządzali siłą orężną. Berneńczycy zarządzili głosowanie w kraju całym; większość oświadczyła się za nowém wyznaniem; mniejszość uledz musiała. Nastąpiło kassowanie klasztorów i konfiskata kościołów i dóbr. Te ostatnie rząd berneński przeznaczył w części na utrzymywanie nowéj religii, w części na zakłady mające na celu dobroczynność i pożytek ogólny.

Reformacya stała się dla Waldeńczyków wielkiém i prawdziwém dobrodziejstwem, które, odradzając ich moralnie, przysposobiło następnie do niepodległości. Excellencye berneńskie—tak ty-

tułowano oligarchów, co władzę najwyższą sprawowali — łączyli religią z polityką, i przez politykę, we własnym interesie, w celu utworzenia sobie silnego w kraju podbitym stronnictwa, faworyzowali ludność wiejską przeciwko miastom i zamkom. Dzięki polityce téj, zręcznéj i do okoliczności ówczesnych dobrze zastosowanéj, w ziemi Vaud rozwijały się i gruntowały instytucye demokratyczne, powołujące do życia warstwę narodu dotychczas wydziedziczoną a liczną i zdrową. Miasta ograniczone do spraw, nie wychodzących poza zakres gminy miejskiéj, obracały się w kółkach municypalnych. Arystokracya, odsunięta od urzędow i dostojeństw i pozbawiona wpływów, posiadała swobodę całą a jedyną, żyć i rujnować się. Kraj podzielony na okręgi, pozostawał pod zarządem urzędników przez władzę najwyższą mianowanych, baillich, którzy administrowali i dozorowali, traktując mieszkańców kantonu jak poddanych miasta Bernu. Bern nie tykał przywilejów społecznych: usunął jeno katolicką klassę duchowną, zresztą ustrój cały pozostawił jak był, odjąwszy znaczenie polityczne i zastąpiwszy duchowieństwo katolickie przez duchowieństwo protestanckie, nieliczne, ale dobrane pod względem biegłości teologicznéj i czystości obyczajów. Zaprowadził też cenzurę moralności publicznéj i prywatnéj i założył akademię w Lozannie.

Panowanie Bernu, acz dokuczliwe i bezwzględne, wywarło jednak zbawienny na ziemię waldeńską wpływ, przedewszystkiém ukonsolidowało narodowość, któréj zagrażało zaginięcie w objęciach jeżeli nie Sabaudyi, to Francyi. Byt wieśniaka polepszył się; w klassie średniéj szerzyć się poczęła nieznana dotychczas oświata; jedna tylko klassa wyższa znalazła się bez gruntu pod nogami, bez przyszłości na śmieciskach własnych, bez karyery, któréj też szukać zmuszoną była u obcych, w szeregach wojskowych we Francyi, w Anglii, w Hollandyi, w Rossyi, w Niemczech, słowem wszędzie, gdzie urodzenie otwierało perspektywę awansów, z wyjątkiem kraju rodzinnego. Berneńczycy trzymali wojska i liczne; na mocy t. z. kapitulacyi, wynajmowali pułki mocarstwom zagranicznym; lecz tak w szeregach pozostających w kraju, jako też w pułkach wysyłanych za granicę, stopnie oficerskie rozdawano Berneńczykom, awansując Waldeńczyków tylko w stosunku jednego na szesnastu, i to nie wyżéj nad na kapitanów. Na niesłuszność tę uskarżają się historycy kantonu Vaud: wyznać jednak należy, iż była ona złém, które pośrednio, w następstwach, obróciło się na dobre.

Bern wziął ziemię Vaud z rąk Sabaudyi w stanie bardzo opłakanym pod każdym względem, osobliwie zaś pod względem oświaty·

Dwie klassy pływały niby pączki w maśle, mianowicie duchowieństwo i arystokracya; inne pogrążone były w nędzy i w grubéj ciemnocie. Faworyzowanie ludności wiejskiéj polepszyło byt wieśniaka; polepszenie bytu wieśniaka podniosło przemysł i handel po miastach; założenie akademii rozpraszało ciemności i wyzywać poczęło z łona narodu literaturę.

Oświata wystąpiła zrazu śród Waldeńczyków pod postacią rośliny egzotycznéj, w cieplarni hodowanéj. Rolę cieplarni odgrywała akademia, posiadająca jeden tylko wydział teologiczny, będąca zatém seminaryum duchowném protestanckiém, z wyraźnie określonym celem. Excellencye czuwały nad nią i pod ścisłą trzymały ją kontrolą, przestrzegając nietylko ortodoxyi, ale oraz i tego, ażeby się nie wciskały w zakres nauk wykłady, zdolne w słuchaczach budzić myśli, zagrażające panowaniu berneńskiemu. Z tego powodu proskrypcyi podlegały nauki niektóre, historya naprzykład. Excellencye berneńskie obawiały się snadź, aby słuchacze nie dowiedzieli się, iż do ziemi Vaud nie posiadają praw historycznych żadnych. Główną przeto rolę odegrywała teologia, wykładana w początkach zwłaszcza przez professorów zagranicznych, których wyłącznie prawie dostarczała Francya, trapiona w czasach onych przez prześladowania religijne. Emigranci francuzcy tłumnie zbiegali się do Szwajcaryi, francuzkiéj zwłaszcza. „Reforma przychodzi—powiada p. Gaullieur—i wszyscy główniejsi reformatorowie i predykanci, professorowie, ministrowie i regensi, są to cudzoziemcy, tak w Genewie, jak w Lozannie i w Newszatelu, zaczynając od Farela i Kalwina, kończąc na Antonim de Chaudieu i Janie de Lévy. Zaledwie Piotr Vivet z Orbe wyjątek czyni.“ Przyjmują ich gościnnie i oni wnoszą, obok przemyslu, obok oświaty i ugruntowania w nowém wyznaniu, jeszcze i ziarna, które wydać mają kiedyś owoc niepodległości, wysnutéj z praw nie historycznych, lecz naturalnych.

Akademia lozańska, acz bardzo niekompletna i wielce ścieśniona, wywołała jednak w kraju i w stanie rozbudzenia ustawicznego utrzymywała ruch umysłowy, do ponaglania którego przyczyniała się znacznie emigracya francuzka. Po miastach pomniejszych zakładano szkoły i szkółki, a zakładano je nie rzadko nie z poczucia potrzeby, ale z miłosierdzia nad losem wychodźcy, któremu w ten uboczny sposób utrzymanie dawano. Utrzymanie to bywało zwykle bardzo nędzne. Swiadczy o tém suplika następująca, podana do wielkorządcy Lozanny:

„Bardzo znakomity i wspaniałomyślny panie a panie mój bailli Lozanny! Niech dobrotliwa łaskawość wasza przyjąć raczy

natręctwo biednego nauczyciela, któremu dotkniętemu chorobą i pocącemu się codziennie, koszula zgniła na ciele tak, że od cztech tygodni nie wkładał takowéj, będąc ustawicznie jedzony przez robactwo i znosząc smutki srogie. Zmuszony jest on w skutek tego prosić łaskawości waszéj, ażeby mu w téj jego bardziéj aniżeli nieznośnéj potrzebie, dała *koszulę*. To czyniąc, będzie on prosił przedwiecznego Boga naszego, ażeby prowadził cię mądrością swoją, pomnażając wraz z wiekiem wielkość twoję i cnoty. Suplikant będzie prosił Boga o zachowanie państw twoich w wielkości i pomyślności. Lozanna roku 1668. *Jerzy Dailly* z miasta Metz w Lotaryngii."

Nauczyciele literalnie głodem przymierali po szkołach w Morges, w Rolle, w Nyon i w ogóle po miasteczkach waldeńskich; niemniéj przeto szczepili oświatę, która też przyjmowała się i rozwijała powoli, aż w danym momencie, przy okazyi hasła danego przez wielką rewolucyą francuzką, znalazła się na stopie tak już wysokiéj, że ziemia Vaud odrzucić mogła paski opieki berneńskiéj i pójść dalej o siłach własnych.

Kontrola nad akademią nie sprowadziła takich następstw, jakie Berneńczycy założyli byli sobie. Ruch umysłowy poszedł w kierunku teologicznym przeważnie, ale nie wyłącznie. Nauki w akademii pobierane posłużyły dla niejednego ze słuchaczy za podnietę jeno do badań naukowych, w rozlicznych wiedzy ludzkiéj gałęziach, i wydawały ludzi, którzy częścią pozostawali w kraju, w znacznéj części wydalali się za granicę w charakterze professorów i nauczycieli prywatnych. Sąsiedztwo blizkie Genewy, gdzie zaciekania się metafizyczne ustępowały miejsca studyom realnym, coraz to bardziéj wysuwającym się naprzód, przyczyniały się niemało do tego, że nie wszyscy wychowańcy akademii lozańskiéj zasklepiali się w teologii, lecz szli raczéj za powołaniem, które jednych zatrzymywało przy dogmatyce, drugich prowadziło na pole nauk fizycznych, w innych urabiało zamiłowanie do literatur starożytnych, innym z nich wkładało pióro do ręki i nakazywało próbować się w zawodzie pisarskim. W ten sposób powstała literatura. Ta zrazu występowała nieśmiało, wlokąc się zdala za francuzką pod firmą Genewy, póki własnego sobie nie zdobyła stanowiska, co nastapiło nie pierwéj, aż ziemia Vaud, po przejściu epoki burzliwéj od 1789 do 1815, ukonsolidowała się ostatecznie, i pod nazwą kantonu Vaud, weszła do składu Federacyi Szwajcarskiéj. Panowanie berneńskie to jéj dobrodziejstwo wielkie wyświadczyło, że oderwawszy ją od Sabaudyi i zabezpieczywszy przeciwko Francyi, zaszczepiło w niéj śmiałość i przysposobiło do

samobytności. Przysposobienie zajęło duży przeciąg czasu, półtrzecia wieku (1536—1789), dokonało się jednak dobrze — możnaby powiedzieć sumiennie, gdyby nie to: raz, że excellencye berneńskie wcale nie miały zamiaru wypuścić waldeńskich poddanych swoich kiedykolwiek z opieki swojéj; powtóre, że opieka owa była sama przez się zanadto naturze przeciwną, ażeby się zmienić w końcu nie miała w nadużycie władzy.

II.

W rozwoju literackim kantonu Vaud dają się dwa postrzegać momenta: bierny i czynny, czyli też naśladowniczy i samoistny. Pierwszy odnosi się do wieku XVIII. Dominujące u nich stanowisko zajmuje postać niewieścia. Nim się jednak o niéj rozpiszemy, przedstawimy pierwéj czytelnikowi w krótkich słowach tło, na którém się literatura poczęła.

Panowanie berneńskie trwało, jak powiedzieliśmy, wyżéj, półtrzecia wieku. Epoka ta długa, cała upłynęła w pokoju, dzięki któremu warstwy towarzyskie ułożyły się na sposób warstw osadu w naczyniu płynem napełnioném. Cząsteczki cięższe opadły na spód, lżejsze zajęły pokład najwyższy. Bern czuwał nad tém, ażeby wstrząśnienie żadne nie sprawiało zaburzenia, na czém sam wychodził najlepiéj, pobierając z ziemi Vaud dochody, z których pięć części obracał na korzyść kraju, a dziewięć dzielił pomiędzy patrycyat własny. Warstwy towarzyskie ułożyły się i wegetowały. Najniższa, zadowolona ze stanu swego a ciemna, stanowiła, w odniesieniu do Berna, massę, w któréj zawierała się przeciwwaga we względzie przypuszczalnych zachcianek, mających zmianę panowania na celu; w odniesieniu zaś do kraju własnego stanowiła ona materyał martwy we względzie postępowego rozwoju. W średniéj fermentowały zaczyny naukowe i literackie. Wyższa przedstawiała towarzystwo polerowane, zamknięte w sobie, przestrzegające godności własnéj i dobrego tonu, pogrążone w próżniactwie i goniące resztkami fortun niegdyś znacznych. Dwie te ostatnie warstwy nadawały się jako grunt, na którym literacka czynność funkcyonować mogła. W ich też łonie zafunkcyonowała ona, w sposób rozmaity, a odpowiedni.

Warstwa wyższa potrzebowała literatury jeżeli nie dla czego innego, to dla rozrywki, dla zabijania czasu, którego miała do zbytku.

Dla warstwy średniéj literatura stała się środkiem i celem— czémś nakształt chleba powszedniego, bez którego obejść się nie sposób.

W salonach arystokratycznych, które ze sprzedawanych jeden po drugim zamków przenosiły się do Lozanny, zajmowano się czytaniem książek z Francyi sprowadzanych i smakowano w utworach autorów, którzy zaznaczyli wiek Ludwika XIV. Znano tam literaturę nadobną francuzką doskonale, i ciągniono z niéj użytek wszelki, jaki się jeno wyciągać dawał. Zabroniony surowo w kantonach protestanckich jak i katolickich teatr, w salonach znajdował przytułek. Był to teatr amatorski: kawalerowie przebierali się za aktorów, damy brały na się role aktorek i czyniły kontrabandę pod czujném okiem dozorców urzędowych. Reprezentacye te miewały i autorów własnych. Od czasu do czasu, tu i owdzie, dawano sztuczkę okolicznościową, utworzoną w natchnieniu a od niechcenia. Rzecz prosta, wtajemniczeni tylko przypuszczani bywali do kosztowania rozkoszy tego rodzaju. Zgromadzało się jednak po osób dwieście w celu spożywania tego owocu zakazanego: nie sposób przeto, ażeby teatr ów, w miasteczku tak małém, jakiém była Lozanna w przeszłém stuleciu, nie oddziaływał na ogół i nie pobudzał go do twórczości na polu literackiém.

W klassie średniéj draźnienie owo pod innemi jeszcze występowało postaciami, wykazując że klassa ta w wieku XVIII, przedstawiała już, pod względem czynności literackiéj, nagromadzenie materyałów palnych, które od lada iskry płomieniem buchały—przygasały i znów buchały. Lada kwestya sporna wyzywała z tłumu pisarzy do polemiki. Tak naprzykład, podanie w wątpliwość kary wieczystéj w życiu przyszłém wywołało powódź broszur, pamfletów i książek objętości poważniejszéj, i dało możność zaprodukowania się talentów. Sprawa, zwana *Consensus*, w któréj chodziło o ustalenie helweckiego wyznania wiary, wywarła tenże sam skutek. Talenta już istniały, nie miały atoli pola do produkowania się, i chwytały pierwszą lepszą jaka się nadawała okazyą, celem popisywania się z erudycyą i z biegłością w szykowaniu okresów.

Okazye nasuwały się jedna po drugiéj. Łagodność klimatu i piękność natury ściągały nad brzegi Lemanu w znacznéj ilości cudzoziemców, pomiędzy którymi zdarzały się od czasu do czasu osobistości wydatne i wpływowe. Oto jak pani Charrière, charakteryzuje wpływ, jaki wywierali goście liczni: „Czy znasz Plombières, albo Bourbonne, albo Barèges?—pisze ta autorka w jednym z *Listów z Lozanny*. Wedle tego com słyszała, Lozanna wielkie ma do miejscowości tych podobieństwo. Piękność kraju naszego,

akademia i p. Tissot (1) sprowadzają nam cudzoziemców ze wszystkich krajów, wszelkich wieków, wszelkich charakterów, ale nie wszelkich fortun: bogaci jeno żyć mogą za granicą. Mamy więc szczególnie panów angielskich, finansistów francuzkich i książąt niemieckich, którzy zbogacają naszych oberżystów, chłopów z okolicy, drobnych naszych kupców i rzemieślników i tych z pomiędzy nas, co mają domy do wynajmowania w mieście lub na wsi, a którzy zubożają resztę, sprawiając drożyznę w artykułach pożywienia i dając nam gusta za pomocą przykładów zbytku, nie przypadającego do miary naszych fortun i środków. Mieszkańcy Plombières, Spa, Barèges nie żyją z gośćmi swoimi, nie przejmują od nich nawyknień i obyczajów. My atoli, których towarzystwo jest przyjemniejsze, którzy urodzeniem nie ustępujemy często ich urodzeniu, my z nimi żyjemy, podobamy się im, kształcimy ich niekiedy, a oni nas psują."

Psucie, na jakie uskarża się autorka *Listów z Lozanny*, drukowanych po raz pierwszy w r. 1781, miało dwie strony: szkodliwą i pożyteczną. Pożyteczna polegała na urabianiu gustu, zwłaszcza zaś w kierunku literackim. Dwaj szczególnie cudzoziemcy wywarli w tym względzie wpływ ogromny, dając literaturze kantonu Vaud pchnięcie naprzód, mianowicie: Gibbon, Anglik, i Wolter, Francuz.

Gibbon, trzema nawrotami, a zawsze przez czas dłuższy przebywał w Lozannie, która, rzec można, była dla niego kolebką moralną; za pierwszym bowiem razem przybył, mając lat szesnaście, przysłany przez ojca w celu dokończenia nauk, rozpoczętych w Oxfordzie. Ojciec przyszłego autora *History of the decline and fall of the roman empire* uczynił to za poradą lorda Eliota i umieścił go pod opieką p. Pavilliard, professora wymowy łacińskiéj w akademii lozańskiéj. Ztąd widać, że akademia słynęła już wówczas. Wykończenie edukacyi męża takiego jak Gibbon przynosi jéj zaszczyt niemały. Po pięcioletnim pobycie, młody Anglik powrócił do ojczyzny, odbył podróż po Francyi i Włoszech, i w 1763 zawitał znów do Lozanny. „Zamiarem moim—pisze—było przekroczyć Alpy w jesieni; lecz miejscowość taki na mnie wywarła urok, że po roku dopiero opuściłem Lozannę. Pięcio-

---

(1) A. S. Tissot, lekarz sławy europejskiéj, który mieszkając w Lozannie ściągał chorych z krajów najbardziéj oddalonych; był to Waldeńczyk z urodzenia ur. 1728, umarł 1797 r.

letnia nieobecność bardzo mało zmieniła sposób życia i ludzi. Przyjaciele moi dawni płci jednéj i drugiéj przyjęli mnie dobrze za dobrowolnym moim powrotem, a poczciwy Pavilliard płakał z radości, ściskając wychowanka, którego zalety literackie przypisywał w dobréj wierze staraniom własnym. Kłótnie kościelne zmusiły Woltera do opuszczenia Lozanny i usunięcia się do zamku swego w Fernex. Teatr jednak, który założył, aktorowie, których sformował, pozostali pomimo utraty mistrza; świeżo przybywając z Paryża, z przyjemnością bywałem na przedstawieniach różnych tragedyi i komedyi."

W czasie dwóch tych pobytów nie Gibbon wpływ wywierał na towarzystwo lozańskie, ale raczéj towarzystwo lozańskie wywierało wpływ na Gibbona. Inaczéj się działo, gdy przyjechał po raz trzeci, w lat dwadzieścia późniéj, odsłużywszy krajowi ojczystemu jako członek parlamentu i następnie jako członek ministeryum handlu—w gabinecie lorda North. Przybył, poprzedzony wielką wziętością literacką, mężem dojrzałym i znaczącym. Towarzysze i towarzyszki młodości jego podojrzewali także. Gibbon wszedł pomiędzy nich w charakterze modelu w obec pokolenia składającego się z ich synów i córek, i z teką pełną materyałów, gromadzonych do pisania pomnikowego swojego dzieła. *Historya upadku cesarstwa Rzymskiego* napisana została w Lozannie, śród przyjaciół, którym odczytywał ustępy i u których rad nieraz zasięgał. Dziś jeszcze pokazują miejsce, w którém pracował, ubrane w klomby i kwiaty, ożywione szumem wodotrysku i zamaskowane wspaniałym hotelem, noszącym imię jego.

Po Gibbonie pozostało w pamięci mieszkańców Lozanny anegdot nie mało, z których przytoczymy jednę. Płeć piękna metropolii nadlemańskiéj podobała się mu — kochiwał się, lecz jak się zdaje, należał do rodzaju nieszczęśliwców, niezdolnych wzajemność wzbudzić. Przeszkodę w tym względzie stanowiła korpulentność zanadto rozwinięta, jaką go natura obdarzyła. Owoż, razu pewnego, wadliwość ta fizyczna naraziła go na taki wypadek: wynurzając przed Lozanką jedną miłosne affekta swoje, padł na kolana i wstać nie mógł. Dama, dała mu odprawę należytą, po któréj powinien był wynosić się co rychléj z przed oblicza jéj. On jednak wciąż klęczał. Trzeba było o pomoc wzywać do podniesienia go z klęczek i wyprowadzenia.

Drugą osobistością, która wpływ wywarła, był Wolter. Ten przybywał z Berlina, wprost od Fryderyka Wielkiego, z którym się poróżnił i szukał w Szwajcaryi ustronia do wypoczywania po wrzawie. Lozanna zachwyciła go położeniem swojém, klimatem,

czystém i zdrowém powietrzem i wygodami życia. Jakież było zdziwienie jego, gdy obok tego wszystkiego znalazł towarzystwo! towarzystwo wykwintne, eleganckie i ukształcone. Posłuchajmy, co on sam o niém powiada w liście do p. Vernes, pastora w Genewie:

„*Syn marnotrawny* będzie grany dopiero 12 Lutego. Mógłbyś, kochany panie, w charakterze ministra świętéj Ewangelii być na sztuce z Ewangelii wysnutéj, i przysłuchiwać się słowu Bożemu w ustach pani markizy de Gentil, pani d'Aubonne, pani d'Hermanches, więcéj wartych i bardziéj na szacunek zasługujących aniżeli trzy Magdaleny. Należałoby, ażebyś pan wraz z panem Claparède zrzucił szaty kapłańskie i przybył w odzieży świeckiéj. Zachowamy to w sekrecie; w Lozannie nie gorszą się; dyszą tu rozkoszą uczciwą i słodyczą towarzystwa."

W liście do pana Thiriot, tak pisze:

„Chciałbym, ażebyś był spędził ze mną zimę w Lozannie. Gdybyś, według chwalebnego zwyczaju mego, przykutym nie był do rydwanu młodych i pięknych dam, byłbyś widział *Zairę* graną w Szwajcaryi lepiéj niż w Paryżu; byłbyś słyszał *Serva Padrona* na ślicznym teatrze; widziałbyś cudzoziemców zbiegających się z obrębu mil trzydziestu, i moję romańską krainę, moje piękne wybrzeża Lemanu, które stały się przytułkiem sztuk, rozkoszy i smaku, wówczas gdy w Paryżu..." etc.

W innym znów liście wyraża się w sposób następujący:

„Gapiom paryzkim wydaje się, że Szwajcarya cała jest krajem dzikim: zdziwionoby się, gdyby widziano *Zairę*, graną w Lozannie lepiéj niż w Paryżu: zdziwionoby się bardziéj jeszcze, gdyby widziano dwustu spektatorów, sędziów najlepszych, na jakich jeno Europa zdobyć się może. W moim kraju Romańskim—tak się on nazywa—dużo jest dowcipu, dużo rozumu, żadnych kabał, żadnych intryg do prześladowania tych, co literaturze usługi oddają. Jesteśmy wolni i wolności nie nadużywamy; trybunały sądzą sprawiedliwie; nie masz ani margulistów, ani konwulsyonistów, ani Robertów Franciszków Damiensów (1). Klimat nasz lepszy od waszego." etc.

Pobyt dwóch takich osobistości, jak Gibbon i Wolter, nie mógł pozostać bez wpływu. Wpływ Gibbona jest namacalny niejako, występując w biografiach dwóch pisarzy, w charakterze podniety, która im pióro do ręki włożyła. Beniamin Constant

---

(1) Alluzya do zamachu na życie Ludwika XV.

został pisarzem dla tego, że przetłómaczyć pragnął *Historyę upadku cesarstwa Rzymskiego,* pani de Montolieu, autorka wielkiéj ilości romansów,—ta sama, przed którą Gibbon tak niefortunnie klękał, pierwszy swój romans napisała pod okiem Gibbona. „Czy mylady—zapytuje E. G. w jednym z listów swoich—czytała romans fabryki naszéj pod tytułem Karolina z Litchfield? Mam pełne prawo powiedzieć: *naszéj,* ponieważ Deyverdun i ja byliśmy sędziami i mecenasami rękopisu.“

Do Gibbona i Woltera dodać należy J. J. Rousseau. Wpływ atoli tego ostatniego działał przez odbicie niejako, ale za to bardziéj bezpośrednio na czynność literacką, bo za pomocą literackiego utworu, arcydzieła, które na wybrzeża Lemanu uwagę Europy zwróciło. Dzięki *Nowéj Heloizie* mieszkańcy wybrzeży owych czuli się niejako zobowiązani do eksploatowania kopalni odkrytéj przez filozofa genewskiego. Wytworzył się prąd filozoficzno-edukacyjny. Na towarzystwo Jan Jakób wpływu nie wywarł, ale na przekonania i wyobrażenia, które poszły drogą pośrednią, eklektyczną. Zamiłowanie badań naukowych przenikać poczęło warstwę wyższą. J. P. de Crousaz, autor dzieła p. t. *Système des réflexions philosophiques,* należał do rodziny arystokratycznéj. Obok niego stanął Loys de Bochat, professor prawa publicznego w akademii, który się zajmował studyowaniem starożytności szwajcarskich. Ruchat napisał historyą Reformacyi w Szwajcaryi. Allemand powołany został na professora historyi naturalnéj w uniwersytecie leydeńskim. Bertrand z Orbe, który w Polsce fortunę zrobił, i Seigneur de Correvon pracowali w zakresie gospodarstwa rolnego. Inni oddawali się studyom ekonomicznym, mianowicie zaś edukacyjnym. Wielki Haller, twórca fizyologii, przeciwnik zdeklarowany Woltera, mieszkał w kantonie Vaud, pisał poemata, powieści polityczne i dzieła naukowe, które imię jego unieśmiertelniły.

Do ruchu umysłowego przyczynił się niemało rząd berneński, który poznał nakoniec, że dojną krowę, jaką była ziemia Vaud, ażeby dojność zachowywała, karmić należy: w celu tym wywołał i faworyzował stowarzyszenia rolnicze. Stowarzyszenia te, w Bernie zapoczątkowane, przyjęły się i szybko rozwinęły. Obywatele zgromadzali się, dysputowali, a memoryały, które wychodząc z punktu rolnictwa, wkraczały w dziedzinę kwestyi ekonomicznych i społecznych, potrącały o filozofią moralną, zawadzały nawet o politykę. Niektóre z opracowań tych, mogące dziś jeszcze służyć jako wzory pod względem stylu i jasności wykładu, rozchodziły się w przedrukach i budziły zajęcie żywe śród pub-

liczności czytającéj. Drukowanie przychodziło z łatwością, dzięki drukarniom w Lozannie i w Yverdun, trudniącym się reprodukcyą na wielką skalę dzieł francuzkich, zwłaszcza we Francyi zabronionych, gdzie cenzura czujną była i surową. Czuwała wprawdzie i cenzura berneńska, ta atoli przestrzegała jedynie tego, ażeby Waldeńczycy nie trudnili się historyą własną, drażniącą podejrzliwość Berneńczyków, którzy zresztą patrzali przez palce, tak na to co się publikowało, jak na to nawet co się robiło. Założono naprzykład w Lozannie seminaryum tajemne, w celu kształcenia tak zwanych „pastorów pustynnych“ *(les pasteurs du désert)*, wysyłanych do Francyi, gdzie, w skutek odwołania edyktu nantejskiego, protestanci srogiemu podlegali prześladowaniu. Sekta zaś Illuminatów, która się zawiązała była pod nazwą „przyjaciół wewnętrznych,“ ściągnęła wprawdzie na siebie uwagę władzy zwierzchniczéj, uszła jednak surowości prawa. Jedynym wypadkiem, w którym Bern odstąpił od reguły patrzania przez palce, było to powstanie, dokonane przez majora Davelu. Rozwinięta atoli surowość sprawiedliwości samego jeno dotknęła wodza: sam jeden był on winien, jego też tylko głowa padła pod mieczem kata. Wypadek ten przeminął bez następstw i bez wrażenia. Ruch umysłowy rozwijał się, wylewając się na zewnątrz kantonu pod postacią guwernerów i guwernantek, professorów, pastorów i wojskowych, którzy się na całą rozchodzili Europę; wewnątrz zaś skupiał się głównie w Lozannie, mając tam dwa ogniska na dwóch pagórkach: na tym, na którym wznosiła się akademia, w starém mieście, *Cité*, i na tym, który zaludniła arystokracya, *Bourg* W Cité rolę dominującą odegrywała naukowość, na ulicy du Bourg literatura nadobna. Ta ostatnia przyjęła się i to tak dalece, że był moment, w którym w Lozannie trudno było znaleźć kobiety nie piszącéj. Produkcya wierszyków i powiastek stała się ogromną. Każda niemal z pań i panienek pisała, tworzyła, prym jednak trzymała baronowa de Montolieu, która wydała sto pięćdziesiąt romansów, przerabianych po większéj części z niemieckiego.

Produkcya ta ogromna, dowodząca tego, że istniał na nią w społeczeństwie popyt, odznaczała się naśladownictwem. Literatura francuzka przeważnie, niemiecka i angielska w znacznéj części służyły za wzory, których się trzymali autorowie i autorki miejscowe. Było to koniecznem, jako wstęp. Naród każdy na tę wchodzący drogę zaczynać musi od naśladowania. Wszystkim bez wyjątku literaturom europejskim Grecy i Rzymianie za wzory służyli, nim niektóre z nich same jako wzory stanąć mogły. Do

niedawnych jeszcze czasów najżywsze poetów zadanie polegało na zbliżeniu się do Pindara, do Horacyusza, do Homera, do Wirgiliusza. Nie dziw przeto, że autorowie i autorki krainy Vaud iść usiłowali torami Corneilla, Rasyna, Woltera, Delilla i innych, oraz pani de Staël, będącéj poniekąd ich spółobywatelką tak z tytułu urodzenia (była córką Neckera, Genewczyka, ministra Ludwika XVI), jako też z tego tytułu, że w kantonie Vaud posiadała własność, zamek Coppet, w którym przemieszkiwała. Autorowie przeto i autorki waldeńscy naśladowali. Literatura przez nich utworzona miała podobieństwo do bladego cienia literatury francuzkiéj, odegrywała rolę księżyca téj ostatniéj, żyła życiem pożyczaném.

Zycie to zadawalałoby i zadowoliło ostatecznie Waldeńczyków, gdyby nie odrębność owa, o któréj wspomniałem. Odrębność ta sprawiła, że oglądać się poczęto za czémś innéni — za czémś, coby odrębność tę zaznaczało rysami wydatnemi. Ziemia Vaud była ziemią Vaud, nie zaś Francyą. Zradzać się poczęło pragnienie bycia sobą i w literaturze. Naśladownictwo wytworzyło pewien rodzaj przesytu połączonego ze znużeniem: stało się pracą Syzyfa. Ci, co dochodzili do wysokości wzorów, wsiąkali w literaturę francuzką, pozostawiając jeno tę jałową spółziomkom sławę, że z kantonu Vaud pochodzili. Tak uczynił Benjamin Constant; tak uczynił Laharpe, przezwany Kwintylianem francuzkim. Literatura francuzka, przedstawiając pole obszerne, dając sławę wielką, wyciągała z Vaud talenta wyższe, pochłaniała je i w ten sposób pozbawiała literaturę waldeńską soków żywotnych. Pozostawało jéj jedno z dwojga: albo usiłowaniom bezowocnym dać pokój, albo też szukać drogi własnéj. Pierwsze było już nieuniknioném prawie — *qui a bu boira, qui a écrit écrira;* co się zaś drugiego tycze, to we względzie tym nie chodziło wcale o to, ażeby Francuzom dorównać, ażeby Parnas waldeński wznieść na wyżyny te same, jakich dosięgał francuzki, lecz o to, ażeby w literaturze posiadać odbicie fizyognomii i duszy społeczeństwa własnego, o to, ażeby miała charakter swojski, domowy, waldeński.

Poczęto się za tém oglądać, i najbardziéj na polu tém odznaczył się *Filip Bridel,* który pielgrzymując po kraju piechotą, zbierał legendy, przysłowia, rysy obyczajowe, spisywał je, nadawał im formę odpowiednią i wydawał pod tytułem: *Les Etrennes helvétiennes.* Książeczki te rozchodziły się w znacznéj liczbie. Czytano je z zajęciem wielkiém. Nowość podobała się, nie jako nowość pospolita, lecz jako zwrot ku źródłom, ku materyałom surowym, stanowiącym dziewiczą niwę dziedzictwa, przekazanego

społeczeństwu waldeńskiemu przez pokolenia wygasłe. Nie obchodziło to już nikogo, z wyjątkiem Waldeńczyków. Stanowiło to już własność literacką własną. Bridel zasłynął śród spółziomków, pomimo że nic nie wiedziano jeszcze, jaki mianowicie użytek zrobić się da z tych zabiegów niestrudzonego na niwie ojczystéj pracownika. Przyjmowano wydawane przez niego książeczki jako rzecz ciekawą bardziéj, aniżeli ważną. Nie widziano w nich literatury właściwéj; jakoż w rzeczy saméj, kopie te wierne a udatne kreacyi ludowych literaturą nie były—były do takowéj przygotowaniem, przedwstępem, przedsionkiem, zapowiedzią zresztą.

Zaszczyt zapoczątkowania literatury właściwéj należy się kobiecie, i to nie Waldeńce, ani Szzwajcarce nawet, lecz Hollenderce, Agnieszce Izabelli Emilii de Tuyll van Seeroskerken, znanéj pod imieniem pani *de Charrière*, z powodu, że wyszła za p. de Charrière de Penthaz, szlachcica z ziemi Vaud. Pojęta za żonę w Hollandyi i przeniesiona do Szwajcaryi, osiadła w Colombier, w pobliżu Newszatelu, gdzie mąż jéj posiadał dom wiejski. Szwajcarya nie była jéj obcą. Panną jeszcze przemieszkiwała w Rolle; za guwernantkę, co nad nią od dzieciństwa czuwała, miała Genewkę; liczne stosunki wiązały rodzinę jéj z rodzinami znakomitszemi w ojczyźnie Tella, zwłaszcza w ziemi Vaud. Okoliczności te ułatwiły jéj znacznie zadanie literackie. Osiadłszy w Szwajcaryi, znalazła się jak u siebie. Zdolność olbrzymia, umysł bystry a postrzegawczy, powołanie zresztą uczyniły z niéj pisarkę znakomitą, podawszy jéj rodzaj, który nastręczył się sam przez się: krytyka obyczajów miejscowych, romans społeczny.

Pani de Charrière, pisząc po francuzku—a pisząc tak, że Sainte-Beuve nie waha się zaliczać jéj do stylistek pierwszéj siły — potrafiła być Waldenką tak dalece, że we Francyi, która rada przyswaja sobie wyższe talenta, poznali ją i znają sami jeno smakosze literaccy. Ogółu czytającego nie obchodzi ona. Historya literatury wspomina o niéj półgębkiem. We Francyi jest obcą. *Listy z Lozanny* (*Lettres de Lauzanne*), któremi debiutowała, obojętne dla Francuzów, poruszyły społeczność lozańską do głębi. „Sięgnęła do wnętrza ich trzew i zatargała“ — a pomimo że była to rączka delikatna kobiety pięknéj, zatargała z siłą wielką. Waldeńczycy zdumieli się i przerazili. Dotychczas bawiąc się literaturą tego rodzaju, malowali obyczaje Paryża, Londynu, Wenecyi, siebie zaś omijali zdaleka; aż tu ktoś (nie znano autorki zrazu) ośmielił się podnieść zasłonę życia ich przykominkowego i ukazać na jaw rozliczne jego właściwości, osobliwe słabostki i obok stron dodatnich ujemne, należycie a po mistrzowsku ochło-

stane. Sprawiło to zamieszanie ogromne, podobne zapewne do tego, jakie wywołały na Podolu, Wołyniu i Ukrainie *Mieszaniny* Jarosza Bejły, które także obudziły ruch literacki w swoim czasie i miejscu. Ochłostani uczuli się obrażonymi. „Kto to ów śmiałek?"—dopytywano się u ech wszystkich, i pisano a publikowano odpowiedzi, repliki i krytyki.

Większe jeszcze poruszenie sprawiła powieść tejże autorki p. t. *Małżonek sentymentalny* (*la Mari sentimental*), którój za tło służył nie Paryż, nie Londyn, nie Neapol, lecz kanton Vaud. Osnowa pomieniona zaleca się prostotą. Rzecz cała polega na tém, że p. Bompré, człek sentymentalny, zamiłowany w drobiazgach życiowych, pojmuje za małżonkę niewiastę cnotliwą, a przytém praktyczną, która pozbawia kolejno małżonka wszystkich drobiazgów, bez których obejść się można. Racya znajduje się zawsze po stronie małżonki. Małżonek ustępuje, ustępuje, aż nakoniec gdy już ustępować nie ma czego, życie sobie odbiera. W ramach tych dała autorka obraz obyczajów, wziętych z punktu nie wyłącznie towarzyskiego, jak w Listach z Lozanny, lecz społecznego, ekonomicznego i politycznego. Opisując utrapienia pana Bompré, dotyka stanu włościan i stosunku ich do właścicieli ziemskich, podnosi próżniactwo tych ostatnich, chłoszcze arystokracyą, krytykuje ojcowstwo rządu berneńskiego, wytyka ospalstwo ogólne, słowem porusza od niechcenia niby kwestye najżywotniejsze, obchodzące zblizka ogół waldeński. W utworze tym ogół ów przejrzał się jak w zwierciadle, w szczegółach najdrobniejszych tak dalece, że znalazła się nawet wdowa jakaś z miasteczka Aubonne, która w pani Bompré poznała siebie, była bowiem niewiastą cnotliwą i praktyczną i miała małżonka sentymentalnego, który się wyniósł ze świata za pomocą samobójstwa. Powstała ztąd burza wielka. Pokrzywdzona wdowa reklamowała, zbierała podpisy, które wizowała u notaryusza, oczyszczała się na drodze urzędowéj. Pokazuje to, że pani de Charrière trafiać umiała, że tak się wyrazimy, w sedno towarzyskie i społeczne, trafiając zaś zwracała literaturę na tory lokalne. Kalała gniazdo własne: czyniono jéj ten zarzut nie wiedząc, że ona Hollenderka. Ci, co ten zarzut czynili, sformułowali stronnictwo, które wywołało na jaw stronnictwo przeciwne, takich co w jéj obronie stawali. Tak ci jednak jak owi, chcąc nie chcąc, wpływowi jéj ulegali, trzymając się rzeczy swojskich. Pani de Charrière stworzyła szkołę — dała pchnięcie. Dzięki wmieszaniu się jéj, literatura kantonu Vaud przybierać poczęła fizyognomią wyraźną, którą wyprowadziła na jaw z wnętrza społeczeństwa własnego.

III.

Na pani de Charrière kończy się moment bierny literatury waldeńskiéj. Moment ów wydał ją jako owoc usiłowań zbiorowych i zamknął się. Zamknął się po niewoli: nastała epoka wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, która porwała kanton Vaud w wir czynności nieprzyjaznych dziełu literackiego rozwoju. Nie myślano o pisaniu i drukowaniu, kiedy myśleć było potrzeba o biciu się, o politykowaniu, o dyplomatyzowaniu. Francya godnie odwzajemniła się ziemi Vaud za przytułek udzielany dzieciom jéj przez rządy Ludwików prześladowanym, przyczyniając się do wyzwolenia onéj z pod panowania berneńskiego. Nie stało się to jednak odrazu. Upłynęło ćwierć wieku w bojowém i politycznem szamotaniu się, nim niepodległość kantonalna ziemi Vaud, stawszy się najprzód czynem dokonanym, uzyskała nareszcie ubezpieczenie w prawie międzynarodowém. Niewiele brakło, ażeby w 1815 powrócił stary rzeczy porządek: patrycyat berneński odzyskał był prawa dawne przez interwencyą francuzką obalone, i chodziło o to tylko, ażeby kongres wiedeński przyznał Bernu prawa do ziem podległych. Los jednak sprzyjał Waldeńczykom. Przy boku cesarza Alexandra I znajdował się dawny monarchy tego guwerner, generał Karol Laharpe, rodem z nadlemańskiego miasteczka Rolle. Dzięki wpływowi, jaki generał na cesarza zachował, kantony niegdyś Bernu podległe, Aarau i Vaud, utrzymały niezależność, pomimo że takowa była pochodzenia ultra-rewolucyjnego. Rzeczy się uporządkowały i uregulowały; spokój zapanował. Kanton Vaud, zostawszy gospodarzem w domu własnym, wziął się do gospodarstwa gorliwie, i przyznać mu to należy — rozumnie. Dla usprawiedliwienia tego ostatniego wyrazu, dosyć jest spojrzeć na drogi, na mosty, na irrygacyą łąk, na dreny; dosyć jest przypatrzyć się szkołom i szkółkom, zakładom dobroczynnym, zakładom karnym, szpitalom, dosyć jest rozpatrzyć się w dobrobycie ogólnym, w zadowoleniu powszechném i w ładzie wzorowym, panujących po wsiach, po miasteczkach i po miastach. Każdy tu i syty, i odziany, i kontent z siebie. Na równinach rodzi się zboże, podgórza dają wino, na Alpach hoduje się bydło. Brak jeno przemysłu fabrycznego; ten atoli uczuwać się nie daje, znajdując kompensatę na drodze wymiany produktów surowych na fabryczne. Zdarzają się ludzie milionowi, ale magnatów nie ma; nieobecność

ich atoli nie przynosi szkody ogółowi, nie mającemu śród siebie próżniaków z professyi. Praca idzie równo i ciągle tak, że tacy nawet, coby się z reszty utrzymywać mogli, czuliby się upokorzonymi, gdyby nie pracowali, czyli gdyby nie służyli ogółowi wedle uzdolnienia i możności: jedni obracając dostatki swoje na badania naukowe, na zbiory i na nakłady, drudzy nie umierając bez przekazania mniejszéj lub większéj części fortuny na cele dobra publicznego dotyczące. Wszyscy zaś pracownicy, tak bogaci jak ubodzy, czytać umieją, czytać potrzebują i czytają.

To ostatnie stanowi warunek wielce dla literatury pomyślny.

Za czasów pani Charrière koło czytelników było szczupłe. Warstwa najliczniejsza—włościanie—nie wiedziała wcale, że posiada adwokata w osobie pięknéj kasztelanki, zamieszkującéj zamek nad brzegami jeziora Newszatelskiego. Upominała się ona o nich bez nich i trochę nawet pomimo nich, oni bowiem płacąc i odrabiając powinność panom, a nie wiedząc o „prawach człowieka," zadowoleni byli ze stanu swego pod broniącą ich od nadużyć prawicą władzy berneńskiéj. Wyszli z pod prawicy téj, nic na tém nie stracili, owszem zyskali ogromnie. Nowa władza oświeciła ich. Przybył przez to ogromny czytelników zastęp. Adwokata ich tymczasem nie stało. Pani de Charrière zeszła z tego świata, nie bez potomstwa jednak w literackim sensie, to jest nie bez tego, ażeby zostawić po sobie nie miała kroczącego wskazaną przez nią drogą zastępu literatów.

Cóż jednak!—stosunki się zmieniły, pociągając za sobą zmianę we względach tak towarzyskim, jak społecznym. Ta sfera, co Woltera zachwycała, Gibbona formowała, Roussa analizowała, w literaturze wykwintnéj smakowała, ta co teatr przekradała, wierszyki i powiastki fabrykowała i Lozannie przydomek *d'une ville lettrée* w świecie wyrobiła,—ta sfera znikła w wirze wypadków. Ulica *du Bourg* postradała przywiléj bawienia się wyłącznego. Mieszkańcy jéj wziąć się musieli do pracy w celu zarobkowania na wzór i podobieństwo śmiertelników najpospolitszych. Praca przeszkodziła im w literaturę się bawić. Cała ta więc sfera czytelników jeżeli nie zniknęła zupełnie, to zmieniła się znacznie, stała się bardziéj wstrzemięźliwą we względzie przyjmowania pokarmu umysłowego, a mniéj wybredną i zarazem mniéj się nadającą do obyczajowéj chłosty. Autorka „Listów z Lozanny," gdyby listy swoje po 1815 pisała, musiałaby z wcale innego wziąć tonu: do „Małżonka zaś sentymentalnego" nie mogłaby wprowadzać ani w połowie tych poglądów, jakie wprowadziła w wigilią rewolucyi francuzkiéj. Szkoła jéj przeto znalazła się w położeniu kło-

potliwém nieco. Zabrakło jéj motywu. Z jednéj strony zmieniły się stosunki towarzyskie, z drugiéj społeczne; z jednéj strony czytelników nie stało, z drugiéj przybywało w zwiększającéj się z rokiem każdym ilości. Ci atoli ostatni różnili się rodzajem od tamtych. Szkoła pani de Charrière odnosiła się do salonu, który utonął w zalewie rewolucyjnym i resztki jéj przy życiu pozostałe, nie miały już pisać dla kogo. Nie pisały więc, lecz służyły jeno jako żywe świadectwo możliwości oraz potrzeby samoistności literatury waldeńskiéj, która wykwitła była przy końcu wieku XVIII i zamilkła z przyczyn od niéj niezależnych na całą z górą ćwierć stulecia; służyły oraz jako podnieta i kontrolla wytworności języka i dobrego smaku.

Nie odrazu po roku 1815 literatura waldeńska znów na nogi stanęła. Zajęła najprzód umysły praca organizacyjna, dotycząca narodu, który po raz pierwszy w ciągu całym dziejowego żywota swego mógł ze swobodą zupełną zająć się sam sobą. Na drodze pracy téj jedną z najpierwszych nasunęła się kwestya kościoła, tak ważna w przeszłości, tak z organizmem państwowym związana przez tradycyą, i tak mocno zachwiana w skutek pojęć nowych, jakie rewolucya francuzka zaszczepiła.

Po Berneńczykach pozostawały w spuściźnie: religia panująca, kościół protestancki i opieka ramienia świeckiego kościołowi temu wyłącznie zapewniona. Rzecz prosta, nic z tego ostać się nie mogło wobec naporu wyobrażeń nowych. Kler protestancki ujrzał się naraz zagrożonym ze stron wszystkich, tak ze strony menerów, którzy ze świadomością rzeczy parli kwestyą ku rozwiązaniu na niekorzyść duchowieństwa, jak ze strony ludu, który z natury swojéj *bon enfant* i bynajmniéj nie skłonny do porywów fanatycznych, przyjmował kościół jako fakt istniejący, ale nie otaczał go miłością osobliwą, nie okazywał do niego przywiązania nadzwyczajnego i ze wspomnień czasów dawniejszych, zachowywał niemało praktyk katolickich. Indyferentyzm ludu, biorącego wedle konstytucyi bezpośredni w rządzeniu krajem udział, w połączeniu z naporem postępowców, czynił położenie duchowieństwa trudném. Wyjście z położenia tego przedstawiało się tylko na rdodze perswazyi: w takiém rozwinięciu gorliwości religijnéj, ażeby przez to obudziła się gorliwość w ludzie i zapewniła duchowieństwu większość w radzie wielkiéj, wybieranéj na drodze głosowania powszechnego a stanowiącéj prawa dla kraju. Innego sposobu nie było. Wszczęła się przeto silna agitacya znana pod nazwą sprawy *du réveil religieux*, która sprowadziła dwie niekrwawe rewolucye w 1830 na korzyść duchowieństwa,

w 1845 na niekorzyść jego — i stała się zasnową wznowionego ruchu literackiego.

Na tle wznowionego ruchu tego uwydatnia się postać *Aleksandra Vinet'a*, pastora i professora, prozaika i poety.

Duchowieństwo posiadało w ręku potęgę: akademią. Berneńczycy założyli ją (1535) w tym celu, ażeby służyła jako ognisko protestantyzmu. Charakter ten przechowała ona w epoce rewolucyjnéj i porewolucyjnéj; wydział teologiczny odegrywał w niéj rolę najważniejszą; właściwie innych wydziałów nie było, z wyjątkiem teologicznego, około którego grupowały się umiejętności w sposobie pomocniczym i dodatkowym. Protestanccy duchowni przeto kierowali akademią, nadawali jéj ton, wlewali w nią ducha, inaczéj piastowali ducha publicznego, wychowując młodzież, która stanowiła czoło narodu. Posiadali więc w ręku potęgę, z któréj nie omieszkali, zagrożeni przez ducha czasu, stosowny zrobić użytek. Akademia stała się ogniskiem ruchu religijnego, a przez to dzięki zbiegowi okoliczności, które przerwały nitkę tradycyi literackiéj, i literackiego.

Zawrzało, zakipiało—rzec można.

Umiarkowanie, rzecz wiadoma, nie jest zaletą, cechującą duchownych. Pierwsze ich kroki na drodze usiłowań, mających na celu odrodzenie narodu waldeńskiego w duchu i w prawdzie, odznaczyły się gwałtownością, którą rząd musiał moderować i powściągać. Duchowieństwo widziało w tém prześladowanie, przeciwko któremu wystąpiło w pismach publicznych i w broszurach. Wywiązała się polemika żywa i ostra, ta sprowadziła procesa prassowe (druk przed rokiem 1830 nie posiadał jeszcze téj swobody co dziś). Zjawili się męczennicy sprawy kościoła i zainteresowali płeć nadobną. Około nich rozwinęła się działalność literacka, wyrażająca się głównie za pomocą broszur bez liku, rozchodzących się wyłącznie prawie po miastach i czytanych ochoczo przez kobiety religijne, pragnące tryumfu kościoła dla Ewangelii, któréj cnoty praktykując same, życzyły sobie ażeby takowe praktykowali także ich małżonkowie, bracia i synowie. Pragnienie to ziściło się. Kościół zatryumfował w r. 1830. Do izby prawodawczéj weszła większość konserwatywnych. Kler dopiął swego, nie pozbył się jednak niepokoju, przedstawiającego się pod postacią niepewności jutra. Przyczyny, które agitacyą wywołały, istniały zawsze i mogły postać rzeczy zmienić. Wszystko zależało od rezultatu wyborów do rady wielkiéj. Należało przeto o jutrze myśleć, korzystając z chwili każdéj, w celu ubezpieczenia się na zdobytém stanowisku i pozostania na takowém na zawsze.

Wzięto się do tego bardzo mądrze.

Ponieważ wszystko zależało od wyborów, wybory zaś zależały od opinii publicznéj, chodziło więc o to, ażeby opinią urobić i wziąć nad nią kierownictwo.

Kler panował w akademii, przez akademią w szkołach średnich, przez szkoły średnie w szkółkach ludowych. Od góry do dołu drabiny edukacyjnéj, na każdym szczeblu stał pastor i podnosił pod ramię każdego z kroczących po niéj z dołu do góry. Ułatwiało to zadanie ogromnie, wymagało jednak czujności, albowiem duch czasu nie zasypiał. Edukacya przeto stała się przedmiotem wielkiéj ze strony duchowieństwa pieczołowitości, dzięki któréj akademia lozańska zaświetniała blaskiem niezwykłym. Katedry pozajmowały znakomitości, potworzono katedry nowe. Pomiędzy profesorami z epoki owéj znajdujemy nazwisko Sainte-Beuve'a i Adama Mickiewicza. Pierwsze atoli miejsce należy się, ze względu na przedmiot, o którym piszemy, Alexandrowi Vinet'owi, człowiekowi ze wszech miar niepospolitemu, postaci tak pięknéj, że się nad nią zatrzymamy na chwilkę.

Alexander Vinet figurowałby i na teatrze obszerniejszym, aniżeli lozański. Była to zdolność pierwszorzędna. Zdaje się jednak, że gdzieindziéj, w Paryżu naprzykład, gdzie talent jego pisarski zaprodukowaćby się mógł na większą skalę, nie umianoby go tak ze stron wszystkich obejrzeć i tak ocenić jak w Lozannie. W małém miasteczku człowiek wyższy uwydatnia się dokładniéj, po śmierci zwłaszcza. Na tle mniéj głowami zapełnioném, rys każdy osobistości znaczącéj występuje wyraźniéj. A. Vinet zszedł z tego świata w r. 1846, pozostawiając po sobie wspomnienie męża, posiadającego ten rzadki w czasach naszych przymiot, że u niego czyn zgadzał się ze słowem, słowo zaś szło wedle Ewangelii. Przedstawiał on żywe cnót ewangelicznych wcielenie. Rys jego główny stanowiła wiara głęboka w religią, na którą zapatrywał się jako na jedyny moralności rozsadnik. Z tego powodu pragnął dla kościoła samoistności i samorządu, i wyobrażał go sobie jako zgromadzenie wyboru wiernych, stojące śród społeczeństwa w charakterze wzoru, oddziaływającego na ogół urokiem cnót. W tym duchu żył, kazał, nauczał i pisał dzieła, w których okazywał się mniéj teologiem aniżeli filozofem, i mniéj filozofem aniżeli literatem. Literatura była powołaniem jego. Wykładał ją w Bazylei przez lat kilka, a zająwszy katedrę teologii w Lozannie, uczynił z wykładu swego kurs etyki, odzwierciedlający piękną jego duszę. Pozostała po nim pism ilość nie mała: *Histoire de la littérature française au XVIII siècle*; *Etude sur littérature française au XIX*

siècle; *Les moralistes de XVI et XVII siècles; Histoire de la prédication chez les réformés de France*; *Théologie pastorale; L'éducation, la famille et la société; Essai sur la manifestation des convictions religieuses et sur la separation de l'Eglise et de l'Etat; Essai sur la conscicnse et la liberté religieuse,* etc., etc. Spółpracował przytém do przeglądów: *le Semeur* (wychodzącego w Paryżu), *la Revue Suisse*, *la Feuille religieuse* i innych, w których umieszczał krytyki dzieł i autorów, nacechowane smakiem estetycznym wysoko wyrobionym i tonem delikatnym. Ogłaszał też i poezye przeważnie liryczne, hymny, kantyki. Sainte-Beuve nazywa go: „*à la fois un écrivain très français et un écrivain tout à fait de la Suisse romande.*"

To, że był on *un écrivain tout à fait de la Suisse romande*, pochodzi ztąd, że Vinet, jako pisarz, odbija sobą społeczność, któréj jest członkiem. Jest pisarzem francuzkim wedle języka, którym po mistrzowsku włada; romandzkim wedle ducha, widniejącego na jego fizyognomii literackiéj i nadającego takowéj cechę właściwą a odrębną, do opisania któréj brak słów, tak delikatnemi są rysy odrębność ową stanowiące. Nazwijmy to akcentem. Po akcencie odróżniać się daje Francuz mówiący po francuzku, od Szwajcara mówiącego po francuzku; po akcencie rozpoznajemy Polaków od Warszawy, od Poznania, ode Lwowa: jak przeto istnieje akcent w mowie, tak istnieje i w literaturze. Vinet'a przyrównywają do Pascala: jest to Pascal, ale szwajcarski, a raczéj waldeński, wyraźnie waldeński, nie genewski, ani newszatelski. Genewa posiada literaturę swoję, Newszatel swoję, urobioną pod wpływami miejscowości; ta i owa płyną strumykami, wlewającemi się do wielkiego francuzkiego zbiornika, zasilającemi takowy i przez to obracającemi się na korzyść ogólną, zachowującemi jednak odrębność sobie właściwą, którą znawca rozpozna odrazu.

Vinet, jakeśmy wyżéj rzekli, uwydatnił się na tle wznowionego ruchu literackiego, stał się jego wyrazem i nadał mu kierunek, wychodzący z punktu ogniskowego, którym była akademia. Około niego, pod jego rzec można przewodnictwem, stanął zastęp pisarzy, którzy rozebrali pomiędzy siebie rodzaje: filozofia, historya, pedagogia, jurisprudencya, nauki ścisłe, literatura nadobna, publicystyka. Literatura waldeńska zapełniła sobą koryto, które dla niéj natura wyżłobiła i popłynęła zrazu pod kierownictwem akademii, następnie jednak wyzwoliła się. Stało się to w skutek rewolucyi 1845 r.

Konserwatyści nie umieli pozyskać ludu, pomimo że uczynili w tym względzie wszystko, co w granicach możliwości czynić się

dało. Gospodarstwu ich nic do zarzucenia nie ma. Kanton pod ręką ich rozkwitał w każdéj gałęzi działalności ludzkiéj. Naciągnęli jednak zanadto trochę strunę religijną i ta pękła. Władza z rąk ich wypadła i dostała się do rąk demokracyi radykalnéj, téj zaś jedném z najpierwszych starań było sekularyzowanie edukacyi publicznéj, wyjęcie jéj z pod wpływów duchowieństwa. Sprowadziło to scyssyą. Stu kilkudziesięciu pastorów i kilka tysięcy kobiet podpisało protestacyą, na podstawie któréj wydzielił się kościół wolny, zorganizowany według zasad Vinet'a, a nie żądający od państwa nic innego, tylko, żeby się do spraw jego nie mieszało. Powstało więc zgromadzenie wyboru wiernych, urzeczywistniające ideał Montalemberta: „wolny kościół w wolném państwie." Adherenci onego, nie tworząc sekty odrębnéj, ani dziwacząc pod względem dogmatów, formują stowarzyszenie, mające za zadanie utrzymywanie moralności na podstawie religijnéj, sami opłacają pastorów, sami łożą na utrzymanie domów modlitwy, zakładają przytém szkółki i szkoły. Za staraniem ich powstała w Lozannie dobra bardzo szkoła wyższa żeńska i gimnazyum męzkie (*Collège Gaillard*), czyniące korzystną dla ogółu konkurencyą zakładom jegoż rodzaju państwowym.

Usunięcie edukacyi publicznéj z pod wpływów duchowieństwa nie obyło się bez szkody chwilowéj. Ucierpiała na tém szczególnie akademia, którą opuścili professorowie znakomici: Vinet, Monnard, Secretan, Juste Olivier i inni. Owdowiałe katedry pozajmowali ludzie, nie koniecznie uzdolnieni do uczynienia zadość wysokiemu zadaniu. Stan ten atoli był przechodnim i trwał nie długo; akademia wyszła na tém dobrze, że być przestała cieplarnią teologiczną: rozwinęła się na skalę uniwersytecką i podzieliła na wydziały, śród których brak jeno medycznego do kompletu. Katedry poobsadzane zostały dobrze. Gdy zaś nastąpiło uciszenie namiętności, wzburzonych zmianą radykalną w r. 1845, to i niektórzy z dawnych professorów na swoje popowracali stanowiska. Filozofią naprzykład wykłada obecnie ten sam Secretan, któregośmy wymienili powyżéj pomiędzy dymissyonowanymi.

Literatura, która ruszyła z miejsca w kierunku, jaki jéj agitacya religijna nadała, przybrała polot górny, trzymający się w regionach metafizycznych. Nie odnosiła się więc do ogółu, pomimo że ogół duchowieństwo hodowało; nie odnosiła się mianowicie do téj massy czytelników, których szkółki parafialne przysparzały. Dla tych metafizyka, panująca nawet w utworach poetycznych, nieprzystępną była i nieprzystępna pozostawała. Wieśniacy karmili się książeczkami dla ludu pisanemi, a po większéj części

z zagranicy sprowadzanemi i dzienniczkami taniemi. Ten atoli rodzaj literatury, przydatny tam, gdzie lud niejako z umysłu utrzymywany bywa w stanie dzieciństwa, zadawalać nie mógł i nie zadowalał chłopów w kantonie Vaud. Pożądali oni czegoś lepszego, czegoś zarazem swego. Z pożądania tego wykwitnęła spółczesna literatura kantonu Vaud, będąca wyraźniéj jeszcze waldeńską, aniżeli ta co się w fizyognomii dzieł Vinet'a przebija, waldeńska tonem, akcentem i treścią.

W literaturze waldeńskiéj dwa postrzegać się dają prądy: religijno-narodowy i czysto narodowy; — pierwszy we względzie elegancyi, wytworności i smaku odnosi się do pani de Charrière, pomimo że się macierzyństwa jéj wypiera; drugi ma za ojca Filipa Bridel'a, który, przeczuwając niejako potrzebę, przysposobił w wieku XVIII materyałów nieco.

Nie jest zamiarem naszym poświęcać literaturze waldeńskiéj analizy wyczerpującéj. Zaprowadziłoby to nas zadaleko. Musielibyśmy zanadto rozszerzyć ramy poglądu, mającego granice określone. Chcemy jeno zaznaczyć istnienie odrębności literackiéj jednego z kantonów szwajcarskich, i z odrębności téj wysnuć konkluzyą stosowną. Dlatego też nie będziemy objawów jéj podnosili w obszerności całéj. Zeszkicujemy takowy pokrótce, zbijając w jeden prądy, o których wspomnieliśmy powyżéj, a które to sprawiły, że piśmiennictwo waldeńskie przedstawia samo w sobie rozmaitość, a raczéj różnostronność, którąby miejsca mieć nie mogła, gdyby pozostało było pod impulsem pierwotnym, jaki mu nadała akademia za czasów kierownictwa wyłącznie klerykalnego. Jak się zsekularyzowała ta ostatnia, tak się zsekularyzowało ono i poszło daléj o sile własnéj od pasków wolne, obejmując wszystkie rodzaje, jakie się zazwyczaj w narodach pełném żyjących życiem na inwentarz literacki składają. „*Nous pourrions entreprendre d'exposer une histoire littéraire du Pays de Vaud*"—powiada jeden z autorów waldeńskich (p. A. Vulliet), wyrażając się w téj mierze warunkowo. Pracy téj nikt jeszcze nie dokonał, bodaj czy nie przez źle zrozumianą skromność. Wobec wielkości i blasku literatury francuzkiéj — jakżeby wyglądała literatura kantonu Vaud? Nie rzecz nasza odpowiadać na to pytanie — nie przeprowadzamy paralleli pomiędzy jedną a drugą; zaznaczamy jeno istnienie téj ostatniéj, powołując się na słowa pana A. Vulliet'a, które dowodzą że Waldeńczycy posiadają świadomość odrębności swojéj literackiéj, na którą składają się pisarze od filozofów zaczynając, na publicystach kończąc.

Praca literacka odbywa się w kantonie Vaud na wszystkich

polach działalności pisarskiéj. Każda gałąź posiada tu reprezentantów swoich, z tych zaś niektórzy wzbijają się ponad pospolitość, tak, że uczyniliby zaszczyt narodowi liczącemu mieszkańców nie dwakroć sto pięćdziesiąt tysięcy, ale sto razy tyle. Z takich jednego wymieniliśmy w osobie A. Vinet'a. Dodać tu jeszcze możemy pana Secretan'a, autora dzieła p. t. *la Philosophie de la liberté,* w którém stara się zbudować metafizykę chrześciańską. Historycy: *Monnard*, *Vulliemin*, *Verdeil* byliby światu znani, gdyby się pracami swojemi nie trzymali w ramach ziemi rodzinnéj. Pułkownik *Leconte* jest pisarzem wojskowym wysokiéj wartości: jego Historya wojny włoskiéj w 1859 i Historya wojny francuzkiéj 1870—71, posiadają zalety niepospolite, czyniące z niego autora tego samego zakroju co generał Jomini, który także z kantonu Vaud pochodził. Nie zapominajmy, że i na świat cały sławnego Agassiz'a kanton Vaud jest ojczyzną. Ci ostatni atoli nie charakteryzują odrębności literackiéj kantonu, uwydatniającéj się najmocniéj w belletrystyce, mianowicie zaś w powieściopisarstwie i w poezyi, a także w dramatopisarstwie, działach z rozmaitém uprawianych powodzeniem.

Dramat chromieje, i o nim nie wiele mielibyśmy do powiedzenia. Lozanna wprawdzie posiada teatr, równie jak Vevey, na deskach wszakże teatrów tych rzadko kiedy pojawiają się utwory autorów miejscowych, pomimo że publiczność widziałaby je z przyjemnością, sądząc po ochocie z jaką garnie się na sztuki francuzkie. Garnie się jednak na sztuki wyborowe i uczucia moralności nie obrażające. Dumas syn, naprzykład, nie jest w Lozannie w łaskach. Na przedstawieniach utworów jego teatr pustkami świeci, równie jak na offenbachiadach. Za to Corneille, Rasyn, Molière ściągają ciżbę—panna Agarrok co rok przyjeżdża na gościnne wystąpienia; miejscowa zaś truppa przedstawia z nowości dramatycznych takie jeno, w których nie ma sytuacyi zanadto ślizkich, a jest prawda dramatyczna. Wobec téj wybredności gustu ze strony widzów, pisarze tutejsi nie probują się na polu dramaturgii. Pole też to odłoguje.

Pole powieści uprawia się z powodzeniem, które nazwać się da miejscowém. Celuje na niém *Urbain Olivier*, malujący z wdziękiem wielkim obyczaje i zwyczaje ludu waldeńskiego, z którego sam pochodzi. *Besancon* bierze treść z życia mieszczaństwa. Autorowie ci i inni obok nich, we Francyi prawie nieznani, w Lozannie piszą, drukują, utwory ich rozchodzą się, edycye wyczerpują się w krótkim przeciągu czasu, nie przekraczając granic kantonu—nie przekraczając takowych tak dalece, że mało co wiedzą o nich we Fryburgu, w Newszatelu i w Genewie. Znają ich dobrze po

wsiach waldeńskich, po miasteczkach ustronnych. Ztamtąd idzie popyt; w tamtą też stronę skierowana jest produkcya, mająca na celu zaspokojenie potrzeb miejscowych, rozwijających się w miarę jak się rozwija oświata. Powieściopisarstwo ma na widoku lud wiejski, nie zwraca się jednak do niego jak do dzieci i nie przemawia językiem koszlawionym. Owszem—co do języka, przestrzega czystości i poprawności onego; co do treści, czerpie takową ze stosunków miejscowych w ten mniéj więcéj sposób, co w niektórych powieściach swoich Auerbach i we wszystkich Erckmann-Chatrian. Powieści autorów waldeńskich, gdyby nie to, że je wyraźniéj aniżeli dzieła Vinet'a cechuje akcent narodowy, płynący nie z języka, lecz z istoty ich wewnętrznéj, mogłyby figurować w szeregach literatury francuzkiéj. Ale—co Francuzom do nich! co obchodzi ich zakątek ziemi zwanéj Vaud! One też nie roszczą téj pretensyi. W ciasnym zakątku przestronno im — są u siebie; autorowie zaś pracujący na tém polu, nie dochodząc ani do rozgłosu poza krajem własnym, ani do majątków, nie mniéj przeto niosą korzyść: kształcą umysły, serca i smak czytelników swoich, i rozbudzają śród nich talenta, z pomiędzy których większość idzie na użytek miejscowy, a cząstka jakaś wybłysnąć może na tak szorokim horyzoncie, że go i literatura francuzka przyswoić sobie zechce, jak przyswoiła Roussa. Dziś już nawet są tacy, których nie wyprze się ona, jak np., autora Opisu Alp (*Description des Alpes*), *Eugeniusza Rambert'a*, pisarza świetnego a zasobnego i w wiadomości, i w bogactwo językowe, i w obrazowość.

Toż samo co o powieści powiedzieć się da i o poezyi, w któréj przodek trzyma *Juste Olivier*, brat powieściopisarza, zmarły w roku przeszłym. O poetach waldeńskich pisał p. A. Vulliet i scharakteryzował ich w ten sposób, że cechę, co ich odznacza, stanowi głębokie uczucie chrześciańskie i patryotyczne. Tak. Pochodzi to zapewne ztąd, iż z pomiędzy tych, których p. A. V biografie podaje, połowa prawie jest pastorów. Wszakże J. Olivier pastorem nie był, w całéj jednakże pełni jest poetą chrześciańskim i patryotycznym. W odsyłaczu umieszczamy jeden z utworów jego w oryginale, lękając się w tłómaczeniu prozą zatrzeć wdzięk główny onego, siłę dykcyi i harmonijność rytmu (1).

---

(1) L' Helvetie.

Il est, amis, une terre sacrée,
Où tous ses fils veulent au moins mourir.
Du haut des monts dont elle est entourée,

Zastęp poetów posiada ziemia Vaud niemały. Okrom Olivier'a, dwaj Chavannes, Porchat, Monneron, Durand, Chatelanat, Oyex, Richard i inni. Do pisania wiązaną mową biorą się nawet uczeni, jak Tzaut professor rachunkowości handlowéj, Troyen archeolog, Ellenberger chemik. W poezyi waldeńskiéj w ogóle postrzegać się daje usiłowanie z premedytacyą, szkodzące jéj dla téj premedytacyi właśnie, krępującéj z góry swobodę natchnienia

---

Lequel de nous la vit sans s'attendrir?
Cimes qu'argente une neige durcie,
Rocs dans les airs dressés comme des tours,
Vallons fleuris, Helvetie! Helvetie!
C'est toi, c'est toi, que nons aimons toujours.

La Liberté, depuis les anciens âges
Jusques à ceux où flottent nos destins,
Aime à poser ses pieds nus et sauvages
Sur les gazons qu'ombragent tes sapins.
Là, sa voix forte éclate et s'associe
Avec la foudre et ses roulements sourds.
A cette voix, Helvetie! Helvetie!
Nous répondrons, nous qui t'aimons toujours.

Mais, oh! dis-nous: Tes secrètes vallées
Que la rosée enrichit de ses pleurs,
Un jour. pourqnoi furent-elles foulées
Par l'étranger qui moissonna tes fleurs?
De tes torrents pourquoi l'onde noircie
Dut-elle voir le sang tacher son cours?
Oh! dis-le-nous! Helvetie! Helvetie!
Car nous t'aimons, nous t'aimerons toujours!

—C'est la discorde!—Ah oui! telle est la plaie
Qui te dévore et te ronge le sein.
Ne tarde plus; et que ta main balaie
Des faux enfants le corrupteur essaim!
Ou tu verras, terrible prophétie!
Perir ton nom, ta gloire et tes beaux jours.
Mais alors même, Helvetie! Helvetie!
Nous qui t'aimons, nous t'aimerons toujours.

Mais au-dessus de tes monts, des nuages
Bien au-dessus de tout penser mortel,
J'ai vu la main, qui tient le fil des âges,
Divin moteur de l'ordre universel:
Rayon qui luit sur ta tête obscurcie
Près de l'abîme il sera ton secours.
Oh! suis ton guide, Helvetie! Helvetie!
Pour nous sauver, nous qui t'aimons toujours.

Na to samo choruje i malarstwo szwajcarskie. Natura szwajcarska, tak w piękno bogata, ciśnie poetów ogromem piękności swojéj. Nie są w stanie wyśpiewać jéj, a czują się do tego obowiązani niejako. Ztąd pochodzi pewien w utworach ich niedostrój. Czuć w nich kopią. Chce się twórców ich pomawiać o porywanie się nie na swoją rzecz. Obok tego przebija się premedytacya inna jeszcze, a to, moralizacyjna, dążność chwalebna w sobie, lecz bardziéj się nadająca do prozy, aniżeli do mowy bogów. Ztąd poezya tutejsza tchnie dydaktyzmem, ubranym wprawdzie w formy wdzięczne, lecz nie pociągające. Bajki się Waldeńczykom udają. Celuje w takowych Jan Jakób *Porchat*. We względzie obrazów natury alpejskiéj, w kreśleniu których próbował się każdy niemal z poetów ziemi Vaud, nie spotkaliśmy ani jednego, któryby dorównał kilku wierszom, rzuconym od niechcenia przez Z. Krasińskiego na czele „Przedświtu," albo też tłu, jakiém Słowacki podłożył poemat „w Szwajcaryi." Za dużo do farb dodają wody. Stanowi to właściwość ich, która ich charakteryzuje: starają się z niéj poprawić i—spodziewać się należy—że poprawią się.

Wypadałoby wspomnieć o literaturze edukacyjnéj—o książkach dla dzieci i dla młodzieży niepełnoletniéj. Nie brak takowych, nie w takiéj jednak ilości i wartości, jakby się spodziewać należało po społeczeństwie, w którém zajęcie najważniejsze stanowi wychowywanie młodego pokolenia. Posługują się w téj mierze książkami sprowadzanemi i tłómaczeniami z angielskiego. Istnieją wszakże i oryginalne prace, kobiece zwłaszcza, jak panny Herminii Chavannes (biografie Hallera, Pestalozego, Lavatera), pani Monneron, pani de Pressensé i in.

O publicystyce powiedzieć nie można, że kwitnie; powiedzieć jednak należy, że dużo zatrudnia ludzi, jest bowiem reprezentowana przez ogromną stosunkowo ilość pism peryodycznych. W Lozannie, liczącéj 30 tysięcy mieszkańców niespełna, wychodzi czterdzieści cztery. Każde ze znaczniejszych nieco miasteczek, jak Verey, Aigle, Yverdon, Moudon, Meral, etc., posiada dzienniki swoje. Konsumcya takowych odbywa się na miejscu; zastosowana też jest do potrzeb miejscowych. Dzienniki polityczne, redagowane starannie, nie odznaczają się wielkością formatu; *Gazette de Lausanne*, organ konserwatystów, i *Nouvelliste Vaudois*, demokratów, wychodzące codziennie, drukują się na arkusikach, inne na ćwiartkach. Czytelnicy, zajęci pracą, nie mają dużo czasu na czytanie gazet, te przeto podają im wiadomości summarycznie, zatrzymując się najdłużéj przy sprawach domowych. Dają felie-

tony, a w tych przedrukowują zazwyczaj powieści autorów francuzkich, biorąc takowe z trzeciéj ręki. Wychodzi też starannie bardzo redagowany przegląd miesięczny: *Bibliothèque universelle*, pismo literackie i naukowe, na zaletę którego dosyć powiedzieć, że stałym onego spółpracownikiem był, za życia swego, Sainte-Beuve, pisywał kronikę paryzką. Udział w niém biorą i Genewczycy. Literackiém pismem jest jeszcze *Conteur Vaudois*. Inne poświęcone są przedmiotom specyalnym: kościół posiada organów sześć, edukacya i szkolnictwo pięć, gospodarstwo cztery, finansowość cztery, medycyna dwa, sądownictwo dwa, sztuka wojskowa jeden, muzyka jeden. Państwo, które to wszystko spotrzebowuje, liczyło w r. 1871 (świeższéj daty nie mamy pod ręką) mieszkańców płci obojéj 231,506.

Daliśmy tedy, treściwy wprawdzie bardzo, nie mniéj przeto dosyć dokładny obraz literackiéj działalności kantonu Vaud— obraz o tyle dokładny, że z niego przekonać się można, iż kanton posiada literaturę własną, odrębną, czyli że w pracy literackiéj idzie drogą partykularyzmu, wydzielając się zarówno, tak w odniesieniu do Szwajcaryi, z którą łączą go związki polityczno-państwowe, jak w odniesieniu do Francyi, z którą jednym i tym samym mówi językiem.

Jestże z krzywdą czyją, czy z pożytkiem ta praca odrębna?

W odpowiedzi na to pytanie zachodzi wzgląd trojaki: na Szwajcaryą, na Francyą i na ziemię Vaud. Krzywda lub pożytek odnosi się do trzech tych osobistości zbiorowych, do każdéj z nich jednakowo prawie; rzecz zaś roztrzyga się za pomocą pytania następującego: jaka praca jest pożyteczniejsza, przymusowa czy swobodna?

Praca swobodna, która się na polu literackiém w kantonie Vaud odbywa, przynosi ogromną Szwajcaryi korzyść przez to, że potęguje intellektualne jednego z jéj członków siły, przez nie zaś i moralne, i materyalne, i polityczne. Państwo takie jak Szwajcarya od tego właśnie zależy: tego jéj przedewszystkiém potrzeba— to stanowi główny zbawienia jéj i przyszłości warunek. Dorobek każdy kantonalny obraca się bezpośrednio na korzyść państwa.

Francya traciłaby na odrębości literackiéj kantonu Vaud w jednym tylko względzie, we względzie literackim, gdyby nie to, że krzywdzie na téj drodze sprzeciwia się sama natura rzeczy. Personel wszelki literacki składa się z massy wyrobniczéj i ze szczupłéj liczby znakomitości. Massa wyrobnicza pozostaje w granicach kantonu, znakomitości granice przekraczają i idą na pożytek ogólny literatury francuzkiéj. Pani de Charrière, Vinet, Por-

chat i kilku jeszcze figurują na kartach takowéj, a kto wie czyby, figurowali, gdyby nie parcie z dołu, które ich na wierzch wysunęło. Parcie to ma kanton—parafią własną—wyłącznie na celu; wysuwającym się naprzód talentom nie może, przez wzgląd na interes własny, nie jest zresztą w stanie, pęt nakładać, w polocie je powściągać. Jak praca odbywa się swobodnie, tak i polot odbywa się swobodnie: dosięgnąć więc może aż tych wyżyn, na których tronują Thierrowie, Chatobriandy, Lamartiny, Hugonowie, Sandy—byle jeno siły starczyły: te zaś wyrabiają się najlepiéj na drodze pracy swobodnéj.

Co się w końcu kantonu samego tycze: cóż do powiedzenia we względzie pożytku pozostaje?—Może mu krzywda? O! daj Boże każdemu poczciwemu krzywdę taką.

Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiém (1).

napisał

JÓZEF KIRSZROT.

I.

Założenie i rozwój Towarzystwa.

Potrzeba bywa najlepszą szkołą. Najdoskonalsza organizacya kredytu ziemskiego wynaleziona została wówczas, kiedy stan rolniczy doszedł do najbardziéj opłakanego stopnia i ratunek przez kredyt był najbardziéj naglący. Miało to miejsce na Szlązku po wojnie siedmioletniéj. Po wojnie téj rolnik znalazł zabudowania swe spalone i zniszczone, inwentarze zabrane lub rozproszone, narzędzia połamane, — pieniądze, jakie posiadał, składały się ze złéj monety, zwanéj trojakami saskiemi, które po wojnie wartość swoję straciły. Nadto spadły ceny zboża, wartość majątków ziemskich obniżona została. Pożyczki nie można było dostać na niższy procent od 10% rocznie i 2—3% opłaty meklera. Król Fryderyk II dla ocalania właścicieli ziemskich od niebezpieczeństwa wywłaszczenia, grożącego im z powodu licznych długów podczas wojny zaciągniętych, wydał dekret zawieszający wypłatę długów do lat

(1) Floryan Czermiński: O Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém w Królestwie Polskiém, Warszawa, 1866. Anzelm Sulikowski: Krótki rys i zasady Tow. Kred. Ziem. w Król. Pols. Warszawa 1866. Felix Zieliński: Materyały do historyi Tow. Kred. Ziem. w Król. Polskiém. Ekonomista 1866 i 1867. Zbiór rachunkowych wiadomości i objaśnień dotyczących działań Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego od chwili zawiązania tegoż do roku 1869 włącznie. Warszawa 1875. J. B. Josseau Traité du Crédit foncier, Paris 1872. M. Royer: Des institutions du crédit foncier en Allemagne et Belgique.

trzech, ale środek ten zamiast dopomódz wydał skutki wprost przeciwne, bo zabił zaufanie i unieważnił wszelki kredyt. Smutne to położenie pobudziło do zastanowienia się i szukania środków zaradczych. Z pomiędzy licznych projektów odróżniał się jeden podany w roku 1767 przez berlińskiego kupca Bühringa. Na zasadach tego projektu utworzone zostało w roku 1770 szlązkie Towarzystwo Kredytowe Ziemskie (Landschaft), które służyło za wzór dla późniejszych tego rodzaju instytucyi, założonych w 1777 roku w Marchii Brandeburskiéj, w 1780 w Pomeranii, w 1782 w Hamburgu, w 1786 w Danii, w 1787 w Prussiech Zachodnich, w 1790 w Lüneburgu, w 1803 w Estonii, Inflantach i Kurlandyi, w 1811 w Szlezwigu i Holsztynie, w 1818 w Meklemburgu, w 1822 w W. Ks. Poznańskiém, w 1823 w Grönindze, w 1825 w Królestwie Polskiém, Kalenbergu, Grubenlagen i Hildesheim, w 1826 w Bremie i Verden, w 1827 w Wirtembergu, w 1841 w Galicyi, w 1844 w Saxonii i t. d.

Na początku bieżącego stulecia, położenie rolnictwa w kraju naszym nie było lepsze, aniżeli w wieku zeszłym na Szlązku.

Klęski wojenne przy końcu zeszłego stulecia spowodowały upadek bogactwa narodowego i zmniejszenie się ludności. W tém położeniu kraju rząd pruski podwyższył podatek ofiary opłacany od dochodu z 10% do 24%, a nadto nałożył uciążliwe kary insurrekcyjne. Gdy obywatele ciężarom tym podołać nie byli w stanie, rząd pruski otworzył im kredyt w Banku Berlińskim, za przykładem którego poszły inne istytucye kredytowe i kapitaliści pruscy.

Ta łatwość kredytu w połączeniu z wysokiemi cenami ziemiopłodów, wywołanemi wojną na południu Europy, wprowadziła do kraju znaczne kapitały, podniosła wartość dóbr i dochody z takowych. Pozorne to podwyższenie się bogactwa narodowego było powodem przecenienia wartości ziemi, powiększenia wydatków i nieoględnych spekulacyi. Rozczarowanie jednak prędko nastąpiło. W roku 1805 Bank Berliński, a za nim wszystkie inne instytucye kredytowe pruskie wypowiedziały naraz wszystkie wypożyczone kapitały, a rząd pruski wydał do sądów postanowienie, aby subhastacye jak najszybcéj i najenergiczniéj przeprowadzać. Obywatele prowincyi polskich, widząc grożące sobie niebezpieczeństwo, zanieśli prośbę do rządu o zaprowadzenie towarzystwa kredytowego na wzór towarzystw w innych prowincyach pruskich istniejących. Rząd jednak dał odmowną odpowiedź. Wywłaszczeniu polskich obywateli z ziemi po przodkach odziedziczonéj, przeszkodziło w roku 1806 wkroczenie Francuzów do Pruss i utw o rzenie następnie Księztwa Warszawskiego.

Jeżeli utworzenie Księztwa Warszawskiego ocaliło właścicieli ziemskich od gwałtownego wywłaszczenia, to jednak ekonomicznego położenia kraju nie polepszyło, a nawet pogorszyło. Wojska francuzkie obległy Gdańsk, a skutkiem tego zatamowały najważniejsze, jeżeli nie jedyne wówczas miejsce zbytu płodów rolnych Polski. Zbiory z roku 1806 nie mogły być za granicę wysłane, i musiały być w kraju bez żadnego ekwiwalentu skonsumowane. To zaś co poprzednio do Gdańska spławione zostało, służyło do żywienia oblężonego miasta ze stratą dla właścicieli. Ukończenie nawet oblężenia Gdańska nie otworzyło tego ważnego portu dla handlu polskiego, bo system kontynentalny, ogłoszony w r. 1806 przez Napoleona I, a polegający na usunięciu Anglii od wszelkich stosunków ze stałym lądem, uniemożebnił wywóz zboża do Anglii; inne zaś kraje, podlegające również systematowi kontynentalnemu, zboża miały do zbytku, i naszego nie potrzebowały.

Gdy tak z jednéj strony dochody obywateli Ks. Warszawskiego zmniejszyły się przez brak zbytu produkcyi rolnéj; z drugiéj strony skutkiem ciągłych wojen podatki, ofiary na rzecz państwa, rekwizycye i wojskowe ciężary zubożałych obywateli znacznie się podwyższyły, wyczerpały zasoby dawniejsze, i w ten sposób zniszczone zostały nietylko dochody, ale i kapitały.

Bezpośrednim skutkiem takiego położenia rzeczy był nagły i znaczny upadek ceny dóbr, tudzież niemożność płacenia procentów od summ hypotecznych, nie mówiąc już nic o zwrocie samego kapitału. Były wypadki, iż w r. 1811 sprzedawano majątki ziemskie, poprzednio za złp. 900,000 kupione, po cenie 40,000; kupione za złp. 120,000 za złp. 20,000 i t. p. Sprzedaż w drodze subhastacyi dóbr Załęże Małe za summę złp. 12,500 była przyczyną wydania w r. 1811 dekretu, mocą którego nie wolno było dóbr ziemskich sprzedawać niżéj $^{2}/_{3}$ części wartości. Dobra te nabyte zostały w r. 1805 za złp. 50,600. Nowonabywca upłaciwszy na szacunek złp. 38,770 gr. 26, reszty złp. 11,829 gr. 4, nie był w możności dopłacić. Kredyt był niemożebny. W r. 1811 dobra te w drodze subhastacyi sprzedane zostały za złp. 12,500.

Dla położenia tamy wywłaszczaniom książę warszawski udzielił dłużnikom w roku 1810 moratoryum t. j. przedłużenie na rok terminu wypłaty kapitału pod obowiązkiem płacenia procentów; gdy jednak po upływie roku położenie kraju nie polepszyło się, moratoryum przedłużone zostało na rok następny: prolongata następowała z roku na rok, aż ostatecznie w roku 1825 stanowczo zniesione zostało. Moratorym to zrujnowało wierzycieli hypotecznych i zachwiało ostatecznie wszelki kredyt i zaufanie.

Smutne to położenie tak dłużnika, jak i wierzycieli, oddawna już dawało uczuć potrzebę instytucyi kredytowéj, którąby przyszła w pomoc właścicielom ziemskim i pozwoliła spłacić wierzycieli. Myśl ta wielokrotnie była podnoszona, lecz z jednéj strony bezustanne wojny, z drugiéj strony zmiany rządów i prace organizacyjne, nie dały czasu do jéj urzeczywitnienia. Po nastaniu trwałego pokoju i ukonstytuowaniu się rządu Królestwa Polskiego, utworzenie instytucyi kredytu ziemskiego stało się jedném z najważniejszych zajęć tak władz rządowych, jak izb poselskich, jak wreszcie wszystkich ludzi myślących. Ponieważ nie ma kredytu ziemskiego bez dobrze urządzonéj hypoteki, przeto na pierwszym zaraz sejmie z roku 1818 uchylono tytuł XVIII kodeksu Napoleona i uchwalono własne prawo o ustaleniu własności dóbr nieruchomych, przywilejach i hypotekach.

Gdy położono w ten sposób fundament dla kredytu ziemskiego, zabrano się do trwałéj jego budowy. Projekt Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wypracowali: książę Drucki-Lubecki i Kajetan Dominik Kalinowski, a następnie poddany został pod dyskussyą i do opinii deputacyi sejmowéj, rady stanu, rad wojewódzkich, izb poselskiéj i senatorskiej. Po nader żywych dyskussyach, pierwotny projekt z niektóremi uzupełnieniami i zmianami, przyjęty został i zyskał sankcyą królewską na posiedzeniu połączonych izb sejmowych z dnia 13 Czerwca 1825 r.

Niezwłocznie po uchwaleniu prawa o Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém, zajęto się jego organizacyą i przygotowawczemi czynnościami, a na początku roku 1826 udzielano już pożyczki.

Wedle art. 200, termin ostateczny przystąpienia do Towarzystwa oznaczony został do dnia 12 Czerwca 1833 roku; po tym zaś terminie już nikt przyjętym być nie mógł. Byt Towarzystwa zakreślony został na lat 28 (art. 214); w dniu 22 Czerwca 1854 roku Towarzystwo miało nieochybnie rozwiązać się, a do tego terminu całkowita pożyczka w towarzystwie zaciągnięta, oraz wszystkie wypuszczone listy zastawne, powinny były być umorzone.

Wypadki z roku 1830 i 1831 w kraju zaszłe, nie pozwoliły wielu właścicielom przystąpić do Towarzystwa w terminie do roku 1833 zakreślonym, a nadto nowe klęski wojenne wywołały nową potrzebę wspierania rolnictwa za pomocą pożyczek Towarzystwa Kredytowego, których zbawienne skutki kraj miał już sposobność poznać. Te względy skłoniły rząd do wydania prawa w dniu 9 (21) Kwietnia 1838 r., którém istnienie Towarzystwa przedłużone zostało na drugi okres 28 letni, t. j. do roku 1866 (art. 2).

Prawo z roku 1838 upoważniło Towarzystwo do udzielania trojakiego rodzaju pożyczek:

1. *Nowéj*, na takie dobra, które dotychczas w Towarzystwie zastawione nie były.
2. *Dodatkowéj*, na dobra, które już były w Towarzystwie zastawione, lecz otrzymały pożyczkę mniejszą od téj, jaką wedle prawa z r. 1825 otrzymać miały prawo.
3. *Odnowionéj*, na dobra, które były w Towarzystwie zastawione i do roku 1838 zobowiązaniom względem Towarzystwa przyjętym zadość uczyniły, w wysokości takiéj saméj, jaką z pierwotnie udzielonéj pożyczki do roku 1838 umorzyły.

Dla odróżnienia pożyczek z roku 1825, od pożyczek z r. 1838, pierwsze nazwano pożyczkami Okresu I-go, drugie, Okresu II-go.

W roku 1852 listy zastawne okresu I-go, które miały być do roku 1854 z obiegu wycofane, były już w zupełności umorzone, a ponieważ do tego czasu wypróbowane zostały zasady Towarzystwa, poznano dobroczynny jego wpływ na ustalenie kredytu, podniesienie rolnictwa, gdy nadto przez ułatwienie kredytu rząd chciał dać właścicielom dóbr środki do oczynszowania włościan; przeto dalsze istnienie Towarzystwa i rozszerzenie jego działalności w dotychczasowym kierunku stało się dla kraju niezbędne. Jakoż, prawem z dnia 8 (20) Kwietnia 1853 r. Towarzystwo upoważnione zostało do udzielania na dobra ziemskie pożyczek III-go Okresu, również na lat 28, t. j. z terminem umorzenia do roku 1881.

Pożyczki Okresu III-go również są:

1. *Nowa*, na dobra poprzedniemi okresami pożyczek nie obciążane, czy to w skutek nieotrzymania ich, czy też w skutek umorzenia pożyczki okresu I-go.
2. *Dodatkowa*, na dobra, które nie otrzymały w okresie II-gim pożyczek w takiéj wysokości, jaka im z mocy prawa z r. 1825 przysługiwała.
3. *Odnowiona*, na dobra, które spłaciły część pożyczki II-go okresu, w summie wyrównywającéj wysokości umorzenia.

Prawem z dnia 10 (22) Maja 1860 r. uznana została skutkiem znacznego podwyższenia się wartości dóbr ziemskich, możność i potrzeba udzielania pożyczek w wyższym niż dotychczas zakresie, a skutkiem tego dozwolone zostało Towarzystwu udzielanie pożyczek tegoż samego okresu, seryi 2-éj, z warunkiem wszakże, aby te listy seryi 2-éj umorzone były jednocześnie z listami zastawnemi seryi 1-éj okresu III-go, t. j. do roku 1881 (art. 5).

Pożyczki seryi 2-giéj okresu III-go są:

1. *Nowa*, na dobra, które pożyczkami poprzedniemi obciążone nie były.
2. *Odnowiona*, na dobra, których szacunek podług praw dzisiejszych jest za nizki i dzisiejszéj wartości dóbr nie odpowiada.

W roku 1864, uwłaszczenie tak dawno przewidywane i upragnione, projektowane i dyskutowane, stało się nareszcie czynem. Zmiana ta w gospodarstwie wywołała potrzebę nowych kapitałów, i to nietylko na opłatę najemnika, ale na zakupienie inwentarza, wystawienie nowych zabudowań, a kapitały na te cele zapożyczane, jako do gruntu przyrastające, nie mogły być w krótkim czasie zwrócone, ale musiały być na dłuższy przeciąg czasu rozłożone, przez powolną amortyzacyą zaspokojone.

Dla zaradzenia téj potrzebie, prawo z dnia 12 Lipca 1869 r. dozwoliło Towarzystwu udzielać nowych pożyczek. Prawo to zaprowadziło wiele nader ważnych zmian, które niżéj poznamy; jedną z głównych jest ta, iż nie zakreśliło już Towarzystwu czasu trwania: z instytucyi czasowéj, zamieniło ją na instytucyą stałą, i w art. 5 postanowiło, iż Towarzystwo w każdym czasie przyznawać będzie pożyczki.

II.

Warunki wymagane od dóbr przystępujących do Towarzystwa.

Towarzystwo Kredytowe Ziemskie jest stowarzyszeniem dłużników. Wedle prawa z r. 1825, przystąpić do niego może każdy właściciel ziemski z dobrami swojemi, jeżeli te mają urządzoną hypotekę gubernialną w granicach Królestwa Polskiego, i opłacają podatku ofiary złotych 100 podług zasad lustracyjnych z roku 1789 (art. 2).

Pierwsze instytucye kredytowe były instytucyami arystokratycznemi i korporacyjnemi; były one przeznaczone tylko dla dóbr szlacheckich. Wszystkie dobra szlacheckie danéj miejscowości musiały do nich należeć; żadne, nawet nieobdłużone, nie mogły od uczestnictwa i wspólnego poręczenia wyłączyć się. Do Towarzystwa Kredytowego Szlązkiego mogły należeć tylko dobra rycerskie; w roku 1848 przypuszczono do uczestnictwa i dobra rustykalne; ale właściciele tych dóbr do administracyi należeć nie mogli. Późniejsze instytucye, a pomiędzy niemi nasza, utraciły ten chara-

kter stanowy; są one stowarzyszeniami dobrowolnemi, może do nich przystępować każdy, kto spodziewa się, że pomoc ich będzie mu użyteczną, i posiada warunki przez nie wymagane. Można również w każdéj chwili z Towarzystwa wystąpić za zwrotem nieumorzonego długu.

Poznańskie Towarzystwo wymaga, aby uczestnicy przyjmujący w niém udział, byli koniecznie krajowcami: cudzoziemcy mogą do Towarzystwa przystępować tylko za specyalném zezwoleniem ministra spraw wewnętrznych (§ 2 statutu z r. 1857).

Nasze Towarzystwo nie pyta się o stan, ani osobę lub narodowość właściciela do niego przystąpić pragnącego, ale jedynie o rozległość jego dóbr.

Ustanowienie pewnego pod tym względem minimum jest konieczne, jakkolwiek bowiem Towarzystwo udziela pożyczki do pewnéj tylko części wartości dóbr; jednak przy małéj wartości dóbr zdarzyć się może, iż część nieobdłużona, w razie niewypłacalności, nie wystarczy na zaspokojenie kosztów exekucyjnych i należności uprzywilejowanych, jakiemi są: podatki wszelkiego rodzaju, tudzież należności gminne i instytutowe za rok bieżący i zaległe za lat dwa, niemniéj zaległe za rok zasługi i ordynarya dla sług i czeladzi, które to należności mają pierwszeństwo nawet przed pierwszym numerem hypoteki (art. 41 prawa hypot. z r. 1818), a w takim razie należność Towarzystwa zostałaby niezaspokojoną. Dlatego też francuzki Crédit foncier postanowił nie udzielać mniejszych pożyczek, niż 300 franków; Towarzystwo zaś Kredytowe Poznańskie udziela pożyczki na takie tylko dobra, które mają wartość najmniéj 5,000 talarów.

Jakkolwiek nasze Towarzystwo Kredytowe nie jest dostępne dla drobnych właścicieli ziemskich, widzimy jednak ciągłą dążność do rozszerzenia jego działalności na mniejsze własności. Najprzód należy zwrócić uwagę na to, iż przy pierwotném uregulowaniu hypotek gubernialnych, przyjęto za zasadę ustalenie tytułów własności tych tylko majątków, których wartość wynosi najmniéj złp. 9,000.

Wedle prawa z r. 1825, te tylko dobra ziemskie mogły korzystać z pożyczek Towarzystwa, które miały urządzoną hypotekę gubernialną i płaciły najmniéj 100 złp. podatku ofiary. Ogólna summa podatku ofiary wynosiła złp. 4,800,000, a ponieważ dobra płacące więcéj niż 100 złp. ofiary przynosiły jéj 3,901,175 złp., przeto dobra płacące nieco więcéj niż 4/5 ogólnéj summy podatku ofiary, kwalifikowały się do korzystania z pożyczek Towarzystwa Kredytowego.

Prawo z roku 1838 zniżyło skalę kwalifikacyi dóbr z dobrodziejstw Towarzystwa korzystać mogących, i postanowiło, iż pożyczki mogą być udzielane dobrom, płacącym ofiary 50 złp (art. 3), z zastrzeżeniem wszakże, aby rozległość tych dóbr wynosiła najmniéj sześć włók, nieprzedzielonych żadną obcą granicą (§ 21). Summa pożyczek, jaka udzielone została dobrom, korzystającym z tego zniżenia skali, wynosiła około rsr. 300,000.

Prawo z roku 1869 dozwala udzielać pożyczki na wszelkie dobra ziemskie, mające gubernialną hypotekę, rozległości dóbr nie określa, to tylko kładzie zastrzeżenie, aby posiadłości mniéj aniżeli 90 morgów mające, nie były przedzielone żadną obcą własnością i miały ustalone granice.

Nadto prawo to zapowiadało bezwłoczne wydanie przepisów, dla udzielenia pożyczek na dobra ziemskie, mające hypoteki okręgowe, oraz na osady włościańskie.

Jakoż Najwyższym Ukazem z dnia 3/15 Lipca 1871 r., Towarzystwo upoważnione zostało do udzielania pożyczek w listach zastawnych na osady włościańskie więcéj niż 90 mórg, zawierające i mające urządzoną hypotekę gubernialną, i jednocześnie nadany został ważny Towarzystwu przywiléj co do alienacyi gruntów włościańskich, a mianowicie: Najwyższy Ukaz o urządzeniu właścian z 1864 r. przepisał ograniczenia co do zaciągania długów na grunta włościańskie, tudzież co do sprzedaży takowych, np. iż tylko osoby należące do stanu włościańskiego mają takowe nabyć. Ograniczenia te, jako niezgodne z zasadami Towarzystwa Kredytowego, zostały powyższym Ukazem z roku 1871 zniesione w stosunkach Towarzystwa Kredytowego z osadami włościańskiemi, i w razie wystawienia takowych na przymusową sprzedaż za zaległe raty, zastosowane do nich będą przepisy Towarzystwa.

Oprócz właścicieli ziemskich, przystąpił do Towarzystwa Kredytowego i Rząd z dobrami narodowemi (art. 3). Wedle oświadczenia księcia Lubeckiego w izbie poselskiéj, Rząd przystępując do Towarzystwa, miał na celu zaciągnięte na dobra narodowe listy obrócić na zapłacenie części długu narodowego, tudzież na udzielenie pożyczek tym z właścicieli ziemskich, którzy dostateczną przedstawiają pewność, a w szczególności tym, którzy opłacają podatku ofiary mniéj niż 100 złp., lub którzy opłacając wyższy podatek po ustanowieniu takowego, znacznie dobra swe ulepszyli.

Dla dania obrazu, jakiéj rozległości dobra korzystały z pożyczek Towarzystwa Kredytowego, przedstawiamy tabliczkę, wykazującą przecięciową wysokość pożyczek, udzieloną w trzech pierwszych okresach na dobra prywatne:

W OBRĘBIE DYREKCYI SZCZEGÓŁOWÉJ	w okresie I półroczu 1-m 1838 r.			w okresie I i II półroczu 1-m 1844 r.			w okresie II i III Seryi I półroczu 2-m 1860 r.			w okresie III Seryi I i II półroczu 2-m 1867 r.		
	posiadały pożyczek		przypada na jedno DOBRA	posiadały pożyczek		przypada na jedno DOBRA	posiadały pożyczek		przypada na jedno DOBRA	posiadały pożyczek		przypada na jedno DOBRA
	dóbr prywatnych	w ogólnéj summie		dóbr prywatnych	w ogólnéj summie		dóbr prywatnych	w ogólnéj summie		dóbr prywatnych	w ogólnéj summie	
Warszawskiéj . . .	898	5573995	6207	1276	7959915	6238	1412	8565600	6057	1319	11393880	8638
Kaliskiéj	623	3461955	5557	900	5238496	5820	991	5451615	5501	978	8092245	8274
Radomskiéj	414	3263318	7882	589	4665840	7921	664	5144550	7988	657	8226560	12521
Kieleckiéj	406	3385095	8337	524	4701224	8971	570	5633175	9882	576	8215560	14263
Lubelskiéj	390	4949292	12690	500	7122285	14244	551	7960440	14447	530	11797680	22259
Siedleckiéj	321	3791775	11812	457	5697000	12466	493	6063030	12298	478	9176625	19197
Płockiéj	620	2512425	4052	925	3466230	3747	1053	3781905	3592	971	5103225	5255
Suwalskiéj	203	1634940	8053	316	2339625	7404	348	2262075	6500	310	2765895	14814
w ogóle . .	3875	28572795	7373	5487	41190615	7508	6064	44862300	7398	5819	64771670	11131

Następująca tabliczka, przedstawiająca ilość dóbr, obciążonych przy końcu roku 1869 pożyczkami różnéj wysokości jeszcze lepiéj uwydatni, jakiéj rozległości dobra przeważnie korzystały z pomocy Towarzystwa Kredytowego:

Liczba dóbr obciążonych pożyczką 1 i 2 Seryi Okresu III w drugiém półroczu 1869 w obrębie Dyrekcyi Szczegółowych.

Rubli sr.	Warszawskiéj	Kaliskiéj	Radomskiéj	Kieleckiéj	Lubelskiéj	Siedleckiéj	Płockiéj	Suwalskiéj	W ogóle
500	1	1	—	—	—	—	—	1	3
1000	47	22	3	4	6	6	58	16	162
2000	186	113	39	17	14	33	227	58	687
3000	174	128	52	24	17	29	177	44	645
4000	149	104	46	31	19	28	102	43	522
5000	129	105	65	42	18	30	104	25	518
6000	98	83	59	39	20	27	65	21	412
7000	83	57	32	34	22	23	48	12	311
8000	53	52	39	33	24	25	35	7	268
9000	38	42	31	36	13	23	26	8	217
10000	50	40	43	26	20	8	14	5	206
15000	136	113	105	135	91	67	61	19	727
20000	56	49	50	53	68	46	27	12	361
25000	26	29	35	28	48	27	8	8	209
30000	28	14	14	28	29	24	8	11	156
35000	24	8	6	16	27	16	5	8	110
40000	10	4	4	6	21	14	1	1	61
45000	5	9	8	8	17	6	2	—	55
50000	6	4	2	4	14	7	—	4	41
60000	9	3	6	9	15	9	—	1	52
70000	4	1	2	—	4	6	1	1	19
80000	2	—	3	2	6	4	—	1	18
90000	1	—	3	2	3	2	—	—	11
100000	—	—	2	—	1	—	2	—	5
wyżéj nad 100000	4	2	4	4	4	9	—	11	36

Z powyższych tablic okazuje się, iż przecięciowa cyfry pożyczki przypadającéj na jedne dobra wynosiła w r. 1869 rs. 10,939, a najwięcéj jest dóbr obciążonych pożyczką w summie rs. 15,000 (727); następnie idą dobra, obciążone pożyczką od rs. 2,000 (687) do rs. 5,000 (311), późniéj dobra obciążone pożyczką rs. 20,000 (361), 8,000, 9,000, 25,000, 10,000, 1,000, 35,000 i t. d.

Wysokość pożyczek udzielonych na pojedyncze dobra jest nader odmienna w różnych stronach kraju. Na przeciwległych biegunach znajdują się Płockie i Lubelskie. W Płockiém przecięciowa cyfra pożyczki na jedne dobra udzielonéj, wynosi rs. 5,204, w Lubelskiém rs. 21,957. W Płockiém najwięcéj dóbr jest obciążonych summą rs. 2,000 (227), w Lubelskiém najwięcéj dóbr jest obciążonych summą rs. 20,000 (68). W Płockiém jest wszystkiego troje dóbr mających więcéj jak 45,000 rs., w Lubelskiém 43; w Płockiém nie ma ani jednych dóbr obciążonych pożyczką przewyższającą rs. 100,000, w Lubelskiém 9, w Siedleckiém 11.

Pomiędzy Płockiém a Lubelskiém, inne strony kraju pod względem przecięciowéj cyfry pożyczki na jedne dobra przypadającéj, idą następującym porządkiem:

Siedleckie,	przecięciowa cyfra	rs.	19,050
Kieleckie	„	„	13,897
Radomskie	„	„	12,417
Suwalskie	„	„	8,541
Warszawskie	„	„	8,514
Kaliskie	„	„	8,146

III.

Ustanowienie wysokości pożyczek i taxa.

Jedną z największych trudności przy udzielaniu pożyczek na zastaw dóbr jest ustanowienie wysokości udzielić się mogącéj pożyczki, tak aby ona z jednéj strony była rzeczywistą pomocą dla dłużnika, a z drugiéj nie nadwerężyła bezpieczeństwa Towarzystwa. Dla oznaczenia téj wysokości, konieczna jest dokładna znajomość wartości dóbr, która tylko przez umiejętne i metodyczne otaksowanie wykryta być może. Sporządzenie taxy całéj własności ziemskiéj kraju na wspólnych zasadach, jest wprawdzie rzeczą trudną i kosztowną, korzyści wszakże pod względem ekonomicznym z taxy wypływać mogące, są zbyt ważne, aby trud ten i koszt nie opłaciły się.

Pierwsze zaraz instytucye kredytowe w Prusiech przyjęły taxę dóbr za podstawę do ustanowienia wysokości pożyczki. Taxa ta była zapewne niedokładna, powoli jednak metoda taxy wydoskonaliła się, aż nakoniec doszła dziś do wielkiéj dokładności. Trudności taxy odstraszyły założycieli naszego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego od przyjęcia taxy za podstawę pożyczek i to jest przyczyną, że dotychczas kraju naszego dobrze nie znamy. Słuszna jest uwaga p. Ludwika Górskiego, że gdyby przy zaprowadzeniu u nas Towarzystwa Kredytowego pożyczki na taxie oparto, wyrobiłaby się niewątpliwie w łonie Towarzystwa doskonała umiejętność szacowania dóbr ziemskich, udoskonaliłyby się metody tego oszacowania, tak jak się wyrobił i wydoskonalił porządek administracyjny i finansowy Towarzystwa.

Nagląca potrzeba szybkiego wprowadzenia w wykonanie działalności Towarzystwa i obawa, aby przez taxacyą nie nastąpiła zbyt wielka zwłoka były przyczyną, iż nie przyjęto taxy dóbr za podstawę do udzielania pożyczek, ale podatek ofiary.

Wedle art. 5 prawa z r. 1825 podatek ofiary pomnożony przez 5, przedstawia roczny dochód, ten zaś zamieniony na kapitał rozmnożeniem przez 20, reprezentuje wartość dóbr. Towarzystwo udzielało pożyczki aż do wysokości $^3/_5$ części w powyższy sposób wynalezionego szacunku. I tak np. jeżeli dobra płacą 100 rs. podatku ofiary, to summa ta pomnożona przez 5 czyli rs. 500 przedstawia czysty roczny dochód, który pomnożony przez 20, czyli summa rs. 10,000 przedstawia wartość majątku; a że Towarzystwo udziela pożyczki do wysokości $^3/_5$ części szacunku, przeto w tym wypadku wysokość pożyczki wynosi rs. 6,000.

Samo prawo z r. 1825 znało niedokładność powyższego sposobu wykrycia szacunku dóbr, i dlatego w art. 6 postanowiło, iż gdyby w pojedynczych wypadkach przyjęta zasada szacunku dóbr okazała się za wysoką i niebezpieczną dla Towarzystwa, to mnożnik 20 może być zmniejszony aż do przywiedzenia szacunku dóbr do téj summy, jaka będzie dla Towarzystwa bezpieczną, t. j. że dochód zamiast przez 20 winien być mnożony przez 19, 18 i t. d. Przeciwnie znowu, gdyby powyższa zasada szacunku okazała się za nizką i nie odpowiadającą rzeczywistéj wartości, to mnożnik 20 może być podwyższony aż do 25.

Gdyby wszyscy właściciele dóbr w Królestwie Polskiém wyżéj nad 100 złp. ofiary płacący, przystąpili do Towarzystwa, i gdyby żadnego nie było zmniejszenia ani podwyższenia mnożnika, natenczas wartość zastawianych dóbr oceniona wedle zasad przyjętych przez Towarzystwa wynosiłaby:

w województwie	Krakowskiém	złp.	52,770,476
„	Sandomierskiém . . .	„	46,272,280
„	Kaliskiém.	„	35,666,823
„	Lubelskiém	„	79,984,893
„	Płockiém	„	37,082,040
„	Mazowieckiém	„	57,154,146
„	Podlaskiém	„	53,683,556
„	Augustowskiém . . .	„	27,503,290
	ogółem w całém Królestwie	„	390,117,504 (1)

Ponieważ Towarzystwo udzielało pożyczki w wysokości 3/5 części wartości dóbr w powyższy sposób wykrytéj, to gdyby wszyscy właściciele dóbr ziemskich w Królestwie, mający prawo do pożyczki, takową podnieśli; i gdyby nie było żadnego zmniejszenia, ani podwyższenia dochodu, summa udzielnych pożyczek wynosiłaby we wszystkich ośmiu województwach złp. 234,070,524. A że Towarzystwo udzieliło pożyczek w listach zastawnych I-go Okresu na summę rs. 38,665,250 czyli złp. 257,775,000, a znaczna część dóbr kwalifikujących się do pożyczki, wcale do Towarzystwa nie przystąpiła, dowodem czego są nowe pożyczki następnych okresów; przeto widać, iż władze Towarzystwa daleko więcéj korzystały z możności powiększenia mnożnika 20, aniżeli zmniejszenia takowego, co łatwo wytłómaczyć sobie można tém, iż od roku 1789 t. j. daty ustanowienia podatku ofiary do czasu rozwinięcia działalności Towarzystwa, wartość dóbr ziemskich, bardziéj się powiększyła, aniżeli zmniejszyła.

Jeżeli przy zawiązaniu się Towarzystwa brak czasu służyć mógł za usprawiedliwienie, iż w miejscu taksy przyjęto tak niedokładną zasadę do ustanowienia szacunku, to trudno wytłómaczyć sobie przyczyny, dla których Towarzystwo i późniéj przy udzielaniu pożyczek z r. 1838, 1852 i 1860 przy téj błędnéj pozostało zasadzie, a to tém bardziéj, iż sam wpływ czasu, podniesienie się wartości ziemi, ulepszenia gospodarskie, wzrastający przemysł rolniczy, ulepszone kommunikacye musiały z konieczności zaprowadzić olbrzymie zmiany w szacunkach dóbr, w których np. lasy przy rozkładzie podatku ofiary z r. 1789, jako nieprzedstawiające wówczas żadnego środka dochodu, wcale do podatku pociągane nie były, a skutkiem tego przy ustanowieniu przez Towarzystwo szacunku dóbr, lasów wcale w rachubę nie brano.

---

(1) Dyaryusz Senatu Sejmu Królestwa Polskiego, tom 3, stronica 60. Warszawa, 1828.

Prawo z roku 1860 nie odstępując od zasady podatku ofiary, dało Towarzystwu możność znacznego podwyższenia dotychczasowéj skali, pozwoliło bowiem ustanowić szacunek dóbr za pomocą pomnożenia pięć razy wziętego podatku ofiary przez 26, 27, i t. d. aż do 50.

Prawo to dla zachęcenia wałaścicieli ziemskich do zajmowania się załatwieniem dwóch nader ważnych dla kraju kwestyi, a mianowicie do urządzenia lasów wedle zasad racyonalnego gospodarstwa i oczynszowania włościan postanowiło, że:

a) Na dobra mające lasy nieurządzone i włościan wieczyście nieoczyszczonych lub nieposiadających wcale włościan podchodzących pod przepis ukazu z r. 1846 Towarzystwo udzielać ma pożyczki w stosunku szacunku, ustanowionego z pomnożenia wziętéj ofiary przez 40.

b) Na dobra, w których lasy będą urządzone, ale w których nie ma włościan oczynszowanych, ani w których nie ma włościan podchodzących pod przepisy ukazu z r. 1846; i na odwrot, na dobra, w których lasy nie są jeszcze urządzone, ale włościanie są oczynszowani, Towarzystwo udzielać może pożyczki w stosunku szacunku, ustanowionego z pomnożenia 5 razy wziętéj ofiary najwyżéj przez 45.

c) Na dobra, które mieć będą i lasy urządzone, i włościan oczynszowanych, Towarzystwo udzielać może pożyczki z pomnożenia 5 razy wziętéj ofiary najwyżéj przez 50 (art. 2).

Prawo z roku 1869 porzuciło dotychczasową zasadę podatku ofiary, a natomiast przyjęło za normę do ustanowienia szacunku dóbr podatek gruntowy, tudzież taxę. Aby podatek gruntowy mógł być słusznie i sprawiedliwie rozłożony, potrzeba żeby polegał na dokładném oszacowaniu dóbr opodatkowanych i ścisłéj znajomości ich dochodów. Oszacowanie to przez rząd dopełnione słusznie przyjęte zostało za normę przy udzielaniu pożyczek. Dzieło kadastru napotyka bowiem trudności ze strony właścicieli ziemskich, którym interes własny nakazuje przedstawiać skarbowi pobierającemu podatki, szacunek i dochód, o ile można najniższe, zaś Towarzystwu Kredytowemu udzielającemu pożyczki, o ile można najwyższe.

Jeżeli zas jeden i ten sam szacunek służy za normę dla skarbu i dla Towarzystwa Kredytowego, tak do pobierania podatku gruntowego, jak i do udzielania pożyczki, wówczas interes właścicieli, raz w zniżaniu, drugi raz w podwyższaniu go zostaje zneutralizowany, i jest rękojmią tak sprawiedliwego rozkładu podatków, jak i bezpieczeństwą Towarzystwa Kredytowego.

Wedle art. 13 prawa z r. 1869, summa obudwóch podatków gruntowych: głównego i dodatkowego, pomnożona przez 5, uważa się za czysty dochód dóbr, który rozmnożony przez 16, poczytuje się za normalny szacunek dóbr. Towarzystwo udziela pożyczki tylko do wysokości połowy szacunku dóbr, w powyższy sposób wykrytego (art. 6).

Szacunek w ten sposób wynaleziony, jest szacunkiem normalnym; ilekroć wszakże władze Towarzystwa uważać będą, iż szacunek ten jest wygórowany, mają prawo go obniżyć (art. 16).

Z drugiéj strony właścicielowi dóbr służy możność żądania szczegółowéj taxy na gruncie:

a) jeżeli uważa, że obniżenie szacunku normalnego jest nieodpowiednie rzeczywistéj wartości dóbr, albo

b) jeżeli uważa, że szacunek normalny jest zbyt nizkim, i pragnie pozyskać pożyczkę wyższą nad tę, jaka podług normalnego szacunku przypada (art. 17).

Ułożenie zasad taxy i sposobu ich zastosowania, prawo pozostawia dyrekcyi głównéj Towarzystwa i to tylko kładzie ograniczenie, iż pożyczka z taxy dóbr nie może przewyższyć 40% pożyczki, jakaby z szacunku normalnego wypadała (art. 18).

W wykonaniu powyższego rozporządzenia dyrekcya Towarzystwa ułożyła przepisy taxy dóbr, które w dniu 1 Czerwca 1872 r. zyskały zatwierdzenie ministra finansów.

Taxa dopełniona zostaje przez delegacyą, w skład któréj wchodzi:

a) delegat taxowy przez dyrekcyą szczegółową wyznaczony.

b) jeden z właścicieli dóbr przez delegata taxowego zaproszony.

c) osoba przez dyrekcyę szczegółową na ten cel wyznaczona.

Oprócz tego znajdować się winien przy delegacyi geometra przysięgły i patentowany.

W Prusiech, jakkolwiek taxatorowie wychodzą z wyborów i używają powszechnego szacunku, tak dalece, iż nazywani są Landesälteste (najstarszymi kraju), jednak ze względu na nader ważną czynność, jaka im jest poruczoną, znajdują się pod ścisłą kontrollą i za rzetelne i dokładne wykonanie taksy są odpowiedzialn z majątku i osoby swojéj. Przepisy naszego Towarzystwa nic o odpowiedzialności taxatorów nie wspominają.

Metoda taxy pierwszych Towarzystw pruskich polegała na obliczeniu normalnego dochodu dóbr, z którego dopiero szacunek dóbr wyprowadzony został. Była to tak nazwana taxa dochodowa (Ertrags-Taxe). Późniejsza metoda poraz pierwszy w nowém

Towarzystwie Poznańskiém zastosowana, szacunkową zwana, polega na oszacowaniu wprost w kapitale morga każdéj klassy gruntu, łąk pastwisk i t. d. (1).

Ostatnią tę metodę przyjęło nasze Towarzystwo, którego zasady taxacyi są następujące:

a) *Grunta orne* dzielą się na pszenne i żytnie. Stosownie do stopnia urodzajności, kosztów uprawy i zawartości gliny, tudzież organicznych części gruntu, pszenne podzielone są na 2 klassy, żytnie na trzy.

Ceny szacunkowe powyższych rodzajów gruntu oznacza się:

w oddziałach:	Za mórg gruntów ornych				
	pszennych		żytnich		
	I.	II.	I.	II.	III.
Warszawskim i Kaliskim	72	54	44	24	8
Kieleckim i Płockim.	64	48	33,50	21	7
Radomskim i Siedleckim	56	43	33	18	6
Suwalskim i Lubelskim.	50	37	30	16,50	5,50

Jeżeli stan uprawy jest przez racyonalne gospodarstwo znacznie polepszony, to powyższe ceny mogą być o 10% podwyższone; przeciwnie, jeżeli grunta znajdują się w złym stanie uprawy, szacunek musi być o 10% zmniejszony. Nadto na zmniejszenie wpływają służebności, pastwiska po ugorach, ścierniskach, rowach i miedzach, tudzież pomięszanie gruntów z obcemi własnościami.

b) *Łąki* szacują się według jakości i ilości zbieranego siana, które dzieli się na dobre, średnie i liche. Stosunek wartości pożywnéj tych trzech gatunków tak się układa, iż jeden centnar dobrego siana równa się 1½ centnara siana średniego, a 2-m centnarom siana lichego.

Delegacya bada na gruncie, jaki z tych trzech gatunków łąka wydaje, następnie ustanawia przeciętną ilość siana z łąki od lat 6 zbieranego, poczém redukuje ilość siana średniego i lichego na siano dobre, wedle normy wyżéj przywiedzionéj, nakoniec, zalicza łąkę do jednéj z pięciu następnych klass:

---

(1) Ludwik Górski: O metodach taxy dóbr ziemskich w Towarzystwach kredytowych pruskich. Warszawa, 1868.

I klassa wydaje 40 centnarów dobrego siana z morga.
II " " 30 " " " "
III " " 20 " " " "
IV " " 12 " " " "
V " " 8 " " " "

Ceny szacunkowe łąk oznaczają się w następujący sposób

w oddziałach:	Za mórg łąki klassy:				
	I.	II.	III.	IV.	V.
Warszawskim i Kaliskim	96	72	48	28	19
Kieleckim i Płockim.	85	$63,_{75}$	$42,_{50}$	$25,_{50}$	17
Radomskim i Siedleckim	74	$55,_{50}$	37	$22,_{50}$	15
Suwalskim i Lubelskim.	66	$49,_{50}$	33	$19,_{50}$	13

Na obniżenie tych cen od 5 do 20% wpływają służebności, pastwiska i możliwe zalewy, połączone z zamuleniem siana.

c) *Pastwiska* koło zabudowań folwarcznych położone, szacowane są po cenach normalnych gruntu przez nie zajmowanych, a jeżeli jako łąka użytkowane być mogą, szacowane są w ten sposób jak łąka. Pastwiska polne dzielą się na średnie i liche; pierwsze szacują się na połowę cen gruntów żytnich klassy II-giéj, drugie na połowę cen gruntów żytnich klassy III-ciéj.

Pastwiska nizinne natury łąkowéj, dzielą się na dobre, średnie i liche.

Pastwiska dobre są te, które w obecnym swym stanie bez kosztów zamieniane być mogą na łąkę klassy IV, tudzież te, które w skutek wykarczowania, lub osuszenia bez znacznych kosztów, zamienione być mogą na łąkę klassy III.

Pastwiska średnie są te, które zamienione na łąkę wydałyby zbiory siana, jak z łąki klassy V, tudzież te, których zamiana na łąkę wymaga znacznych kosztów wykarczowania i osuszania.

Nakoniec, jako pastwistka liche oznaczają się te, które na łąkę klassy V, zamienione być nie mogą.

Ceny szacunkowe pastwisk są następujące:

w oddziałach:	Za mórg pastwiska		
	dobrego	średniego	lichego
Warszawskim i Kaliskim	19	12	4
Kieleckim i Płockim	17	$10,_{50}$	$3,_{50}$
Radomskim i Siedleckim.	15	9	3
Suwalskim i Lubelskim	13	$8,_{25}$	$2,_{75}$

Na zniżenie cen powyższych wpływają służebności.

d) *Wody* stały dochód przynoszące szacują się stosownie do udowodnionego z lat kilkunastu czystego dochodu od 2 do 10 rubli za morg.

c) *Lasy* szacują się w ogóle według klassy gruntu, na którym rosną, bez względu na drzewostan.

Grunt pod lasem będący dzieli się: a) na dobry do uprawy, b) na łąkowy.

Grunt do I i II klassy pszennéj zaliczyć się mogący, szacuje się na połowę cen ustanowionych dla gruntów żytnich klassy I.

Grunt do klassy I żytniéj liczyć się mogący, na połowę cen ustanowionych dla gruntów żytnich klassy II.

Wszelkie inne grunta pod lasem do uprawy zdolne, szacują się na połowę cen ustanowionych dla gruntów żytnich klassy III.

Grunt łąkowy pod lasem szacuje się na połowę cen dla łąk klassy V ustanowionych.

Zarośla szacują się po połowie cen dla gruntów ornych żytnich klassy III ustanowionych.

Grunta po wyciętym lesie niewykarczowane, nieuprawiane i nieobsiane, szacują się, bez względu na naturę gruntu, po połowie cen dla gruntów ornych klassy III żytniéj ustanowionych.

W dobrach posiadających lasu $^1/_4$ część ogólnéj przestrzeni gruntów ornych, ogrodów, łąk i pastwisk, jeżeli las wolny jest od uciążliwych służebności i racyonalnie urządzony, właściciel może żądać oszacowania lasu ze względu na drzewostan.

Szacunek takiego lasu oznacza się w sposób następujący: oblicza się ile rocznie cięcia wydają sążni kubicznych drzewa, na opał wyciętego, bez względu na to, iż drzewo na inny cel użyte być może. Od ilości téj drzewa odlicza się: ilość drzewa potrzebnego na opał miejscowy dworski i folwarczny, tudzież na reparacyą budynków tak dworskich i folwarcznych, jak włościańskich wedle tabel likwidacyjnych,—pozostała ilość wyobraża drzewo od potrzeb miejscowych zbywające.

Ta ilość sążni oszacowana wedle cen od lat sześciu praktykowanych stanowi roczny dochód brutto z lasu, z którego potrącić należy koszta rąbania i administracyi, tudzież podatek gruntowy z lasu opłacany.

Trzy czwarte wynalezionego w ten sposób czystego dochodu Towarzystwo przyjmuje za podstawę oszacowania, które skapitalizowane mnożnikiem 20 wyobraża szacunek lasu ze względu na drzewostan.

Przy oszacowaniu drzewostanu szacunek gruntu pod lasem wyłącza się.

f. Budowle szacują się wedle taxy w ubezpieczeniu od ognia przyjętéj. Wyłączają się z taxy: 1) wszelkie budynki fabryczne, jak gorzelnie, browary, cukrownie, z wyłączeniem jedynie młynów wodnych; 2) budynki do dochodu propinacyjnego służące, jak karczmy, zajazdy; 3) ogrodnicze zakłady; 4) kosztowne pałace, które tylko jako domy mieszkalne są cenione.

Ogólna taxa budowli nie może przenosić 25% ogólnego szacunku gruntów ornych, ogrodów, łąk i pastwisk.

W dobrach lub folwarkach tak niedostatecznie zabudowanych, że budynki nie są w stanie zaspokoić głównych potrzeb gospodarstwa, wartość budowli zupełnie pomija się.

Brak zabudowań w pojedynczych folwarkach wpływa na obniżenie ogólnego szacunku gruntów, łąk i pastwisk, o 25%; zupełny brak zabudowań w dobrach skutkuje wyłączenie dóbr z przepisów taxy.

g. Czynsze z gruntów wieczyście wydzierżawionych, tudzież czynsze wieczyste z młynów, tartaków i innych zakładów mnożą się przez 20 i kapitał ztąd powstały dolicza się do summy szacunkowéj dominialnych przestrzeni.

Na zasadzie powyższych danych przez delegacyą zebranych dyrekcya szczegółowa ustanawia szacunek dobr.

Pożyczki mogą być udzielane do wysokości połowy szacunku dóbr, w powyższy sposób wynalezionego (art. 6 pr. z r. 1869).

Taka sama zasada udzielenia pożyczki do wysokości połowy szacunku przez taxę wynalezionego przyjętą została przez Nowe Towarzystwo Poznańskie prawem z dnia 5 Listopada 1866 (art. 6).

W taxie naszego Towarzystwa Kredytowego pominięty jest zupełnie inwentarz tak żywy, jak i martwy (§ 59 przepisów o taksie). Inwentarz, będąc przez prawo uznany za nieruchomość tak zwaną z przeznaczenia, nie może służyć za przedmiot zastawu ruchomego; przedmiot zastawu nieruchomego czyli hypotecznego również służyć nie może, gdyż jakkolwiek prawo każe inwentarzowi być nieruchomością, to z natury swéj jest on jednak ruchomością, i jako taka z miejsca usunięty być może. To też jest powodem, iż Towarzystwo Kredytowe wartości inwentarza w taksie nie uwzględnia. W ten sposób inwentarz zwłaszcza żywy, reprezentujący, nader znaczną wartość nie przedstawia u nas żadnego bezpieczeństwa i kredytu na nim z wielką szkodą dla rolnictwa oprzeć nie można.

Poznańskie Towarzystwo bierze w rachubę inwentarz żywy i taxuje go w sposób następujący:

koń	40	talarów.
wół	25	„
krowa	20	„
owca.	2	„

IV.
Listy zastawne.

Towarzystwo Kredytowe nie posiadając własnego funduszu zakładowego musi takowy zapożyczyć u innych. Na dług w tym celu zaciągnięty Towarzystwo wystawia obligacye, które zabezpieczone są na pierwszym numerze hypotek zastawionych dóbr tudzież na ogólnéj odpowiedzialności wszystkich stowarzyszonych dóbr.

Dłużnik zaciąga względem Towarzystwa zobowiązanie płacenia rat i procentów. Towarzystwo zobowiązanie to u siebie zatrzymuje, a w zamian za to wystawia własne swoje zobowiązanie wyrównywające wysokości zaciągniętego u siebie długu.

List zastawny przez Towarzystwo wystawiony oparty jest na tém samém bezpieczeństwie, co dług na jego korzyść zaciągnięty; nie ma wszakże hypoteki specyalnéj na tych lub owych dobrach, lecz pewność jego stanowi ogół zastawionych dóbr. Poręczenie ogólne zastępuje tu poręczenie indywidualne. List zastawny przez Towarzystwo wystawiony, jest kopią zobowiązania przez dłużnika zaciągniętego, lecz kopią udogodnioną, bo łatwą do obiegu, rozdrobioną na części i nadto wzmocnioną poręczeniem ogółu zastawionych dóbr.

Ludwik Wołowski trafnie określa naturę listów zastawnych w ten sposób, iż Towarzystwo właściwie żadnéj pożyczki właścicielowi dóbr nie udziela, lecz daje mu jedynie poświadczenie na prawo żądania kredytu przez Towarzystwo ocenionego i na dobrach zabezpieczonego. Na mocy tego poświadczenia właściciel dóbr otrzymuje od kapitalisty pożyczkę do wysokości poświadczeniem Towarzystwa określonéj.

Summa emittowanych przez Towarzystwo Kredytowe listów zastawnych nie może przekroczyć summy udzielonych stowarzyszonym pożyczek. Gdyby było inaczéj, pewna część listów nie miałaby bezpieczeństwa rzeczowego, lecz opierałaby się jedynie na

bezpieczeństwie osobistém Towarzystwa; listy zastawne byłyby wówczas zbliżone do biletów bankowych, które mogą być wydawane w większéj ilości, aniżeli wynosi kapitał bankowy. Przy organizacyi naszego Towarzystwa, wydawanie lisłów zastawnych w summie większéj od summy udzielonych pożyczek, jest po prostu niemożliwe. W instytucyach udzielających pożyczki w gotowiznie, a realizujących bezpośrednio swoje listy, emissya większéj ilości listów jest możebna, a nawet dozwolona; u nas zaś, gdzie listy wydawane są samym dłużnikom, rozumie się samo przez się, iż Towarzystwo nie wyda swemu dłużnikowi większéj ilości listów, aniżeli wynosi dług przez niego zaciągnięty.

Obok gwarancyi, jaką z jednéj strony sam sposób emittowania listów, a z drugiéj, sama instytucya, iż nie będzie wypuszczonych więcéj listów, aniżeli wynosi summa zaciągniętych przez dłużników zobowiązań, listy naszego Towarzystwa mają jeszcze jednę gwarancyą, która wszelkie pod tym względem obawy zaspokoić musi, jeżeli w ogóle obawa jaka istnieć może. Listy wypłacane są w wydziale hypotecznym, który sprawdza, czy ilość listów zastawnych wyrównywa summie wpisu hypotecznego, i na znak zgodności listów z bezpieczeństwem hypotecznym, każdy list podpisem swoim stwierdza. Tak więc każdy list wydawany zostaje pod powagą sądu i oprócz podpisu władz Towarzystwa, nosi na sobie jeszcze i pieczęć sądu.

Pierwsze Towarzystwa Kredytowe wypisywały na listach dobra zastawione; to wszakże nie miało żadnego praktycznego celu, gdyż wobec zasady, iż właścicielowi listu zastawnego nie służy specyalna hypoteka na danych dobrach, ale ogólne poręczenie Towarzystwa, że nie może on w razie niezapłacenia kapitału lub procentu udać się do dóbr, ale do towarzystwa; dla tego też w późniejszych czasach pominięto wymienianie dóbr na listach, i na naszych też listach zastawnych, dobra nie są wcale wyszczególnione.

Listy zastawne naszego Towarzystwa Kredytowego wydawane są na okazicielu i przechodzą z rąk do rąk bez żadnéj formalności. Prawo pozwala wszakże ustępować listy za pośrednictwem indossu (art. 22), ten wszakże sposób cyrkulacyi listów w praktyce zastowania nie znalazł.

Już to dla dogodnego spłacenia wierzytelności hypotecznych, które bywają różnéj wielkości, już też dla ułatwienia biegu listów zastawnych, które żądane są w różnéj wysokości, Towarzystwo wypuściło pierwiastkowo listy:

Litera	A	na	rsr.	3000
„	B	„	„	750
„	C	„	„	150
„	D	„	„	75
„	E	„	„	30

Doświadczenie wieloletnie przekonało, iż listy zastawne mniejszéj wartości nie dochodzące summy rsr. 150, nie są chętnie przyjmowane, i wystawiane bywają tylko dla spłaty końcowych summ wierzytelności, koszt zaś ich wygotowania jest znaczniejszy, aniżeli przy większych sztukach; dlatego też przy emissyi listów z roku 1869 wypuszczono listy:

Litera	A	na	rsr.	3000
„	B	„	„	1000
„	C	„	„	500
„	D	„	„	200
„	E	„	„	100

(art. 26 pr. z r. 1859).

Oprócz tego listy pierwotnych emissyi dzieliły się na: białe i żółte.

Pierwsze udzielane były prywatnym właścicielom dóbr ziemskich, drugie zaś przeznaczone były dla instytutów krajowych świeckich i duchownych (art. 111 pr. z r. 1825). Pomiędzy listami temi zachodziła ta ważna różnica, że do losowania przeznaczone były przedewszystkiém listy białe; listy zaś żółte, wtenczas dopiero mogły być do losowania dopuszczone, gdy właściciele listów białych do losowania nie zgłaszali się (art. 116 pr. z r. 1825 i art. 33 pr. z r. 1838).

Od listów zastawnych Towarzystwo płaci regularnie w dwóch półrocznych ratach procent 4 %, a od listów zastawnych z roku 1869 cztery lub pięć od sta, stosownie do żądania zaciągającego pożyczkę.

Za listy zastawne 4% z r. 1869, Towarzystwo po ich wylosowaniu płaci oprócz nominalnéj ich wartości premium, które nie może być wyższe nad 25 na każde 100 (art. 36). Listy te przeznaczone są dla tych, którzy przekładają szanse wygranéj nad lokacyą kapitału na stały procent, nie mają one jednak licznych zwolenników, gdyż zażądano ich zaledwie w summie kilkudziesięciu tysięcy rubli (58,900), i na giełdzie wcale nie są notowane.

Do listów zastawnych dołączone są talony kuponowe, które reprezentują summę procentową płatną w półrocznych ratach. Do listów poprzednich emissyi dołączone były kupony na lat 7, czyli 14 półroczy; listy zastawne z r. 1869 opatrzone są kuponami na lat

10 (art. 27). Po upływie czasu, na który kupony były wydane, okaziciel ma prawo żądania nowego talonu z kuponami na następnych 20 półroczy.

Po wylosowaniu, listy przestają procentować, i dlatego przy realizowaniu wylosowanego listu, należy złożyć wszystkie kupony od daty wylosowania; o ile ich brak, o tyle Towarzystwo potrąca z kapitału (art: 131 pr. z r. 1825).

Wylosowane listy zastawne, tudzież ubiegłe kupony, z któremi nie zgłoszono się do wypłaty, utracają swoję wartość: pierwsze po latach 30, drugie po latach 10 od terminu ich wymagalności (art. 31 pr. z r. 1859). Właściciele listów zastawnych znajdują się pod tym względem w korzystniejszém położeniu od innych wierzycieli. Wedle art. 2277 K. N. procenta przedawniają się po upływie lat 5, kupony zaś od listów zastawnych przedawniają się dopiero po 10 latach.

Listy zastawne poprzednich emissyi mogły być w razie zagubienia u Towarzystwa reklamowane. Prawa z r. 1825 i 1860, przepisują formy postępowania w takim wypadku; z powodu wszakże trudności, jakie napotykał obieg listów przez konieczność sprawdzania massy kwestyonowanych listów, prawem z r. 1859 postanowiono, iż okaziciel listu zastawnego lub kuponu, uważany jest za prawego jego właściciela, i władze Towarzystwa nie przyjmują żadnych skarg z powodu utraty listów lub kuponów (art. 28 i 29).

Wedle art. 20 prawa z r. 1818, wszelkie wypłaty przypadające właścicielom listów zastawnych i kuponów, uskuteczniane być winny w grubéj srebrnéj monecie kurs w kraju mającéj, licząc na stopę wartości rzeczywistéj srebra 86⁸⁶/₁₂₅ złp. z czystéj grzywny kolońskiéj. W takiéj saméj też monecie członkowie Towarzystwa obowiązani byli wnosić przypadające od nich raty (art. 7).

Z powodu zniknięcia z kraju monety brzęczącéj, przepisy te stały się od roku 1854 niewykonalnemi. Towarzystwo przestrzegając ściśle ustawy, wzbraniało się przyjmować od stowarzyszonych raty monetą papierową; dopiero na skutek wydanego przez wyższą władzę w dniu 17 (29) Stycznia 1855 r. polecenia przyjmowania biletów cesarstwa na równi z monetą brzęczącą, Towarzystwo upoważniło swe kassy do przyjmowania biletów tych na zaspokojenie przypadających mu rat, i w zamian Towarzystwo tąż samą monetą płaci za wylosowane listy i ubiegłe kupony.

Prawo z roku 1869 postanowiło, iż wszystkie wypłaty uskuteczniają się przez Towarzystwo gotowizną taką, jaka jest przyjmowaną przez kassy rządowe na zaspokojenie podatków skarbowych (art. 38).

Jakkolwiek listy zastawne emittowane są i realizowane przez Towarzystwo po nominalnéj ich wartości, jednak w obiegu kurs ich ulega już to podwyższeniu, już też zniżeniu, podlegając pod tym względem prawu podaży i poszukiwania. Przyglądając się zmianom kursu, jakich listy nasze przez ciąg kilkudziesięciu lat doznały, dochodzi się do wniosku, iż w chwilach korzystnych dla rozwoju handlu i przemysłu, kapitały stronią od listów zastawnych, szukając lokacyi w przedsiębierstwach handlowych i przemysłowych, dających widoki większych korzyści, jakkolwiek z ryzykiem połączonych; natomiast w chwilach przesileń handlowych, lub przy chmurnym horyzoncie politycznym, kapitały szukają lokacyi w listach zastawnych, dających wprawdzie umiarkowany procent, ale za to ubezpieczonych na najpewniejszym jaki być może zastawie, bo na ziemi.

Obok powyższych okoliczności na kurs listów miały wpływ wypadki krajowe i zaprzestanie realizowania ich przez Towarzystwo srebrną monetą.

Przez czas półwiekowego swego istnienia, Towarzystwo Kredytowe udzieliło następującą summę pożyczek w listach zastawnych:

1) w okresie I od roku 1826 do 1837			rsr.	38,666,250
2) „ „ II „ „ 1838 „ 1844				
a) dodatkowych	rsr.	3,441,315		
b) nowych	„	9,244,230		
c) odnowionych	„	11,548,860	„	24,234,405
3) w okresie III, seryi I, od r. 1845 do 1860				
a) dodatkowych	rsr.	1,960,830		
b) nowych	„	7,016,295		
c) odnowionych	„	19,367,565	„	28,344,690
4) w okresie III, seryi II, od r. 1861 do 1866 dodatkowych i nowych			„	22,846,320
5) w seryi I z r. 1869 od r. 1869 do 20 Września 1874				
w listach zastawnych 5%				
a) z konwersyi	rsr.	23,607,600		
b) dodatkowych	„	31,143,000		
c) nowych	„	4,673,200	„	59,423,800
w listach zastawnych 4%				
a) z konwersyi	rsr.	35,550		
b) dodatkowych i nowych . .	„	17,050	„	52, 6 0
			rsr.	173,568,065

Cyfra ta reprezentuje summę kredytu, jaka w ciągu 50 lat udzielona została rolnictwu krajowemu za pośrednictwem Towarzystwa Kredytowego.

Dobrodziejstwa, jakie te blizko dwieście milionów rubli taniego i dogodnego kredytu sprowadziły na ekonomiczny i socyalny byt tak kraju całego, jak pojedynczych rodzin, cyframi obliczyć się nie dają.

V.

Wypłata listów zastawnych.

Zadaniem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego jest z jednéj strony uwolnienie właścicieli dóbr od długów hypotecznych, wymagalnych w krótkim terminie, od których opłacać trzeba wysokie procenta i zastąpienie takowych długiem długoterminowym, amortyzującym się przez długi szereg lat, od którego płaci się umiarkowany procent; a z drugiéj strony uruchomienie kapitałów wierzycieli, uwięzionych w ziemi, dla odzyskania których trzeba prowadzić kosztowną i długotrwałą subhastacyą, przez oddanie im do rąk w miejsce obligów pojedynczych właścicieli dóbr, listów zastawnych, którym powaga Towarzystwa i ogólna odpowiedzialność stowarzyszonych dóbr daje rękojmią pewności odbioru kapitału i regularnego otrzymywania procentów, a które obok tego mają jeszcze tę zaletę, iż jako papier obiegowy, mogą w każdéj chwili na gotowiznę być zamienione.

Wedle art. 11 i 12 prawa z r. 1825 listy zastawne służą do wypłaty wszelkich długów hypotecznych, zabezpieczonych w Dziale IV wykazów hypotecznych. Towarzystwo spłaca wierzycieli porządkiem hypotecznym i zajmuje ich miejsce. Towarzystwo musi bezwarunkowo zajmować pierwsze miejsce w Dziale IV wykazu hypotecznego (art. 201). Właściciel dóbr wtedy tylko dostaje listy do rąk własnych w całości lub części, jeżeli dobra jego nie są obciążone długami hypotecznemi, lub jeżeli wierzyciele hypoteczni ustępują pierwszeństwa dla pożyczki Towarzystwa, albo też jeżeli pożyczka Towarzystwa przenosi summę długów na dobrach jego zabezpieczonych.

W razie niezgłaszania się wierzycieli hypotecznych w terminie wypłaty, po poprzedniém o tym terminie zawiadomieniu, albo też w wypadku sporu co do wierzytelności, listy zastawne deponowane zostają w Banku Polskim, dopóki przeszkoda tamująca

wypłatę prawomocnie usunięta nie zostanie; niezależnie zaś od tych przeszkód dług ulega wykreśleniu z księgi hypotecznéj, a miejsce jego zajmuje wierzytelność Towarzystwa (art. 67 i 68 prawa z roku 1825).

Każdy z wierzycieli hypotecznych, mających prawo domagania się wypłaty kapitału, może pociągnąć dobra do Towarzystwa, za każdym razem, kiedy sam właściciel do Towarzystwa przystąpić nie chce (art. 15 i 73).

Najbardziéj sporną kwestyą przy dyskussyach nad projektem Towarzystwa Kredytowego była ta, czy wierzycieli hypotecznych spłacić listami zastawnemi po nominalnéj wartości, czy też po kursie dziennym?

Pierwotny projekt księcia Lubeckiego obejmował przymus dla wierzycieli hypotecznych w przyjmowaniu listów zastawnych po nominalnéj wartości. Rada Stanu usunęła z projektu przymus. W skutek tego trzeba było sporządzić nowy projekt, lecz gdy większość Rad wojewódzkich, którym oba projekta do opinii przesłane zostały, oświadczyła się za pierwotnym projektem księcia Lubeckiego, przymus został postanowiony. Autorowie prawa przyznawali, iż przepis o przyjmowaniu przez wierzycieli hypotecznych listów po nominalnéj wartości nie jest zgodny z zasadami prawa i słuszności. Ale konieczność tego przymusu tłómaczyli wyjątkowém położeniem kraju, zadaniem Towarzystwa, które założone zostało w celu oczyszczenia dóbr od długów hypotecznych, który to cel bez przymusu z trudnością dałby się osiągnąć, z powodu braku środków do dopłaty różnicy kursu; wreszcie interesem samych wierzycieli, dla których korzystniéj było w owym czasie otrzymać list zastawny, aniżeli pozostać przy dotychczasowym obligu, trudnym do zrealizowania, albo wcale zrealizować się nie dającym.

Na skutek tego zapatrywania się, uchwalony został art. 14, wedle którego wierzyciele, mający wierzytelności przed ogłoszeniem prawa z r. 1828 zahypotekowane, i oparte na jakiejkolwiek nieruchomości w obrębie Królestwa Polskiego, obowiązani są do przyjęcia za swoje wierzytelności listów zastawnych po nominalnéj cenie. Nietylko więc wierzyciele dóbr, które przystąpiły lub pociągnięte zostały do Towarzystwa, ale w ogóle wszelkich nieruchomości musieli przyjmować listy zastawne po nominalnéj wartości.

Przy udzieleniu nowéj pożyczki z r. 1838, względy, dla których w roku 1825 włożono na wierzycieli hypotecznych obowiązek przyjmowania listów zastawnych al pari, ustały, i dlatego prawo

z roku 1838 w art. 9 i 10 postanowiło, że listy służyć będą do wypłaty długów hypotecznych w imiennéj wartości:

1) jeżeli zaciągnięte zostały przed rokiem 1825; jeżeli zaś pochodzą z epoki późniejszéj, to:

2) jeżeli wierzyciel na to się zgodzi.

3) jeżeli pożyczka udziela się skutkiem pociągnięcia dóbr do Towarzystwa przez wierzyciela i przypada właśnie na spłacenie jego wierzytelności.

We wszystkich innych wypadkach należy dopłacać różnicę kursu.

(*Dokończenie nastąpi*).

Kwestya rozwoju społecznego gospodarstwa kolejowego

przez

WŁADYSŁAWA KUSZLA.

(Dokończenie).

W Ameryce koleje żelazne noszą na sobie piętno potrzeb, które je wywołały. Ponieważ budowane były z celem, aby jak największe właścicielom przynosiły zyski, musiały więc przedewszystkiém jak najtaniéj kosztować. To też wszędzie, gdzie tylko było możebném, starano się żelazo i kamień zastąpić drzewem przedstawiającém tam niewielką wartość, a jednak czyniącém zadość koniecznéj potrzebie. Łuki o bardzo małym promieniu, raptowne spadki strachem przejmujące Europejczyka, są tam rzeczą zwykłą, niezwracającą nawet niczyjéj uwagi. A jednak te prawie prowizorycznie budowane koleje oddały niezmierną przysługę, zdobywając dla cywilizacyi olbrzymie przestrzenie kraju tak hojnie od natury we wszelkie płody uposażonego, a dla braku kommunikacyi od wieków leżącego odłogiem.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie ze strony rządu żadnych utrudnień przedsiębierczy duch mieszkańców obawiać się nie potrzebował, rzucono się do budowania dróg żelaznych z większą jeszcze energią, aniżeli to miało miejsce w którémkolwiek państwie europejskiém.

Tam rząd każdego pojedynczego Stanu jest w prawie dawania u siebie koncessyi na nowe drogi, a wolność zawiązywania się towarzystw kolejowych ogranicza tylko warunek, aby ilość kapitału podpisanego przez akcyonaryuszów dochodziła 1000 dolarów na milę, z któréj to summy 10-ty procent t. j. 100 dolarów powinien być natychmiast złożony w kassie kompanii; przepisów rządowych tyczących się budowy, eksploatacyi i t. d. nie ma zupełnie.

Nic dziwnego, iż tak sprzyjające okoliczności zewnętrzne w połączeniu z przedsiębierczością i energią Amerykanów wpłynęły na ów niesłychany rozwój gospodarstwa kolejowego. Kiedy długość sieci kolei amerykańskich w roku 1837 wynosiła dopiero 1843 mil angielskich, już w r. 1871 doszła do poważnéj cyfry 62,647 mil ang. Pierwsze koleje pobudowano w ludnych i bogatych Stanach wschodnich, środkowe nieco późniéj poszły za ich przykładem, a w ostatnim dopiero lat dziesiątku, bogate, lecz dla braku kommunikacyi niedostępne prowincye zachodnie, przez pobudowanie dróg żelaznych połączone zostały z wysoko pod względem cywilizacyi stojącym wschodem.

Austrya pod względem państwowym przedstawia konglomerat złożony z różnorodnych elementów najczęściéj sobie nieprzyjaznych, staczających zacięte przy każdéj sposobności walki na polu ekonomiczném, dziennikarskiém i parlamentarném. W walkach tych biorąca górę partya wpływem swym na najwyższe sfery rządzące, burzy dotychczasowy panujący system ustroju państwowego, wprowadzając inny, bardziéj własnemu interesowi odpowiadający, a którego trwałość również jest tylko efemeryczna. Ten brak stałéj idei zasadniczéj w kierowaniu machiną społeczną musiał demoralizująco oddziałać i na rozwój gospodarstwa kolejowego; nigdzie też, śmiało rzec można, nie popełniono na tém polu tylu rażących, niepodobnych do naprawienia błędów co tutaj. Błędy te tém dotkliwiéj czuć się dają w Austryi, gdzie rola, jaką koleje grać powinny, jest daleko ważniejsza aniżeli np. we Francyi, Anglii lub Belgii. Tam budują nowe drogi z celem, aby takowe służyły interesom przemysłu już rozwiniętego, tu zaś przerzynając nieraz okolice bardzo nizko w kulturze stojące, oprócz tego zadania mają jeszcze inne, cywilizacyjne: wywoływania przemysłu i życia.

Główne linie kolei austryackich pobudowane zostały przez państwo według planu ułożonego w r. 1841, który jednak nie odpowiadał w zupełności warunkom ekonomicznym kraju. Późniéj zupełnie go się trzymać przestano, i dalsze rozgałęzienie sieci dokonywało się zależnie od chwiejnéj polityki rządu, coraz potężniejszego wpływu giełdy i innych względów bardzo nieraz sprzecznych z wymaganiami społecznego gospodarstwa kolejowego. Lekkomyślne udzielanie koncessyi niekiedy np. jako honoraryum za popieranie widoków rządu w parlamencie, wywołało potworzenie się tak zwanych wspólek założycielskich (Gründungs-Consortia), które wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami wyludzały koncessye na nowe drogi. Czy takowe były potrzebne, czy nawet

mogły przynieść późniéj odpowiednie zyski, było rzeczą dla koncessyonaryuszów zupełnie obojętną: liczono bowiem jedynie na korzyści dające się wyciągnąć przy ich budowie, a raczéj przy frymarczeniu budową. Towarzystwo otrzymujące koncessyą rzadko kiedy samo bezpośrednio zajmowało się robotami, lecz ustępowało je innemu towarzystwu lub nawet jakiéj instytucyi finansowéj; ta znów wziąwszy pewne odstępne, oddawała tak zwanemu generalnemu entreprenowi, który podzieliwszy na części ustępował takowe drobnym przedsiębiercom, a ci dopiero dawali w akord właściwym wykonawcom robót. Po owém kilkakrotném przechodzeniu z rąk do rąk, łatwo zrozumieć, jaki był stosunek kapitału przeznaczonego do rzeczywiście użytego na budowę; ostatni bowiem przedsiębierca chcąc i sam zarobić i pokryć zarobki wszystkich tych, przez których ręce owa mająca się wykonać robota przechodziła, musiał dawać najtańsze materyały i na każdym punkcie ile się dało oszczędzać. Rezultatem owéj oszczędności było liche wykonanie robót, uchodzące zwykle bezkarnie z powodu niedostatecznego nadzoru rządowego.

Od roku 1850 rząd skupuje koleje od Towarzystw prywatnych źle w interesach stojących, buduje sam wiele nowych linii; w roku jednakże 1855 wydzierżawia ich eksploatacyą na lat 90 Towarzystwu „Staatsbahngesellschaft.“ Monopol tedy kolejowy przeszedł z rąk rządu w ręce prywatne, wydzierżawienie bowiem na tak długi przeciąg czasu niczém się prawie nie różniło od właściwéj sprzedaży. Obecnie rząd austryacki znowu dąży do uchwycenia wypuszczonego z rąk monopolu: skupuje koleje prywatne, a przy koncessyonowaniu nowych, kładzie za warunek przejście takowych bezpłatne po latach 90 na własność państwa.

Lekkomyślne rozdawanie koncessyi, przewidywane zyski przy budowie dróg i przy grze giełdowéj akcyami tychże,—wszystko to przyczyniło się iż Austrya w krótkim stosunkowo czasie pokryła się gęstą siecią kolei nadzwyczaj kosztownych, nieodpowiadających potrzebom miejscowym, a więc i niemogących przynosić odpowiednich dochodów. Kosztowność owych dróg wynikała także ze sposobu ich budowania. Wszystkie, czy to łączące najważniejsze ogniska ruchu i stanowiące niejako główne arterye kommunikacyi, czy też boczne, przerzynające okolice puste, słowem z góry nieobiecujące w przyszłości większego ruchu przewozowego, były budowane na jeden manier podług jednakowych szablonów. Jeżeli więc komfort i urządzenia na wielką skalę były odpowiedniemi dla dróg pierwszéj kategoryi; to znowu dla kolei drugiego rodzaju taniość budowy była głównym warunkiem, przy którym czyniąc

zadość potrzebom miejscowym mogły się także odpowiednio ratować. Że zaś większość tych dróg owemu warunkowi nie odpowiadała, jedynym więc środkiem podtrzymującym ich egzystencyą była pomoc rządowa w postaci różnego rodzaju gwarancyi jak np.

Zapewnienie procentu od kapitału akcyjnego.

Zagwarantowanie pewnego stałego dochodu netto.

Zapewnienie stałego rocznego dochodu netto z każdéj mili długości.

Zapewnienie stałego rocznego dochodu brutto z każdéj mili długości.

Zagwarantowanie czystego dochodu na pewną liczbę lat.

Uwolnienie od podatków na pewną liczbę lat i t. d.

Te różnego rodzaju gwarancye często w Austryi w skutkach okazywały się bardzo szkodliwemi. Zdarzało się, iż rząd z niełatwo dających się wytłómaczyć względów, dawał koncessyą na pewną gwarantowaną linię Towarzystwu już posiadającemu inną drogę w tym samym kierunku. Towarzystwo całą staranność zwracało na linię niegwarantowaną, gwarantowaną zaś zaniedbywało licząc na zapewniony przez rząd procent. Oprócz tego rodzaju wypadków, trafiających się zresztą, jakeśmy widzieli, i gdzieindziéj—w Austryi, gwarancye owe były przyczyną wielu strat z innych jeszcze powodów. Początkowo akcye kolei gwarantowanych rozchwytywane były przez publiczność, zdurzoną zachęcającemi odezwami przedajnéj prassy, a nie wchodzącą w to, jakiego rodzaju była gwarancya. Jeżeli okazało się późniéj, że takowa nie dawała dostatecznéj rękojmi, t. j. gdy nietylko spodziewane zyski zawiodły, ale nawet bezpieczeństwo włożonego kapitału okazało się wątpliwém; publiczność nie mająca w tym względzie wyrobionego krytycznego sądu, wpadała w drugą ostateczność, t. j. traciła zaufanie do wszystkich w ogóle papierów kolejowych i coprędzéj starała ich się pozbywać. Do owych tedy częstych przesileń giełdowych w Austryi, ta okoliczność nieraz wiele się przyczyniała.

Powodem, iż wszystkie linie tak główne jako też i boczne, budowano na jednę skalę i jeden manier było to, iż z przyczyny gorączkowego rzucenia się do budowy wielu dróg naraz, intelligencya techniczna krajowa wystarczyć nie mogla; musiano więc sprowadzać inżynierów z Francyi, Szwajcaryi, Belgii i Niemiec i powierzyć im kierownictwo. Ci stosowali wszędzie przywiezione z sobą wzory zagraniczne. Czy takowe odpowiadały potrzebom miejscowym, czy wreszcie wykonanie ich łączyło się z ogromnemi kosztami, było dla nich rzeczą zupełnie obojętną; chodziło im bo-

wiem przedewszystkiém o to, aby strona techniczna nie pozostawiała nic do życzenia. Jedną tedy ze stron ujemnych, dotkliwie czuć się dających, jest brak racyonalnie rozmieszczonych dróg bocznych, któreby łącząc z głównemi arteryami prowincye nadzwyczaj urodzajne, lecz ze słabo rozwiniętym przemysłem, a przytém nieco oddalone od stolicy i ważniejszych punktów zbytu, zaopatrywały takowe w wyroby przemysłu fabrycznego, a zarazem uskuteczniały tani przewóz produktów naturalnych.

Władzą rozstrzygającą w sprawach kolei żelaznych jest ministerstwo handlu, bezpośredni zaś dozór należy do tak zwanéj „Generalnéj inspekcyi kolei żelaznych“ znajdującéj się w Wiedniu. Do roku 1875 władza ta podzielona była na dwa oddziały: a) budowy i b) ruchu. Teraz utworzono ich 5, mianowicie: a) budowy i utrzymania dróg żelaznych; b) lokomocyi; c) ruchu towarowego; d) kontrolli rządowych gwarancyi; e) ogólnéj kontrolli. Każdym takim wydziałem kieruje generalny inspektor, przewodniczącym zaś jest jeden z generalnych inspektorów, najwyższy rangą.

Podrzędne stanowisko generalnéj inspekcyi, nie jako części składowéj ministeryum handlu, lecz jako władzy od takowego zależnéj, jest jedną z przyczyn owych błędów, popełnianych co krok na polu austryackiego gospodarstwa kolejowego; w kwestyach bowiem tyczących się kolei żelaznych stanowczo rozstrzygają ludzie nieraz wysoko uzdolnieni pod względem administracyjnym, handlowym i prawnym, zupełni jednak ignoranci w rzeczach wymagających wiadomości technicznych.

Inną stroną ujemną organizacyi nadzoru nad kolejami austryackiemi jest zbytnie centralizowanie takowego w Wiedniu, wówczas gdy prowincya zupełnie prawie pozbawiona jest odpowiednich organów kontrolli rządowéj, obeznanych z właściwościami pojedynczych prowincyi, mogących zatém skuteczniéj działać w kwestyach wymagających szybkiéj i stanowczéj decyzyi, aniżeli ad hoc z Wiednia wysyłane komissye.

Wypada się jeszcze zastanowić nad ostatnim zwrotem w gospodarstwie kolejowém austryackiém t. j. nad dążeniem rządu do zakupienia kolei żelaznych na rzecz państwa. Kwestya ta nigdzie może nie jest bardziéj palącą niż tutaj, gdyż większa część kolei austryackich znajduje się w rękach kompanii zagranicznych, niezwiązanych niczém z interesami kraju, ani też nie poczuwających się do jakichkolwiek względem niego obowiązków. Przy tych warunkach nietylko więc koleje żelazne, których jedyném przeznaczeniem powinno być oddziaływanie na ogólny dobrobyt kraju,

zadaniu swemu odpowiadać nie mogą, lecz jeszcze stając się kanałem, uprowadzającym bezpowrotnie olbrzymie kapitały za granicę, przyczyniają się do ciągłego osłabiania i tak już zachwianego kredytu państwa, Nabywanie tu jednak kolei przez rząd, przy zakorzenionym od wieków systemie biurokratycznym, we wszystkich gałęziach administracyi rządowéj, wreszcie dla braku odpowiednio uzdolnionéj służby kolejowéj, nadzwyczaj przezornie i tylko powoli może z korzyścią dla kraju być przeprowadzane.

Niemcy, w epoce zaprowadzania kolei żelaznych, politycznie rozdzielone na 30 przeszło niezależnych państw i państewek, różnych między sobą formami rządu i interesami, pod względem ekonomicznym bez porównania niżéj stały od swoich sąsiadów zachodniéj Francyi i Anglii. Kraj po większéj części w płody naturalne ubogi, był w stanie kultury wiele jeszcze pozostawiającym do życzenia. Dobre drogi bite łączyły tylko główne znacznemi przestrzeniami rozdzielone ogniska, inne środki kommunikacyjne były niedostateczne. Handel jednakowoż w niektórych stronach bardzo był rozwinięty; szczególniéj z portów nad morzem Niemieckiém znaczna corocznie wypływała liczba okrętów handlowych, ułatwiając zamianę produktów z najodleglejszemi stronami świata. Ówczesna intelligencya niemiecka pod wpływem panującego wszechwładnie humanitarnego kierunku z pewném lekceważeniem traktowała wszelkie nauki ścisłe, a szczególniéj techniczne. To też jakkolwiek dwadzieścia kilka rozsianych po całych Niemczech uniwersytetów dostarczało krajowi corocznie specyalistów uzdolnionych we wszystkich gałęziach wiedzy, ludzi jednak z wykształceniem techniczném był brak zupełny. Tego rodzaju okoliczności nie mogły sprzyjająco oddziałać na rozwój gospodarstwa kolejowego. Chociaż już w roku 1830 poczęto zakładać pierwsze drogi żelazne, budowanie to jednak już z powodu niechęci rządów do wszelkiego rodzaju innowacyi, już to dla braku potrzebnych kapitałów i odpowiedniéj intelligencyi technicznéj, szło nadzwyczaj wolno, tak, iż r. 1848 długość wszystkich kolei rozrzuconych w małych kawałkach po całym związku zaledwie 100 mil wynosiła.

Schmeidler w dziele swojém „Geschichte des deutschen Eisenbahnwesens“ dzieli historyą rozwoju gospodarstwa kolejowego w Niemczech na 5 okresów. W okresie 1-szym (od 1830 — 1840) rządy pojedynczych państw i państewek niemieckich oraz towarzystwa prywatne przedsiębiorą w ważnych miejscach budowę pierwotnych dróg żelaznych. Działalność jednak na tém polu z powodu wielu niekorzystnych warunków jest bardzo słaba, tak, iż okres ten stanowi niejako epokę prób; istotny bowiem rozwój

poczyna się w okresie 2-gim (od 1840 do 1848). Widoczne korzyści ekonomiczne, jakie przyniosło zaraz różnym prowincyom zaprowadzenie nowego środka kommunikacyi, skłoniły obojętne dotychczas rządy do energiczniejszego w tym kierunku działania. Szczególniéj od roku 1843 szybko z rozrzuconych kawałków dróg żelaznych przez przeprowadzenie odpowiednich przedłużeń, oraz linii łączących, kształtuje się wielka sieć kolejowa we właściwém tego słowa znaczeniu. Okres 3-ci (od 1848—1860) poczynający się wśród zaburzeń politycznych, które swój wpływ szkodliwy i na koleje żelazne wywrzeć musiały, charakteryzuje dążenie rządów do owładnięcia monopolu kolejowego. Jakoż w tym to głównie czasie rządy zakupują wiele prywatnych linii, oraz same zajmują się budowaniem nowych. W okresie 4-tym (od 1860 — 1870) bardzo ucierpiało gospodarstwo kolejowe, już to z powodu wojny włoskiéj i innych przyczyn politycznych, już w skutek wprowadzonego w użycie (jakkolwiek na krótki czas) nowego sposobu budowania, przez t. z. generalne entrepryzy. W okresie 5-tym i ostatnim (od 1870 r.) polityczne złączenie się Niemiec wpłynęło na nadanie pewnych ogólnych w całém państwie obowiązujących ustaw dla kolei żelaznych. Ważnym niezmiernie faktem w ostatniéj téj epoce jest zakupienie na własność państwa kolei w Alzacyi i Lotaryngii, oraz na ostatniéj sessyi parlamentu projekta zakupienia przez państwo rządowych kolei pruskich.

Przy zakładaniu pierwszych dróg żelaznych w Niemczech o jakimś ogólnym planie mowy nawet być nie mogło; rząd każdego pojedynczego państewka mając na uwadze jedynie interes partykularny, bądź własnym kosztem budował koleje, bądź udzielał koncessye towarzystwom prywatnym. Od początku więc zaraz bierze górę tak zwany system mieszany, takowy jednak całkiem różnie się przedstawia na południu i na północy; wówczas bowiem gdy w południowych państwach większość kolei żelaznych była własnością rządów, w północnych przeważały ilością koleje do prywatnych towarzystw należące. W wielkiém księztwie Badeńskiém przy budowaniu i eksploatacyi kolei żelaznych, przyjęto za wzór system państwowy belgijski i jakkolwiek rząd udzielił koncessyi na kilka linii prywatnych, administracyą jednak takowych w swych rękach zatrzymał. Bawarya posiada oprócz dobrze uorganizowanego państwowego systemu, kilka linii należących do towarzystw prywatnych. W roku przeszłym, rząd bawarski nabył t. z. Kolej Wschodnią; zakupienie zaś na własność państwa reszty dróg żelaznych, jest tam tylko kwestyą czasu. W Hessyi system monopolu państwowego również bierze górę.

Prussy jakkolwiek pod względem prawodawstwa kolejowego o wiele wyprzedziły nawet Anglią, już bowiem w r. 1838 wydany tam został zbiór ustaw tyczących się kolei żelaznych do ostatnich czasów obowiązujących, — jednakże w budowaniu u siebie dróg żelaznych znacznie pozostały w tyle. Opóźnienie to jedynie przypisać należy zbytniéj ostrożności a raczéj bojaźliwości rządu, który z początku nie umiał ocenić olbrzymiéj doniosłości ekonomicznéj kommunikacyi kolejowéj. Pierwsze też drogi żelazne w Prussiech zawdzięczają swe istnienie jedynie spekulacyi prywatnéj. W roku 1842 rząd zmuszony był przejąć akcye dróg żelaznych: Berlin-Anhalt i Berlin-Szczecin z powodu, iż towarzystwa nie były w stanie kończyć rozpoczętéj budowy. Fakt ten był pierwszym mimowolnym krokiem rządu, do przejścia z systemu monopolu prywatnego, do systemu mieszanego; jednakże dopiero w r. 1848, gdy von der Heydt objął tekę ministra handlu, przez wybudowanie kilku ważnych linii kosztem rządu, sieć kolei państwowych nabiera znaczenia dozwalającego jéj skutecznie konkurować z kolejami prywatnemi. Izba przeznaczając wówczas fundusz potrzebny na budowę wydała następującą uchwałę:

„Przejście wszystkich kolei na własność państwa zawsze powinno być celem rządu; celu tego nigdy nie należy tracić z oczu, i do urzeczywistnienia go wszystkie dające się użyć środki zastosowane być powinny.

Porównywając system wyłącznego monopolu prywatnego z systemem mieszanym do dziśdnia w Niemczech panującym, temu ostatniemu bezwarunkową wyższość przyznać należy. Dobrze uorganizowana sieć państwowa, mając za główne zadanie czynienie zadość ogólnym interesom kraju, przez konkurencyą wstrzymuje towarzystwa prywatne od dowolnego podnoszenia taryf przewozowych. Wreszcie państwo do kontrollowania prywatnych towarzystw kolejowych, potrzebuje znacznéj liczby urzędników uzdolnionych nietylko teoretycznie, lecz też posiadających praktyczną znajomość fachu. Szkołą ułatwiającą nabycie takowéj są koleje państwowe, i w krajach, gdzie drogi żelazne zostają wyłącznie w rękach prywatnych, brak ludzi odpowiednio uzdolnionych przy najwyższéj władzy nadzorczéj, na każdym kroku dotkliwie czuć się daje. Najważniejszą ujemną stroną systemu mieszanego jest owa podwójna rola rządu, jako instytucyi przemysłowéj spekulacyjnéj i zarazem najwyższéj władzy nadzorczéj; w razie bowiem wynikłego sporu pomiędzy rządem a prywatném towarzystwem kolejowém, rząd występuje jednocześnie w charakterze strony i w charakterze sędziego. Rozumie się, iż przy takich warunkach

bezstronność w rozstrzyganiu kwestyi może być tylko rzeczą wyjątkową.

Po rozszerzeniu się sieci kolei żelaznych, prawo z roku 1838 okazało się niedostateczném. Potrzeba pewnego zcentralizowania, oraz brak ogólnie obowiązujących przepisów administracyjnych, wywołały utworzenie w r. 1846 „Związku pruskich dyrekcyi kolejowych,“ w którym wzięły udział oprócz niemieckich, austryackie i hollenderskie zarządy dróg żelaznych. Ponieważ w zgromadzeniu tém zarządy kolei państwowych nadzwyczaj mały stanowiły procent, wszelkie więc przez nie wnoszone projekta, mające interes ogólny na celu, zawsze prawie przez większość były odrzucane. Téj to prawdopodobnie okoliczności przypisać należy, iż zawiązanie się owego stowarzyszenia pozostało bez wpływu na interesa ekonomiczne kraju, wszelkie bowiem korzyści stały się jedynie udziałem szczupłego grona akcyonaryuszów różnych kolei.

W Niemczech, podobnie jak w innych państwach europejskich, rządy dopomagały przez różnego rodzaju gwarancye towarzystwom prywatnym budującym drogi żelazne, ważne ze względu na interes ogólny, lecz nieprzedstawiające widoków natychmiastowych zysków. Nigdzie jednak w owém przychodzeniu z pomocą nie przyjęto pewnego sposobu za normę, lecz stosowano się do czasowych okoliczności finansowych. W Prussiech zwykle rząd gwarantował pewien procent, w latach zaś, w których dochód ów procent przewyższał, pewną część przewyżki zabierał. Sposób ten okazał się bardzo dla skarbu państwa korzystnym, do roku bowiem 1863 rząd wypłacił towarzystwom 7,208,989 talarów, odebrał zaś 9,479,000.

Straty przy budowach kolei w skutek różnicy kursu, pośrednictwa instytucyi finansowych i innych pobocznych względów, z wyjątkiem tak zwanéj „epoki schwindlu“ były w Niemczech bardzo niewielkie i przecięciowo nie przenosiły dziesiątéj części przeznaczonego kapitału. Ustępowanie koncessyi prawie nigdzie miejsca nie miało; zwykle towarzystwo, które otrzymało koncessyą na pewną drogę, samo zajmowało się budową i eksplotacyą takowéj. Dzięki niezachwianemu kredytowi państw niemieckich, nizkiéj stopie procentowéj, oraz przykładowi racyonalnego budowania dróg rządowych, koleje niemieckie nigdy prawie nie były przedmiotem hazardownéj gry giełdowéj i igraszką chwiejnych prądów targu pieniężnego, jak to miało miejsce w krajach sąsiednich. Niemożebném było, aby w pewnéj prowincyi, gdzie budowano koléj rządową dobrze i tanio, jednocześnie na obok zakładaną drogę prywatną

przy jednakowych cenach pracy i materyałów, koszta o kilkadziesiąt procent więcéj wynieść miały.

W Niemczech przecięciowy koszt budowy jednego kilometra

dróg żelaznych państwowych wynosi	78,700	talarów
dróg żelaz. prywat. przez rząd administrow. . .	95,000	„
dróg żelaznych prywatnych	64,000	„
cyfra średnia	72,200	„

Tymczasem we Francyi średnia cyfra kosztu budowy jednego kilometra wynosi 118,000 talarów.

Rządowy nadzór nad kolejami pruskiemi, należy do tak zwanych „komissaryatów" rozmieszczonych po wszystkich prowincyach państwa i znoszących się bezpośrednio z wydziałem ministerstwa handlu, posiadającym rozstrzygającą w kwestyach kolejowych władzę. Koszta utrzymania owego nadzoru znacznie są mniejsze aniżeli we Francyi, chociaż pod względem porządku i bezpieczeństwa, koleje pruskie najzupełniéj dorównywają francuzkim.

W Niemczech dążenie do ekonomicznego zjednoczenia znacznie wyprzedziło połączenie polityczne, gdy zaś takowe stało się już faktem dokonanym, starano się wszelkie niedostatki ekonomiczne na drodze prawodawczéj regulować. Reorganizacya sądownictwa, reforma bankowa, zaprowadzenie nowego systemu monetarnego, oto są pierwsze na téj drodze kroki: wreszcie utworzono t. z. „Reichseisenbahnamt," najwyższą państwową władzę nad wszystkiemi kolejami żelaznemi w cesarstwie. Władza ta jednak nie mogła należycie funkcyonować z powodu niedostatecznych ogólnych przepisów, takowe bowiem mieszczą się w kilku zaledwie paragrafach nowéj ustawy państwowéj. Oto są główne punkta owych przepisów:

„Koleje żelazne, które w interesie państwa Niemieckiego lub w interesie wspólnego ruchu przewozowego za potrzebne uznane zostaną, nawet wbrew woli pojedynczych państw związkowych, których terrytorya mogą przerzynać, kosztem państwa budowane być mają.

„Rządy pojedynczych państw związkowych obowiązane są wszystkie w granicach cesarstwa istniejące koleje, jako jednę wielką sieć uważać i przy budowie nowych kolei trzymać się wspólnych norm.

„Staraniem rządu powinno być: 1) aby jak najprędzéj jednostajne przepisy eksploatacyi na kolejach niemieckich wprowadzone zostały, i 2) taryfy przewozowe ile możności zniżyć i ujednostajnić.

„W razie wojny wszystkie drogi żelazne oddają się do rozporządzenia odpowiednim władzom państwowym.“

Ogólne te jednak przepisy nie są w stanie zapobiedz panującemu dziś chaosowi w kolejowém gospodarstwie niemieckiém. Umyślnie ustanawiane komissye w r. 1873 i 1874 mające obmyślić środki skuteczne zaradzenia złemu, po długich rozprawach doszły do wniosku, iż jedynie skuteczném i nieodzowném lekarstwem jest przejście wszystkich kolei na własność państwa. Projekt ów wywołał silną opozycyą w obozie separatystów, uważających go za nowy zamach Pruss na resztę politycznéj odrębności pojedynczych państewek. Nie wchodząc w rozbiór widoków politycznych rządu, bezwątpienia ważną grających rolę, połączenie wszystkich kolei w silnych rękach państwa pod względem ekonomicznym, byłoby faktem niezmiernéj doniosłości. Tylko przy takiéj zmianie zaprowadzenie reformy w palącéj dziś kwestyi taryf przewozowych mogłoby być dokonane. Ważność zaś téj reformy łatwo zrozumiemy, jeżeli weźmiemy pod uwagę szkodliwy wpływ na stosunki handlowo-rolnicze Niemiec, owéj olbrzymiéj liczby taryf dowolnie przez zarządy różnych kolei ustanawianych. Doskonale charakteryzuje obecny stan gospodarstwa kolejowego w Niemczech następująca w streszczeniu podana mowa, miana 29 Kwietnia bieżącego roku w parlamencie niemieckim przez ministra dra Friedenthala:

„Wszystkim wiadomo, iż w kołach naszych gospodarzy wiejskich, coraz częściéj i dobitniéj dają się słyszeć skargi na sposoby eksploatowania kolei żelaznych. Któżby śmiał przeczyć, że w skargach tych jest wiele przesady? Naszym jednak obowiązkiem jest właściwe ziarno prawdy od łupiny przesady i fałszu oddzielić. Zażalenia rolników ściągają się przedewszystkiém do chaosu w taryfach przewozowych. W Niemczech istnieje około 90 samodzielnych kolei, zarządzanych mniéj więcéj przez 60 dyrekcyi, które ustanowiły 1533 taryf, do któréj to cyfry należy dodać znaczną jeszcze liczbę tak zwanych taryf uzupełniających. Jedenaście znanych mi stowarzyszeń kolejowych, wydało 475 takich dodatków. Jeżeli jeszcze weźmiemy pod uwagę rozporządzenia służbowe (Dienstbefehle), tyczące się pewnych zboczeń od istniejących taryf, a których jedno tylko z naszych towarzystw kolejowych 372 wydało, wówczas będziemy mieli pojęcie o panującém zamieszaniu. Jeżeli ten stan w przyszłości się utrzyma, jedynym środkiem zabezpieczającym obywateli od strat, będzie zaprowadzenie w uniwersytetach nowych katedr taryfoznawstwa. Jak może rolnik przy obecnie panującym systemie z góry zapewnić się, ile za przewiezienie pewnego produktu będzie musiał zapłacić? Zdarza się, iż

przedsiębierca robi pewien układ, na którym spodziewa się wiele zarobić, z powodu jednak, iż nie potrafił ściśle obliczyć kosztów przewozu, traci. Dają się też słyszeć zażalenia na samowolność i nielogiczność panującą w naszym systemie taryfowym, jedyną bowiem zasadą, któréj się trzymają zarządy kolejowe, jest chęć jak największego zysku. Koleje żelazne każą sobie drogo płacić od artykułów, które z konieczności po nich przewożone być muszą, tanio zaś od tych, których przewóz konkurującemi drogami uskuteczniony być może. Ileż to strat pociąga dla rolnika, który zwykle z jednéj tylko drogi korzysta!"

Przytoczona mowa ministra Friedenthala wygłoszona była w obronie wniosku zakupienia przez państwo rządowych kolei pruskich, oraz prywatnych przez rząd pruski administrowanych. Przyjęcie owego wniosku przez parlament należy uważać za pierwszy krok w sprawie zakupienia wszystkich kolei niemieckich przez państwo.

Zastanawiając się nad argumentami przeciwników projektu, należy przyznać, że i one mają pewną, jakkolwiek może tylko względną podstawę. Sądzą, iż z objęciem przez państwo eksploatacyi wszystkich kolei, cała kilkudziesięciotysięczna armia urzędników i oficyalistów, stanie się posłusznem narzędziem w rękach rządu, którém szczególniéj przy wszelkiego rodzaju wyborach i głosowaniach ogólnych, będzie się skutecznie mógł posługiwać. Zarzut ten jednak pozorne ma tylko znaczenie. Owa kilkudziesięciotysięczna armia rozrzuconych po wszystkich prowincyach państwa, bardzo mały procent w kołach głosujących stanowi, a wreszcie samo zatrudnienie oficyalisty kolejowego wymagające nieustannéj prawie obecności na miejscu służby, nie dozwoli mu przyjmowania udziału we wszelkich agitacyach politycznych. Oto przy wyborach do francuzkiego zgromadzenia narodowego przed niedawnym czasem z 372,477 wyborców z miasta Paryża nie wzięło udziału w głosowaniu 88,938, w téj zaś liczbie było 40,000 urzędników czynnych poczt, kolei żelaznych i t. d.

Daléj, opierając się na danych statystycznych, wykazują iż dotychczas koleje rządowe niższy dawały procent aniżeli prywatne, i tak w r. 1874:

Koleje państwowe przyniosły przecięciowo	3,58%	od kapit.	zakład.
Koleje prywat. przez rząd administrowane	4,07%	"	"
Koleje prywatne	4,33%	"	"

Ztąd utrzymują, że rząd zakupiwszy wszystkie koleje nietylko taryf przewozowych nie zniży, lecz przeciwnie chcąc pokryć dochodami koszta eksploatacyi, będzie zmuszony podnieść takowe. Zarzut

ten z następujących względów jest niesłuszny: — Dziś sieć państwową składają albo nizko procentujące się linie, które rząd zmuszony był nabyć od bankrutujących towarzystw, lub też wybudowane kosztem rządu w celach politycznych i strategicznych, a które z góry nie obiecywały przynosić odpowiedniego dochodu. Gdyby jednak w skład sieci państwowéj weszły owe do prywatnych towarzystw dziś należące drogi, łączące główne ogniska ludne i bogate, wtedy i przecięciowy procent kolei rządowych innąby cyfrę przedstawił. Oto główne zarzuty przeciwników projektu; innych jedynie tylko na hypotezach opartych, nie przytaczam.

Zastanówmy się teraz nad korzyściami, jakie w skutek przejścia kolei na własność państwa, a przedewszystkiém nad temi, które przez usunięcie niedogodności dziś panującego systemu, osiągnąć się dadzą. Najważniejszą może jest zmniejszenie kosztów exploatacyi, a przez to możność odpowiedniego zniżenia cen przewozu. Cel ten następującemi środkami da się urzeczywistnić:

a) Przez scentralizowanie administracyi zmniejszy się liczba urzędników, których znaczna część dzisiaj zajęta jest wzajemném rozrachowywaniem się towarzystw.

b) Przez połączenie oddzielnych taborów w jeden wielki tabor państwowy zapobiegnie się owemu bezplanowemu przewożeniu próżnych wagonów, nieuniknionemu przy obecnych stosunkach. Dziś, jeżeli jakie prywatne towarzystwo kolejowe wysyła na obce linie swoje naładowane wagony, nie chcąc być narażoném na stratę w razie niespodziewanie zwiększonego ruchu, żąda, aby je po wyładowaniu natychmiast zwrócono. Z téj to przyczyny wagony w jednę tylko stronę idą naładowane, powracają zaś najczęściéj próżne. Ta pozornie małoznaczna okoliczność powoduje jednakże stratę kilkudziesięciu milionów marek rocznie. W Prussiech w r. 1874 ilość kilometrów przebieżonych przez wszystkie osie, czyli liczba t. z. w technice kilometrów osiowych przedstawiała cyfrę 2,109,724,921 dla wagonów naładowanych, zaś 1,097,473,868 dla próżnych. Koszt jednego kilometra osiowego tak dla wagonów próżnych jak i dla naładowanych wynosił 0,06 marki; gdyby więc liczbę przejazdów próżnych wagonów zmniejszyć się dało choćby do połowy, zaoszczędzonoby przeto przeszło 33,000,000 marek na samych tylko kolejach pruskich.

Wiadomo, jak wysoką cyfrę w cenach produktów stanowią koszta dostawy takowych na miejsce zbytu; zniżenie więc taryf przewozowych, naturalne następstwo zaprowadzonéj oszczędności w wydatkach na exploatacyą, zmniejszyłoby coraz dotkliwiéj czuć

się dającą drożyznę, a tém samém wpłynęłoby na podniesienie dobrobytu ogólnego.

Dobroczynném też następstwem zakupienia kolei przez państwo, byłoby położenie tamy marnowaniu olbrzymich kapitałów na budowanie kilku konkurujących linii tam, gdzie jedna ruchowi przewozowemu wystarczyć może.

Daléj, zmniejszenie owéj olbrzymiéj liczby taryf przez ustanowienie mniéj więcéj jednakowych cen przewozu na wszystkich kolejach, przyczyniłoby się do usunięcia panującego dziś chaosu tak szkodliwie oddziaływającego na sprawy w handlu i rolnictwie.

Wreszcie na przeprowadzeniu projektu zyskałoby bezpieczeństwo publiczne, coroczne bowiem dane statystyczne wykazały, iż w Prussiech liczba wykolejeń i innych wypadków na drogach rządowych bywa zawsze znacznie mniejsza aniżeli na prywatnych.

Zakupienie przez państwo dróg żelaznych zmieniłoby zupełnie dotychczasowy charakter tychże. Z instytucyi spekulacyjnéj, przynoszącéj korzyści pewnéj tylko liczbie jednostek, stałyby się dźwignią społeczną działającą jedynie w interesie ogólnego dobra, a tém samém odpowiedziałyby w zupełności zadaniu, jakie im nauka społecznego gospodarstwa do spełnienia naznacza.

W Rossyi kwestya kolejowa nigdy nie przybierała oryginalnych postaci dających sposobność do wyprowadzania jakichś ogólniejszych wniosków; uważałem więc za właściwe raczéj zupełnie ją pominąć, aniżeli podawać pewną liczbę szczegółów historyczno-statystycznych, któreby się bardzo mało przyczyniły do rozjaśnienia rozbieranéj tu przezemnie kwestyi. Że jednak koleje rossyjskie dla nas specyalnie najżywszy może przedstawiają interes, wszystkie więc te szczegóły, które tutaj byłyby nie na miejscu, będę się starał podać w oddzielnéj pracy wyłącznie gospodarstwo kolejowe w Rossyi obejmującéj.

KRONIKA NAUKOWA.

Ciałka zawieszone w powietrzu, oraz ich stosunek do praw gnicia i zarazy. Najnowsze badania Tyndalla nad powstawaniem istot żyjących w nalewkach organicznych.

Czytelnikom wiadomo, iż przed kilkunasty laty uczony francuzki *Pasteur*, dla zbadania przyczyn fermentacyi i gnicia nalewek organicznych, jako też dla rozbioru kwestyi samorództwa, przedsięwziął szereg doświadczeń polegających na wystawianiu nalewek zawartych w rurkach, na działanie powietrza w rozmaitych warunkach. Praca ta doprowadziła go do wniosku, iż fermentacyą i gnicie sprowadzają najniższe istoty organiczne, rozwijające się w nalewkach, z zarodków rozproszonych w powietrzu, a więc bynajmniéj przez samorodztwo nie powstające. Wniosek ten, jakkolwiek został przyjęty za ostatecznie kwestyą rozstrzygający przez ogół uczonych, napotkał jednak wiele zarzutów ze strony badaczy, którzy podobne do Pasteurowskich doświadczenia wielokrotnie uskuteczniali i wprost przeciwne otrzymywali rezultaty. Pasteur i jego zwolennicy utrzymywali, że doświadczenia przeciwników były niedokładnie wykonane, ci zaś siląc się na jak największe ostrożności, przesadzając nawet pod tym względem przepisy podane przez Pasteur'a i otrzymując wciąż rezultaty świadczące za samorodztwem, oskarżali Pasteur'a również o niedokładność w pracy, a nawet o złą wolę. Szczególniéj w ostatnich czasach *Huizinga* i *Charlton Bastian* dodali do rezultatów otrzymanych przez *Pouchet'a*, *Joly'ego*, *Musset'a*, *Wymann'a* i t. d. tak ważne dane, że wierząc w dobrą ich wiarę i dokładność robót, łatwo się było przechylić na stronę przeciwników Pasteur'a, a przynajmniéj przyznać, że *Pasteur* wcale kwestyi nie rozwiązał i że zagadka pozostała zagadką. Że fakta podane przez powyżéj przytoczonych badaczy bardzo zachwiały pewność rezultatów Pa-

steur'a, uważanych niemal za dogmat przez konserwatystów, tego dowodzi ta okoliczność, że *John Tyndall* uważał za stosowne zająć się na nowo podobnemi doświadczeniami, aby sprawdzić wyniki zwolenników i przeciwników samorodztwa. Zapał zaś, z jakim praca Tyndalla została przez naukowe koła przyjętą, dowodzi, iż wątpliwości głęboko się zakorzeniły i że poczytywanie wniosków Pasteur'a za ostatecznie rozstrzygające, było więcéj wynikiem mody aniżeli przekonania. Bądź co bądź jednak przypuszczenia te, ugruntowane na sumienności i zdolności Pasteur'a zostały w świetny sposób sprawdzone przez Tyndall'a tak, że już teraz przeciwnicy prawdopodobnie zupełnie z placu boju ustąpią, a nauka pozyska fakta dostatecznie udowodnione, niezmiernie ważne mogące przynieść następstwa.

Doświadczenia *Tyndalla* są w zasadzie podobne do Pasteurowskich; uległy jednak w ręku fizyka angielskiego tak ważnym modyfikacyom, że należy je uważać za dokonane według zupełnie nowéj, a jaśniejszéj i dokładniejszéj od zastosowanéj przez Pasteur'a metody. Wszystko w téj kwestyi polega na szczegółkach i drobnostkach, i dlatego też nie możemy ograniczyć się na krótkiém sprawozdaniu, lecz podamy bardzo obszerne streszczenie odczytu mianego przez Tyndalla w *Royal Institution*, a zatytułowanego: „O optycznym stanie atmosfery w stosunku do zjawisk gnicia i zarazy."

Do badań biologicznych wychodzących z zakresu nauk, którym się Tyndall poświęca, doprowadziły go badania zupełnie co innego mające na celu. W roku 1868 rozpoczął on szereg badań nad rozkładem par przez światło, do których musiał używać powietrza optycznie czystego, t. j. takiego, w którém nie widać z boku wiązki promieni światła. To zaś doprowadziło go do badań nad substancyami zawieszonemi w powietrzu, których opis znajdujemy w *Philosophical Transactions* z 1870 roku, oraz w dziele z luźnych artykułów złożoném p. t. „Fragments etc." Podczas tych badań stwierdził on, że jeżeli powietrze londyńskie, zawsze obciążone kurzem i tak drobnemi cząstkami materyalnemi, że nawet na nazwę pyłu nie zasługują; jeśli, powiadam, takie powietrze przefiltrujemy przez watę, jeśli je wypalimy przepuszczając przez rurkę platynową, napełnioną drutami platynowemi lub przeprowadzając przez górną część płomienia lampy alkoholowéj, to ono stanie się optycznie czystém, t. j. nie będzie w niém widać skoncentrowanych promieni światła, a raczéj cząstek materyalnych oświeconych przez te promienie, jakie zawsze widzimy w pokojach lub na poddaszach, gdy światło słoneczne wpada przez wązką szczelinę. Sło-

wem część przestrzeni zajętéj w powietrzu przefiltrowaném lub przepaloném przez wiązkę światła, niczém się różnić nie będzie od części przyległych, co dowodzi, że czysto gazowa część naszéj atmosfery wcale światła nie rozprasza, gdyż ową smugę świetlną wychodzącą ze szczeliny widzimy tylko w skutek rozpraszania światła przez pył. Późniéj Tyndall przekonał się, że dla zupełnego, „optycznego“ oczyszczenia powietrza, dość jest zostawić je w spokoju w izbie albo naczyniu szczelnie zamkniętém. Pył wtedy osadza się powoli na ścianach i dnie, i powstaje czyste powietrze tak, że promień najbardziéj skoncentrowany przechodzi przez nie, nie dając żadnego śladu widzialnego. Analogia tego faktu ze zjawiskami stwierdzonemi przez Schwann'a, Schröder'a, Dusch'a oraz Pasteur'a (1) doprowadziła Tyndall'a do wniosku, że zdolność rozpraszania światła i wywoływania życia przez powietrze są to dwa fakta nierozłączne. Postrzeżenie to stwierdził jeszcze Tyndall następującém doświadczeniem: Wiadomo było, że powietrze, które przeszło przez płuca, oczyszcza się do tego stopnia, że już nie może wzbudzić gnicia. Otoż Tyndall puszczał prąd powietrza wydychanego na skoncentrowaną wiązkę światła i spostrzegł, że w miejscu tém rozproszenie światła znacznie się zmniejszyło, a nawet pod koniec doświadczenia okazała się zupełnie ciemna przerwa na drodze promienia.

Fakta te były nadzwyczaj ważne, ze względu na kwestyą powstawania istot organicznych w nalewkach. Dawniéj experymentowano niemal po omacku, poznając wszystko ze skutków, a nie mając najmniejszego pojęcia o fizycznym charakterze powietrza używanego do doświadczeń. Tyndall natychmiast spostrzegł ważność swych obserwacyi z téj strony, i zabrał się do nowych doświadczeń, aby, jak powiada, „dokładniéj wykazać użyteczność“ swych spostrzeżeń.

„Dałem się zresztą powodować (słowa Tyndall'a) pewnemu bodźcowi jeszcze potężniejszemu: pobudką tą było uwolnienie mego umysłu, i jeżeli można umysłu innych od niepewności i niejasności panujących obecnie w kwestyi samorodztwa. Pasteur wyrzekł, że samorodztwo jest urojeniem, i dodał, że w skutek tego usunięcie ze świata chorób pasożytniczych jest możliwe. Ta kwestya jest nadzwyczaj ważną dla lekarzy, a przez nich dla całéj

(1) Uczeni ci wykazali, iż w nalewkach, do których wpuszczamy powietrze przefiltrowane przez watę lub przepalone, nie powstają żywe istoty, a więc że w powietrzu takiém nie ma zarodków organicznych.

ludzkości. Obecnie stan opinii lekarzy o tym przedmiocie nie zdaje mi się być zadawalającym. W jednym z ostatnich numerów *British Medical Journal* z powodu kwestyi powstawania i rozmnażania się pierwiastku zaraźliwego pp. Braidwood i Vacher wyrażają się w sposób następujący: „Pomimo najliczniejszych i z największą cierpliwością dokonywanych poszukiwań, rzeczywiste rezultaty, odnoszące się szczególniéj do powstawania pierwiastku zaraźliwego są bardzo zniechęcające. Obserwatorowie nawet nie są w zgodzie co do kwestyi, czy pierwiastki zaraźliwe powstają zawsze z ciał podobnych przed niemi już egzystujących, czy też samoistnie, pod wplywem pewnych warunków sprzyjających. Dla zmniejszenia o tyle, o ile odemnie zależy, niepewności, na którą się tak uskarżają, podaję Towarzystwu królewskiemu, a specyalnie tym wszystkim, którzy się etyologią zajmują, opis środków używanych przezemnie w tych doświadczeniach oraz wypadki, do których doszedłem."

Do doświadczeń swych używał Tyndall nie samych naczyń szklanych, do których się wpuszcza powietrze wprost z zewnątrz tak, jak to czynili poprzedni badacze; lecz skrzyni drewnianéj o jednéj ścianie szklanéj, z okienkami w dwóch przyległych do niéj ścianach naprzeciwko siebie leżących. Sciana górna miała w środku otwór 5 centymetrów w średnicy wynoszący, zamknięty hermetycznie płytką kauczukową. Płytkę przedziurawił experymentator szpilką i przez otwór ten przepchnął pipetkę szklaną, zakończoną lejkiem w górnym końcu, wystającym na zewnątrz. Nadto pipetkę tę otaczał cylinder z białéj blachy, a pomiędzy nim i pipetką znajdowała się wata nasiąknięta gliceryną tak, że rurka pipetki podczas ruchu ściskana była nietylko przez kauczuk, ale nadto przejść musiała przez lepką watę, a zatém przystawanie jéj do skrzyni było o ile można najhermetyczniejsze. Płytka kauczukowa jako miękka i elastyczna pozwalała wprawiać w boczne ruchy dolny koniec pipetki, do czego właśnie zmierza całe to urządzenie. Po bokach tego środkowego otworu zamkniętego kauczukiem, były również hermetycznie umieszczone cieniutkie rurki szklane, przeznaczone do utrzymywania kommunikacyi pomiędzy powietrzem zewnętrznéem a wewnętrznéem skrzyni. Części tych rurek wystające ponad skrzynię były wielokrotnie zgięte dla powstrzymywania pyłu z powietrza, jakiby mogly wciągnąć slabe prądy, powstające z różnicy temperatury skrzyni i atmosfery zewnętrznéj. W dnie skrzyni znajdowały się otwory, w które również hermetycznie wpuszczone były wielkiego rozmiaru epruwetki,

przeznaczone do płynów, mających się poddać wpływowi powietrza optycznie czystego.

Dnia 10 Września experymentator zamknął jednę ze skrzyń, i przepuściwszy skoncentrowaną wiązkę światła przez dwa okienka w ścianach bocznych umieszczone, przekonał się, że powietrze wewnątrz skrzyni zawarte, jest obciążone cząsteczkami materyalnemi. 13-go badał znowu to powietrze: promień przechodzący przez skrzynię był zupełnie niewidzialny, choć przed nią i za nią bardzo był widoczny. A więc trzydniowy spokój wystarczył zupełnie do osadzenia na dnie i na ścianach skrzyni —powleczonych dla lepkości gliceryną—wszystkich cząsteczek materyalnych zawieszonych w powietrzu. Po takiém oczyszczeniu powietrza, Tyndall ponalewał za pomocą pipetki rozmaite płyny do epruwetek, ogrzewał te ostatnie aż do wrzenia płynu przez 5 minut i pozostawił je w spokoju, pod wpływem powietrza zawartego w skrzyni. Ponieważ z powodu ogrzania powietrza w skrzyni przez parę i ujścia części gazów na zewnątrz, prąd powietrza wpływającego z zewnątrz po oziębieniu jako dość silny, mógłby wprowadzić pył do wnętrza, Tyndall dla zaradzenia téj niedogodności przed usunięciem przyrządu ogrzewającego, zatkał rurki zgięte watą, którą następnie wyjął, gdy temperatura powietrza wewnętrznego z zewnętrzną się zrównała. W skrzyni więc była mieszanina tlenu, azotu, kwasu węglanego, amoniaku, pary wodnéj i innych gazów napotykanych w atmosferze miejskiéj w większéj lub mniejszéj ilości. Nadto powietrze to nie było „męczone" przez wypalanie, ani w czémkolwiek zmienione przez filtrowanie albo inną jakąkolwiekbądź manipulacyą. Co do niego więc nie może powstać zarzut ze strony przeciwników Pasteur'a, że zostało zmodyfikowane środkami nienaturalnemi, a więc pozbawione władzy ożywiania. Mógł zatém słusznie bardzo zadać sobie pytanie, czy powietrze, które zachowało w zupełności swój skład normalny, pozbawione tylko substancyi znajdujących się w niém w zawieszeniu, może wywołać gnicie w nalewkach poddanych jego wpływowi? Tyndall doszedł do wniosku, że królestwo zwierząt i roślin dają zgodnie odmówną na tę kwestyą odpowiedź.

Z pomiędzy roślin poddał badaniu siano, rzepę, herbatę, kawę, chmiel, powtarzając doświadczenia w rozmaity sposób i operując z płynami już to kwaśnemi, już też alkalicznemi. Z substancyi zwierzęcych wziął do doświadczeń mocz, mięso wołowe, zajęcze, królicze, nerki, wątrobę, kurę, bażanta, głuszca i kilka gatunków ryb. Porównane rezultaty otrzymane z tych doświadczeń są następujące:

Wszystkie te substancye wystawione na wpływ powietrza

laboratoryum w temperaturze 60 — 70 stopni Fahrenheita (15 — 20° C.) uległy po 2 — 4 dniach zgniliźnie. Ilość epruwetek z płynami poddanych doświadczeniu dochodziła do 600; żadna z nich jednak nie uniknęła zgnilizny.

Z drugiéj zaś strony, w epruwetkach wystawionych na działanie powietrza, którego czystość została skonstatowana przez próbę świetlną, nawet w temperaturze wyższéj nad 30° C. nie powstał ani ślad bakteryi, ani jeden objaw dążności do gnicia. *Okazuje się więc, że zdolność rozwijania najniższych organizmów w nalewkach organicznych oraz władza rozpraszania światła, są nierozłącznemi własnościami powietrza atmosferycznego.*

Jedynie tylko substancye zawieszone w powietrzu, mogą wzbudzić życie w tych płynach. Tyndall zostawiał płyny w swym aparacie przez cztery miesiące, a żadne organizmy nie zakłóciły ich bezwładnego spokoju; gdy jednak otworzył tylną ścianę skrzyni, i wpuścił tym sposobem do wewnątrz powietrze obciążone cząstkami stałemi, nalewki już po trzech dniach uległy gniciu i roiły się istotami żyjącemi. Trudno więc zaprzeczyć, że jest to oczywisty dowód pochodzenia tych organizmów od cząstek zawieszonych w powietrzu.

Zbadajmy bliżéj, powiada Tyndall w dalszym ciągu, charakter cząstek dających życie organizmom—i w tym celu jak zwykle posługuje się nadzwyczaj prostém, dla każdego zrozumiałém doświadczeniem porównawczém. Jeżeli wlejemy trochę wody kolońskiéj do wody zwyczajnéj, to utworzy się osad biały, od którego płyn stanie się mlecznym. Lepiéj jeszcze użyć naśladując Brücke'a, roztworu czystego mastyxu w alkoholu, którego kilka kropel wlewamy do wody. Mastyx jest w wodzie nierozpuszczalny, więc się strąci i zabarwi płyn na biało. Jeśli roztwór mastyxu jest skoncentrowany, to osadzą się białe kłaczki; jeśli zaś użyjemy kilku kropel roztworu bardzo rozcieńczonego, to otrzymamy zamiast płynu mlecznego wodę, która w świetle odbitém okazuje lekki odcień lazurowy. Barwa ta—czyni mimochodem uwagę Tyndall—przypomina barwę nieba, która właśnie pochodzi z téj przyczyny, t. j. z rozpraszania światła przez cząstki bardzo małe w porównaniu z długością fal światła.

Pomimo to, że w takiéj lazurowéj wodzie znajduje się niezliczona ilość cząstek, niepodobna ich ująć wzrokiem nawet przy pomocy najdzielniejszych mikroskopów. Kropla téj wody wydaje się pod mikroskopem tak czystą, jak zwykła woda. Jeżeli promień światła przechodzi przez massę tych cząsteczek pod kątem prostym, to one wysyłają światło zupełnie spolaryzowane. Otoż

optyczne zachowanie się ciałek zawieszonych w powietrzu okazuje, że one są równie małe jak owe cząstki mastyxu opalizujące wodę Jeżeli w stosowny sposób patrzymy na wiązkę światła przez pryzmat Nicol'a, to znaczna część światła wysyłanego przez drobniejsze cząstki niknie, a za to większe okazują się świetniejszemi, w skutek kontrastu z ciemnem otoczeniem. *Właśnie pomiędzy cząsteczkami najmniejszemi, wymykającemi się silc mikroskopu, ultramikroskopijnemi, należy szukać substancyi, którym bakterye rozwijające się w nalewkach życie swe zawdzięczają.*

Że cząstki obce istnieją w zawieszeniu w powietrzu, to doświadczenia ze światłem tak dobrze to okazują, tak możemy być ich pewni, jak gdybyśmy je mogli widzieć pod mikroskopem lub ująć je palcami. Gdyby to ostatnie przypuszczenie było prawdziwe i gdybyśmy widzieli, że w nalewkach, do których kładziemy takie ciałka, rozwijają się bakterye, inne zaś nalewki pozostają bez śladów życia, to czyż moglibyśmy przypuścić, że w pierwszych zachodzi samorodztwo, że ciałka włożone nie są zarodkami później rozwijających się istot? Jeżelibyśmy tego przypuścić nie mogli, to musimy się i na to zgodzić, powiada Tyndall, że w doświadczeniach powyższych, zarodki zawieszone w powietrzu, które nam promień światła odkrywa, dały życie organizmom rojącym się w nalewkach.

Trzeba się naturalnie zgodzić z Tyndallem, że rozumowanie to wyłącza wszelkie zarzuty. Cóż jednak sądzić o doświadczeniach, które do zupełnie odmiennych rezultatów doprowadziły? Tyndall powiada, że doświadczenia te niedość ściśle były wykonane, a to na zasadzie następujących doświadczeń przedsięwziętych dla skontrollowania twierdzenia pewnego uczonego, że „nalewki organiczne wystawione na działanie powietrza zwyczajnego, filtrowanego lub przepalonego, a nawet zupełnie przystępu powietrza pozbawione, prędzéj czy późniéj roją się bakteryami i wibryonami.“

Z powietrzem *filtrowaném* Tyndall robił następujące doświadczenie:—Pod dzwonem szklanym szczelnie zamkniętym, umieszczał epruwetki zawierające nalewki siana, rzepy, wołowiny i baraniny. Powietrze zawarte w dzwonie było przefiltrowane w ten sposób, że przez jednę rurkę experymentator wyciągał z niego wielokrotnie powietrze i wpuszczał je przez inną, watą napełnioną. Epruwetki pozostały kilka miesięcy pod dzwonem i po upływie tego czasu okazały się tak czystemi i przejrzystemi, jak zaraz po nalaniu cieczy; z drugiéj jednak strony w dwunastu epruwetkach podobnych, napełnionych w tym samym czasie, temi samemi płynami

i wystawionych na działanie powietrza zwyczajnego, znalazło się pełno grzybni, pleśni i bakteryi.

Doświadczenie z powietrzem *przepaloném* odbyło się w podobny sposób z podobnemi rezultatami. Powietrze wchodziło przez rurkę platynową napełnioną płótnem platynowém, a rozgrzaną do czerwoności, albo też było wewnątrz dzwonu oczyszczane przez drut platynowy rozpalony do białości, który to środek jak się Tyndall jeszcze przed sześciu laty przekonał, zupełnie wystarcza do uwolnienia powietrza z cząstek w niém zawieszonych. Nadto dla sprawdzenia zdania niektórych autorów, że alkaliczność płynów szczególniéj sprzyja samorodztwu, robił nalewki odpowiadające temu warunkowi, ale samorodztwa istot nie mógł się w nich dopatrzyć. Nie powstawały tak samo jak i w innych płynach będących pod wpływem optycznie czystego powietrza.

Wreszcie dla obserwowania nalewek w przestrzeni *pozbawionéj powietrza*, gotował je najprzód pod dzwonem napełnionym optycznie czystém powietrzem, które następnie wypompowywał tak dokładnie, jak tylko to da się uskutecznić za pomocą najlepszéj machiny pneumatycznéj. Po trzech miesiącach nalewki były tak czyste jak w chwili ich przygotowania; inne zaś, napełnione w tym samym czasie, a poddane wpływowi powietrza zwyczajnego, były pełne zgnilizny.

Doświadczenia tego rodzaju robiono dotychczas, jakeśmy powiedzieli, w zupełnie inny sposób. Gotowano nalewki w kolbach lub rurkach szklanych i zatapiano ich szyjki podczas gotowania. Ciepło niszczyło zarodki w samym płynie, a para wywiązująca się, usuwała je z powietrza nad płynem. Sposób więc ten daje pewność, że w naczyniu po zalutowaniu szyjki podczas wrzenia nie ma wcale zarodków, i dlatego wielu badaczów przywiązało się do téj formy doświadczeń. Bastian wykonał ich znaczną ilość i na téj zasadzie utrzymywał w Towarzystwie patologiczném w Londynie, że „dla rozwiązania kwestyi możemy starannie przygotować nalewkę tkanki zwierzęcéj: mięśnie, nerki lub wątroby; możemy wlać ten płyn do flaszki, któréj szyjkę następnie wyciągamy za pomocą dmuchawki; możemy płyn gotować, zatopić szyjkę podczas wrzenia nalewki, i zostawić naczynie w miejscu ciepłém, dla czekania na skutek, jak to zawsze czynił w swych doświadczeniach. Po pewnym, dłuższym lub krótszym przeciągu czasu, płyn, któryśmy gotowali w naczyniu tak szczelnie zamkniętém, będzie napełniony większą lub mniejszą ilością bakteryi i innych wymoczków.“ W skutek tego twierdzenia, Tyndall powtórzył te doświadczenia, używając nalewek mięśni, wątroby, nerek, kury, ba-

żanta, kuropatwy, kaczki dzikiéj, wołowiny, baraniny, ozora, serca, płuc, mózgu, śledzia i t. d., zamkniętych w stu kilkudziesięciu flaszkach, które przedstawił członkom Towarzystwa królewskiego. Ani w jednéj z nich nie znaleziono dowodów za zdaniem Bastiana.

Na zasadzie tak znacznéj ilości doświadczeń o wypadkach negatywnych, Tyndall twierdzi, że Bastian w doświadczeniach swych pozwolił się wślizgnąć błędom. Lecz powiada: „*Errare humanum est*, a w poszukiwaniach tak trudnych i tak ważnych strzedz się należy przedewszystkiém nie tyle błędu, ile trwania w błędzie dla podtrzymania téj lub owéj teoryi.“ Dla uczynienia znośniejszą Bastian'owi porażki, a dla nauki wszystkich experymentatów, podaje przykłady błędów, w które omal nie popadł. Jest to według nas jeden z najbardziéj zajmujących i pouczających ustępów w całém sprawozdaniu.

Dnia 21 Października Tyndall otworzył skrzynię zawierającą sześć epruwetek napełnionych nalewką rzepy, która po trzech tygodniach pozostała tak czystą, jak była po spreparowaniu, stanowiąc kontrast z nalewką w sześciu innych epruwetkach znajdującą się, wystawioną na działanie powietrza zwyczajnego i już po trzech dniach napełnioną bakteryami. Z każdéj epruwetki zawierającéj płyn czysty, wziął Tyndall za pomocą pipetki po kilka kropel, aby je poddać badaniu mikroskopowemu, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu spostrzegł, że zawartość drugiéj epruwetki roiła się istotami żyjącemi. Były to organizmy kuliste, które się obracały we wszystkich kierunkach, w najdziwniejszy sposób uwijając się po płynie, oraz bakterye, również nie pozostające w spoczynku. Tyndall nie mogąc dostrzedz żadnego błędu w swych doświadczeniach, gotów już był przypuścić, że pomimo czystości płynu, życie rozwinęło się w nalewce poddanéj temperaturze wrzenia.

„A jednak, powiada, w nalewce rzepy zabezpieczonéj od zetknięcia się z powietrzem zewnętrznem, którą badałem 13 Października, nie mogłem znaleźć ani śladu istoty żyjącéj. Wtedy zupełnéj czystości płynu towarzyszył zupełny brak życia. Z drugiéj strony, jeśli bakterye widzialne były pod mikroskopem, to powinny były zmącić płyn w których powstały, a zresztą dlaczego pierwsza epruwetka z 21 Października nie zawierała istot żyjących? Zbadałem na nowo tę epruwetkę i znalazłem w niéj ślady życia bardzo nieznaczne, co prawda, ale niewątpliwe. To tylko powiększyło mój kłopot. Trzecia epruwetka zawierała także jakieś ślady istot żyjących. Powróciwszy do drugiéj epruwetki, w któréj poprzednio życie było tak silnie rozwinięte, spostrzegłem, że istoty żyjące stały się w niéj tak nielicznemi jak w innych. Ograniczy-

łem się z początku na badaniu tych trzech epruwetek, powtarzając bez przerwy poszukiwania, i znajdowałem czasami jeden lub dwa organizmy żyjące, a czasem ani jednego. Co się tycze nadzwyczajnego rozwoju życia, który mnie z początku uderzył, to okazało się niepodobieństwem wywołać go na nowo. Zakłopotany posłałem próbki z trzech epruwetek panu Huxley'owi prosząc go, aby zechciał je zbadać.

„Dnia 22 poddałem badaniu wszystkie epruwetki. Z początku w niektórych z nich pokazały się bardzo żwawe bakterye; późniéj żadna z sześciu epruwetek nie okazała ani śladu istot żyjących, pomimo jak najsumienniejszych poszukiwań. Wieczorem tego samego dnia otrzymałem list od p. Huxley'a, którym mnie zawiadamia, że pomimo uważnego rozpatrywania próbek nadesłanych, nie znalazł w nich żadnych śladów istot żyjących.

„Czerpiąc kilka kropel z epruwetek, posługiwałem się pipetkami. Pipetki te były to małe rurki szklane cienkiego kalibru, wyciągnięte nad lampą i przedłużone rurką kauczukową o kilka centymetrów. Ta giętka rurka dodatkowa, pozwalała czerpać płyn z samego dna epruwetek. Podejrzenia moje padły na ten kauczuk. Przemyłem go i zbadałem wodę służącą do mycia: nie znalazłem w niéj nic żywego. Przemywałem wodą destylowaną pipetki i 23 zrana wszedłem do laboratoryum dla zbadania téj wody. Przed zanurzeniem pipetki w wodzie wpadło mi na myśl, że należy zbadać jéj koniec. Bardzo mała kropelka pozostała na nim od wczoraj, trzymana siłą włoskowatości. Strąciłem tę kropelkę na płytkę żelazną, nakryłem ją i włożyłem pod mikroskop: istoty żyjące roiły się w niéj. Wszedłszy w ten sposób na właściwą drogę, zbadałem wszystkie swoje pipetki i na dwóch z nich znalazłem prawie niedojrzane kropelki; w obudwóch odkryłem mnóstwo wymoczków... W jednéj z nich rozwój życia był tak znaczny, jak ów, który mnie tak zadziwił 21-go.

„Rzecz jasna, że zjawiska z początku obserwowane pochodziły ztąd, że pipetki, których używałem, nie były dość czyste. Widoczném jest także, że we wszelkich poszukiwaniach tego rodzaju experymentator jest wystawiony na tysiące błędów i że błędy najważniejsze mogą się wślizgnąć w robotę przy największych ostrożnościach."

Innym razem kłaczek pleśni (Penicillum), który się pozostał na podstawie pod dzwonem, zaraził swemi zarodnikami płyny w epruwetkach, które przez trzy tygodnie były czystemi; gdyby Tyndall nie spostrzegł obecności tego kłaczka na płycie, to z pew-

nością zostałby zdziwiony naglém pojawieniem się pleśni, i gotów byłby przypuścić samorodztwo.

Co się tycze ogólnego rozpowszechnienia zarodków w atmosferze, Tyndall uważał za stosowne, sprawdzić poglądy innych własném doświadczeniem. Rozesłał nalewki Darwin'owi, Hooker'owi, Lubbock'owi, Siemens'owi i t. d, prosząc, aby je wzięli pod obserwacyą: każdy z nich znalazł organizmy, niekiedy w nadzwyczajnéj ilości. Dla powzięcia bardziéj określonego wyobrażenia o rozpowszechnieniu tych zarodków w atmosferze, przysposobił sto epruwetek umieszczonych w 100 otworach deseczki kwadratowéj. 23 Października napełnił 30 z nich nalewką siana, 35 nalewką rzepy i 35 nalewką wołowiny. Po przegotowaniu wystawił je na działanie powietrza. Następnie na papierze narysował sto kółek odpowiadających każdéj z epruwetek i przedstawiających plan powyższego apparatu, — i codzień znaczył na kółkach stan odpowiedniéj epruwetki.

Jedna z 35 epruwetek napełnionych nalewką wołowiny, pierwsza uległa zarazie; zmętniała o jeden dzień wcześniéj niż inne. 26 Października Tyndall zaczął znaczyć na papierze bieg gnicia i podaje następujący stan nalewek w tym dniu: Z 30 próbek nalewki siana wystawionych na działanie powietrza jedna zgęstniała, sześć pozostało czystemi, a reszta pokryta była pleśnią unoszącą się nad płynem czystym. Z 35 epruwetek napełnionych nalewką rzepy, cztery bardzo zgęstniały, sześć zmętniało, a w żadnéj nie było pleśni. Z 35 próbek nalewki wołowiny jedna zgęstniała, trzy zmętniały, a w siedmiu były kłaczki pleśni.

Z tego Tyndall wyprowadza zasadę ogólną, że nalewki organiczne wystawione na powietrze w jesieni zostają przezroczystemi przynajmniéj przez dwa pierwsze dni. Bezwątpienia zaraz na początku wpadają do nich zarodki, ale potrzeba pewnego czasu, aby się wylęgły. Ten peryod przezroczystości cieczy nazwać można okresem stanu utajenia, który zupełnie odpowiada temu, co się tą nazwą w medycynie wyraża. Pod koniec okresu utajenia, następuje stosunkowo nagłe przejście w stan chorobowy; nalewka z zupełnie przezroczystéj, staje się w kilka godzin mniéj lub więcéj mętną. I tak np. epruwetka dana Darwin'owi była czystą o godz. 4 min. 30 po północy d. 19 Października, o 4½ zaś po południu zmętniała. Podobnież rzecz się miała ze stu epruwetkami umieszczonemi w deseczce. W 7 godzin po powyżéj opisanym stanie już nie jedna, ale ośm epruwetek z nalewką siana uległo zgęstnieniu. W dwudziestu innych utworzył się muł bakteryalny, który opadł na dno, a powierzchnię cieczy pokryła pleśń. Reszta

zawierala płyn czysty, na którym pływala pleśń. W dziale nalewki rzepy, nie cztery, lecz dziesięć epruwetek zgęstniało, siedm innych zmętniało, a 18 zachowalo swą przezroczystość, unosząc tu i owdzie na swéj powierzchni kłaczki pleśni. Z pomiędzy próbek nalewki wołowiny sześć zmętniało, a jedna zgęstniała; wszystkie prawie pozostałe pokryte były pleśnią. W piętnaście godzin późniéj wszystkie próbki nalewki siana były dotknięte zarazą, tylko w różnym stopniu. Z próbek nalewki rzepy tylko trzy były czyste, a z nich dwie miały na powierzchni płynu klarownego błonki pleśni. Z trzydziestu pięciu wreszcie epruwetek z nalewką mięsa jedna tylko pozostała nietknięta. Nadto, epruwetka, która pierwsza została dotknięta rozkładem, zmienila swój wygląd: gęsty obłoczek, który ją napełniał, będąc przez półtora dnia szarym, przybrał kolor jasny, żółtawo-zielony i zachcwał go aż do końca. Dnia 27 wszystkie bez wyjątku próbki uległy zepsuciu: większa ich część przedstawiała jednorodne zmącenie, niektóre miały pleśń na powierzchni, a mulisty osad na spodzie, ciecz zaś w pośrodku będąca zachowała względną czystość. Ogólny bieg tych zjawisk przedstawiał uderzającą analogią z rozszerzaniem się choroby epidemicznéj pomiędzy ludnością miasta: *napady zarazy następowały nie odrazu we wszystkich próbkach, lecz stopniowo je obejmowały jednę po drugiéj, a natężenie ich było nierówne.*

Pojedyncze epruwetki ulegały zarazie bez żadnego porządku, bez prawidła, a ztąd wnieść można że *rozmieszczenie zarodków w powietrzu nie jest jednostajne pod względem ilości.* Nadto wyjątek, jaki stanowi jedna epruwetka z pomiędzy stu, napadnięta przez bakterye barwiące na kolor zielony, wskazuje, że i *pod względem jakości rozmieszczenie zarodków nie jest jednostajne.* Brak jednostajności okazuje się także w walce o byt pomiędzy bakteryami a penicillum (pleśnią). W jednych epruwetkach zwyciężyły pierwsze, w innych, z tą samą nalewką, opanowało pole bitwy penicillum. Możnaby także było sądzić, że *siła żywotna*, nie jest wszędzie jednostajna. I tak, w jednéj i téj saméj nalewce ruchy bakteryi w jednych rurkach były bardzo powolne, w innych zaś ruchy ich przypominały grad pocisków, tak gwałtowny, że trudno było niekiedy wzrokiem biedz za niemi. Wszystkie te okoliczności skłoniły Tyndalla do wniosku, że *zarodki pływają w atmosferze gruppami lub obłokami, rozdzielonemi od siebie przerwami skąpiéj zasianemi tym pyłem żywotnym.* Rezultat zetknięcia się obłoczka z płynem pożywnym, musi się naturalnie różnić od skutków wynikających z zetknięcia nalewki z warstwą powietrza rozdzielającą dwa obłoczki, a mniéj ofitującą w zarodki. Lecz jak

przy niebie zachmurzoném kilku obłokami, cień od nich padający przesuwa się kolejno po różnych częściach okolicy, podobnie obłoczki bakteryi przesunęły się kolejno (choć bez określonego porządku) ponad wszystkiemi epruwetkami, tak że wszystkie wreszcie uległy zarazie. Rezultaty te według autora są zgodne z wynikami doświadczeń Pasteur'a i jego własnych.

Rzecz szczególna, że podobne zdanie wypowiedział już dawniéj znakomity Ehrenberg (1). „Nic nowego pod słońcem," pisze Huxley do Tyndall'a przesyłając mu następujący wypis z Ehrenberga *Infusions-Thierchen* 1838, p. 525: „Zresztą zwierzątka pływające w atmosferze, można sobie wyobrazić jako obłoki rozdzielone zupełnie czystemi massami powietrza, a nawet całemi dniami czystego powietrza" (2). Tyndall uważa, iż zbieg podobnie analogicznych zapatrywań jest tém więcéj uderzający, że nigdy nie słyszał o tym poglądzie Ehrenberga.

Dnia 9 Listopada Tyndall wystawił na działanie powietrza drugą partyą epruwetek, w liczbie 100 napełnionych nalewką mięsa baraniego. Dnia 11 z rana sześć epruwetek z rzędu, najbliżéj pieca lężących, uległo zgniliźnie. Trzy inne należące do rzędu najbardziéj od pieca oddalonego, były zarażone, i wreszcie kilka innych, w nierównych odległościach uległo również zepsuciu. Z całéj liczby tylko 27 próbek zgęstniało lub zmętniało. Jest to zupełnie podobne do działania zaraźliwego powietrza na ludzi; to jeden, to drugi kolejno po sobie zostają chorobą dotknięci. Dnia 12 wszystkie epruwetki uległy zepsuciu, lecz różnice co do stopnia były bardzo znaczne. Wszystkie zawierały w sobie bakterye, ale jedne więcéj, drugie mniéj; w jednych bakterye odbywały ruchy niesłychanie prędkie, w drugich ociężałe, a w innych wreszcie wydawały się martwemi. Od czegożby mogły zależeć te różnice w ich żwawości i w ich sile żywotnéj? Od nalewki z pewnością nie, bo wszędzie była jedna i ta sama;—więc tylko od samych zarodków. To znowu przypomina nam analogią z objawami epidemii: *różnica co do liczebności i energii roju bakteryi w nalewkach odpowiada zmiennym natężeniom choroby w pośród ludności*. Doświadczenia te, rozjaśniają fakt, że z dwojga indywiduów pewnéj ludności, wystawionych na wpływ zaraźliwéj atmosfery

---

(1) Zmarł przed kilku tygodniami w 83 roku życia.

(2) „Uebrigens kann man sich die in der Atmosphäre schwimmenden Thierchen wie Wolken denken, mit denen ganz leere Luftmassen, ja ganze Tagevöllig reinen Luftverhältnisse wechseln."

jedno może być niebezpiecznie a drugie lekko chorobą dotknięte, choćby obadwa były tak podobne do siebie, ze względu na podatność. (zdolność ulegania chorobie), jak dwie próbki jednéj i téj samej nalewki baraniny.

Dalszą anologią przedstawiają fakta następujące: Kryptonim D. M. podał w *Timesie* wiadomość o epidemii tyfoidalnéj panującéj w Edynburgu. Pewien cyrkuł tego miasta zamieszkuje najliczniejsza klassa. Pozbawiony on jest ścieków i waterklozetów, a nieczystości pozostają przez długi czas po mieszkaniach i przy mieszkaniach. W nędznych klitkach ludność jest nagromadzona jak barany w owczarni, a jednak ani tyfus, ani błonica nie zajrzały do tych ognisk nieczystości. Podobnie rzecz się miała z nalewkami w doświadczeniach Tyndalla. 30 Listopada umieścił pewną ilość szczątków mięsa i ryb w dwóch dużych epruwetkach, które postawił w swéj skrzyni, obok czterech innych epruwetek próżnych. Gdy substancye te zgniły, wlał dnia 13 Grudnia do czterech próżnych epruwetek nalewki ryby, rzepy, wołowiny i baraniny. Przed przegotowaniem poddał je działaniu zakażonych gazów wydobywających się z dwóch epruwetek zawierających zgniłe substancye. 24 Grudnia nalewki w tych czterech epruwetkach były jeszcze czyste, lecz gdy za pomocą pipetki przeniósł do nalewki rzepy kropelkę cieczy gnijącéj, ilość nie większą, od używanej przy szczepieniu ospy,—nalewka nazajutrz zupełnie zmętniała. Potém zaraził minimalną ilością zepsutéj nalewki rzepy nalewkę ryby, która podobnież w dzień późniéj okazała się zepsutą. Tymczasem obok nich stojące próbki nalewki baraniny i wołowiny były aż do 4 Lutego tak czystemi jak woda destyllowana. Podobnież więc jak i powyżéj pomiędzy nędzarzami edynburskimi żaden gaz cuchnący nie mógł roznieść zarazy, dopóki organizmy stanowiące zarazę nie dostaną się do płynu.

Nietylko w powietrzu, lecz i we wszelkich wodach znajdują się zarodki bakteryi, jak to Dr. Burdon Sanderson dowodnie wykazał doświadczeniami. Stan jednak zarodków w wodzie bardzo się różni od powietrznych pod względem łatwości rozwoju. Gdy w wodzie są z powodu wilgoci zawsze usposobione do rozwinięcia się, skoro tylko zdarzy się stosowna okazya; zarodki zawieszone w powietrzu są mniéj lub więcéj wysuszone, tak że przy okolicznościach sprzyjających ich rozwojowi, potrzeba zawsze pewnego czasu dla doprowadzenia ich do tego stanu, w jakim się znajdują zarodki wodne.

Prędkość rozwijania się zarodków wodnych jest prawdziwie zadziwiająca. Cieniuteńki włosek szklany, zanurzony najprzód

końcem w nalewce lub wodzie zarażonéj a następnie przeniesiony do nalewki czystéj, wnosi w nią tyle i tak dzielnych zarodków, że już po dwunastu godzinach płyn zupełnie mętnieje, chociaż w tym czasie, kiedy te doświadczenia były czynione, t. j. w zimie, trzeba nalewki najmniéj kilka dni zostawić pod wpływem swobodnego powietrza, aby uległy podobnéj zmianie. Jedna i ta sama nalewka rzepy, przegotowana, dla zabicia zarodków w niéj znajdujących się, i zarażona dnia 31 Grudnia kropelką nalewki baraniny zawierającéj bakterye, zmętniała po 24-ch godzinach, gdy w nalewce przegotowanéj, lecz nie zarażonéj płynem i tylko pozostawionéj pod wpływem powietrza laboratoryjnego, nawet po pięciu dniach podobny skutek nie nastąpił.

Taka to jest różnica pomiędzy zarodkami, przygotowanemi zupełnie do rozwoju, a nieprzygotowanemi. Co się tycze znajdujących się w powietrzu, trudno wątpić o tém, że zdolność ich do rozwoju jest różna. Jedne są świeże, drugie stare, jedne suche, drugie wilgotne. Stosownie do zarodków, które wpadną w nalewkę, czas potrzebny do rozwoju w niéj bakteryi będzie różny. To daje nam prawdopodobne tłómaczenie różnego stopnia gwałtowności działania choroby epidemicznéj na rozmaite indywidua. U jednych okres wylęgania się choroby jest długi—gdyż zarodki mniéj były przygotowane do rozwoju; u innych krótki—gdyż zarodki były świeże i mogły zaraz swą pracę rozpocząć.

Trudno zaprzeczyć analogii pomiędzy gniciem nalewek a chorobami epidemicznemi, na którą Tyndall tak silny nacisk kładzie, tém więcéj, że bardzo znaczny zastęp uczonych skłania się ku zdaniu, że choroby zaraźliwe, a przynajmniéj wielka ich część, są skutkiem działania najniższych organizmów. Nad tą kwestyą pracuje bardzo wielu uczonych, i prawdopodobnie niezbyt odległa od nas przyszłość da nam ostateczne rozwiązanie téj zagadki. Jeśli dodatnio, według hypotezy Tyndalla, Budd'a, Sanderson'a, Hallier'a, Cohn'a i t. d. będzie rozwiązana, to wtedy bezwątpienia lepiéj się bronić będziemy umieli przeciwko chorobom zaraźliwym, gdyż poznawszy przyczynę, łatwiéj znajdziemy przeciwko niéj środki. Czy jednak zdołamy kiedy wygubić z ziemi zarodki tych chorób,—zgodnie z *pium desiderium* Pasteur'a, któreśmy na początku zacytowali, to rzecz jeszcze wątpliwa. Naprzód bowiem zarodki ultramikroskopijne nie są to wilki, które wygubiono w Anglii, lub inne zwierzęta, których teraz śladu prawie nie ma w Europie. Powietrze nie ma takich granic jak ląd stały, i jednociągłą massę na całéj kuli ziemskiéj stanowi. Choćbyśmy więc przedsiębrali najskuteczniejsze środki przeciwko zarazie w Europie, to jednak nad obsza-

rami innych lądów panowanie cywilizacyi nie jest tak potężne, aby i tam równie silna walka przeciw „niewidzialnym nieprzyjaciołom w powietrzu“ prowadzona być mogła. W krótkim więc stosunkowo czasie tumany zarodków naleciećby mogły z Azyi i Afryki i zanieczyściłyby powietrze Europy, które, dajmy na to, zdołalibyśmy „optycznie czystém“ uczynić. — Pomimo to jednak możnaby było złe znacznie zmniejszyć, gdyż nie ulega wątpliwości, że źródła zarodków i ich siedliska są często lokalne i czasowe.

Nasuwa się tu jeszcze jedna kwestya. Gdyby nawet na całym obszarze ziemi wygubiono zarodki, to czyżby po pewnym przeciągu czasu inne powstać nie mogły? Jest to kwestya samorodztwa, której bynajmniéj ani *Pasteur* ani *Tyndall* nie rozwiązał, i nikt rozwiązać nie może za pomocą doświadczeń podobnych do wykonanych przez powyższych uczonych. Wykazali oni, że w nalewkach powstają organizmy tylko z zarodków znajdujących się w powietrzu i że w powietrzu pozbawioném zarodków, nalewki nie psują się, czyli organizmy w nich nie powstają. Ale wykazali tylko tyle, i nic więcéj. Zkąd się zaś wzięły w powietrzu? Czy istnieją w niém od nieskończonéj wieczności, czy zostały stworzone i jakim sposobem? Czy nie mogą powstawać w zupełnie innych warunkach, niż dane w owych doświadczeniach, w takim przeciagu czasu jakiego potrzeba naprzyklad na zwietrzenie skały granitowéj? to jeszcze pytanie, którego dotąd nikt nie rozwiązał i nikt nie rozwiąże, dopóki nie wyjaśni w jaki sposób powstały organizmy na ziemi i w jaki sposób powstawały i nikły okropne zarazy w średnich wiekach, o których teraz wiemy tylko z historyi. Kwestya więc samorodztwa pomimo teoretycznéj i praktycznéj ważności doświadczeń *Pasteur'a* i *Tyndall'a*, pomimo zupełnéj porażki *Pouchet'a*, *Wymann'a*, *Bastian'a* i t. d. szukających samorodztwa w zatopionych rurkach, stoi jeszcze otworem dla śmiałego badacza. Jaki powinien być kierunek tych badań—to z góry nie da się napewno oznaczyć. To tylko jest rzeczą widoczną, że uczeni raz na zawsze powinniby się pozbyć nadziei rozwiązania téj kwestyi za pomocą nalewek i wejść na drogę badania *bezpośrednią*. Taką zaś drogą jest, według mnie, zbadanie szczegółów życia komórki istot najprostszych, zbadanie różnych odmian białka i szczegółów zachowania się ich względem siebie i warunków otaczających, oraz praca chemiczna nad syntetyczném otrzymaniem białka i jego odmian (1). Kwestye te badają ciągle rozmaite

(1) Bliżéj tę rzecz rozwinąłem w artykule: *Rzut oka na obecne stanowisko kwestyi samorodztwa.* Przyroda i Przemysł. 1875 Nr. 49, 50, 51, 52. Czytelnik znaj-

szczegółowe nauki, zwykle nie mając wyraźnie tego celu na względzie. Dla tego też zdaje się, że nie od *uczonego*, ale od *uczonych*, nie od *pojedynczych doświadczeń*, lecz od caléj *wiedzy* należy oczekiwać rozwiązania téj kwestyi. W obecnéj chwili, gdy o tém wszystkiém niedokładne jeszcze stosunkowo mamy pojęcie, jest to wskazywanie na daleki horyzont; ale dotychczasowe postępy biologii i chemii bynajmniéj nam nie odbierają nadziei— i owszem, wszelkich danych do utrzymania wiary w postęp wiedzy pod tym względem dostarczają.

Bronisław Reichman.

---

dzie tam także bliższe szczegóły o pracach Pasteur'a, Pouchet'a, Huizingi Bastiana, Onimus'a.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W 23 numerze *Niwy*, a więc jeszcze w Listopadzie roku zeszłego, p. Sewer, londyński korrespondent pism naszych, umieścił list: „w sprawie upadających posiadłości ziemskich.“

W liście tym zestawił autor dwie tułające się po dziennikach i tygodnikach pogłoski: jednę, że w I półroczu 1875 r. Towarzystwo Kredytowe Ziemskie wystawiło na sprzedaż 1465 majątków za nieopłacenie raty; — drugą, że toż samo Towarzystwo ma zamiar dla podtrzymania rolnictwa fundować gubernialne stacye doświadczalne czyli folwarki wzorowe.

Na tych opierając się podstawach, p. Sewer robi ironiczną uwagę, że stacye doświadczalne nie zastąpią braku kapitałów, że dla podniesienia rolnictwa użyć potrzeba nierównie energiczniejszego środka, a mianowicie: *parcellacyi*, która sama tylko uratować może wydziedziczanych rok rocznie właścicieli ziemskich, podnieść ogólną produkcyą a więc i bogactwo krajowe, a wreszcie—wpłynąć na zwiększenie ludności.

W końcu, wezwał autor Towarzystwo Kredytowe, aby ono wzięło na siebie rozwiązanie zadania podziału majątków zbyt wielkich na drobniejsze.

Że swéj strony redakcya *Niwy*, pochwaliwszy myśl zakładania stacyi doświadczalnych, a zaprotestowawszy przeciwko parcelacyi z uwagi na wciskający się germanizm, wezwała stronę najbliżéj zainteresowaną w sprawie, a mianowicie: obywateli ziemskich, żeby oni zdanie swe wypowiedzieli.

Taka jest geneza niezmiernie ciekawéj i pouczającéj rubryki w *Niwie* p. t. „W sprawie upadających posiadłości ziemskich,“ w któréj dotychczas pomieszczono już ośm artykułów rozmaitéj wprawdzie wartości, lecz natchnionych zawsze poważną i obywatelską myślą. Rubryka ta przynosi istotną chlubę redakcyi, nie

dlatego żeby w niéj wyczerpano kwestyą do gruntu, lecz dla tego, że stała się ona polem neutralném, na którém zetknęły się z sobą zdania samodzielne i różne. Dotychczas bowiem pisma nasze chorowały na tak zwany: „kierunek“, wobec czego wolno było tu i owdzie fałszować opinie bliźnich, kłócić się ze zdrowym rozsądkiem, zamykać oczy na prawdy jasne jak słońce, lecz nie wolno było drukować rzeczy „niezgodnych z tendencyami pisma“. Rubryką „w sprawie upadających i t. d.“ *Niwa* dała wyborną naukę dziennikarstwu naszemu, choć niestety! nie tylko inni, ale też i ona sama nie odniosła ztąd korzyści.

Lecz mniejsza o dziennikarstwo; przejdźmy raczéj do „sprawy upadających posiadłości ziemskich“, która rzuca niejakie światło na dzisiejszy stan naszego rolnictwa, a tém samém nie może być dla czytelników obojętną. Zamiast jednak streszczać poglądy pojedynczych autorów, postaramy się naszkicować kwestyą w zarysach ogólnych za pomocą ich własnych myśli. Nadmieniamy też, że w artykułach powyższych mówiono tylko o własności większéj, drobna bowiem na tytuł upadającéj chyba nie zasługuje.

Pytanie I. *Jaki jest stan obecny własności większéj?*

Jest zły, odpowiada bezimienny autor artykułu Nr. II, lecz nie tak jak go przedstawiają ogłoszenia o sprzedażach. Ogłoszenia te tylko z pozoru są straszne: Towarzystwo Kredytowe co pół roku wystawia setki dóbr na sprzedaż, z tego tylko powodu, że wielu właścicieli stara się raty Towarzystwa zepchnąć na ostatni termin. Gdy termin taki nadejdzie, opłata się uiszcza, skutkiem czego naprawdę niewielki tylko procent dóbr ulega sprzedaży. Tak np. dnia 13 maja 1875 roku było pod sprzedażą dóbr 1091, z których 953 opłaciło raty, pozostało w zawieszeniu 128, a tylko 10 sprzedano. W rezultacie w ciągu czterech półroczy sprzedano razem 64 majątki; ponieważ zaś dóbr stowarzyszonych znajduje się 6864, wypada więc, że z téj cyfry tylko o 86% rocznie ulega katastrofie.

Procent ten jest zapewne mniéj groźny od owéj cyfry 1465 dóbr wystawionych na licytacyą, w każdym razie jednak daje smutne o rolnictwie świadectwo. Istnieje przecież Towarzystwo Kredytowe dla m. Warszawy, które w roku zeszłym posiadało już 2185 członków; trzeba zaś było słyszeć zdumienie prassy i ogółu na wieść, że z pośród tylu członków po sześciu latach znalazł się *jeden*, któremu dom sprzedać mają!... A i ten się wykupił.

Z większemi majątkami jest zatém źle według bezimiennego autora; gorzéj przecież jest według p. Karola Koźmińskiego, który przypomina, że jeszcze w roku 1860 czy 1861 b. Towarzystwo

Rolnicze oceniało długi hypoteczne naszych dóbr przeszło na 70% (!) wartości i twierdzi, że: „przeważna liczba majątków albo od większych punktów handlowych odsunięta, albo lichszą posiadająca ziemię, postawiona jest w tak smutnych teraz warunkach, iż o dalszéj możności prowadzenia gospodarstwa wątpić przychodzi.“

Inny autor, mianowicie: *Młynarz z nad Warty*, nadmienia wprawdzie, że są majątki dobrze zagospodarowane, w których włóka ziemi płaci się po 3 do 4 tysięcy rubli, lecz że istnieją inne w téj saméj glebie, za które tylko tysiąc a nawet i 500 rubli otrzymać nie zawsze można. Twierdzi autor, że gospodarstwo rolne folwarczne dobrze prowadzone, jest dobrym interesem, że może przynosić u nas 5% do 6%, kiedy za granicą najlepiéj prosperujące dają 3%—4%, lecz dodaje niebawem: „Lata klęsk i nieurodzajów, w połączeniu z kryzys pieniężną, *dla wielu* już zamykają drogę przedłużenia dalszém nadużywaniem kredytu zwichniętéj w zasadzie egzystencyi, stawiając ich oko w oko wobec tego straszydła, które się nazywa bankructwem, krachem, a daléj ze stojącą za niemi nędzą, wstydem i cywilnym pogrzebem żyjącéj jeszcze rodziny.“

Nierównie chłodniéj i spokojniéj zapatruje się na tę kwestyą p. *Edmund Stawiski* w pracy: „Kilka uwag z powodu artykułów w sprawie i t. d.“ Zwraca on przedewszystkiém uwagę na to, że, „nie masz nic zdradliwszego nad zbyt ogólne pytania i odpowiedzi,“ że straty jakim uległy majątki ziemskie są bardzo niejednakowe i od mnóstwa czynników zależą, że nie można powiedzieć, czy obdłużenie sięgające $^1/_2$, $^2/_3$ lub $^3/_4$ wartości majątku jest przeciążające lub nie przeciążające: zależy to bowiem z jednéj strony od wysokości dochodów, z drugiéj od wysokości procentów tudzież kosztów utrzymania domu i gospodarstwa, że wreszcie są majątki które pod wpływem klęsk i niepowodzeń kilkunastu lat ostatnich straciły większą część lub całą wartość, a są i takie, które utraciły niewiele.

Kończy autor sprawiedliwą uwagą, że mimo złe warunki klimatyczne, ekonomiczne i społeczne, nie można twierdzić, żeby „udoskonalenie i postęp nie były możliwe, a zyski z rolnictwa i korzyści z posiadania ziemi w ogólności niepodobne.... Dole i niedole rolnicze często się zmieniają, a jako pewnik uważać można, że żaden rodzaj przemysłu prędzéj się nie dźwiga przy sprzyjających okolicznościach niż rolnictwo.”

Z poglądów powyższych czytelnik łatwo wyprowadzi wniosek, że większe posiadłości ziemskie stoją nieosobliwie i że podzie-

lić je można na trzy kategorye: kwitnące, zrujnowane i środkujące między dwiema poprzedniemi klassami; ściśle jednak rzeczy biorąc, opinie, które wysłuchaliśmy dotychczas, są tylko ogólnikami, może być prawdziwemi, lecz w każdym razie niewystarczającemi. Chcąc dokładnie rozstrzygnąć kwestyą tego rodzaju, należałoby zestawić przeszły stan majątków z obecnym, ich dochody z wydatkami, to czém są z tém czém mogły być i być powinny, gdyby np. od czasu uwłaszczenia gospodarowano w nich porządnie. Przypuszczamy jednak, że nie tylko żaden publicysta, ani żadna władza w kraju materyałów podobnych nie posiada, ale, co gorsza, że sami nawet właściciele większéj części dóbr nie mają o podobnych zestawieniach należytego wyobrażenia.

Na podstawie statystyki o odpowiedź także trudno, dat bowiem wystarczających brakuje, choć może te jakie są rzucą trochę niepewnego światła. W r. 1871 we wszystkich guberniach ilość ziarn otrzymana przez właścicieli większych, przewyższała ilość ziarn zebranych z pól włościańskich; zjawisko to powtarza się podobno co rok i zdaje się dowodzić, że uprawa własności większéj jest lepszą niż włościańskiéj.

Lecz istnieje i odwrotna strona medalu. Mamy pod ręką cyfry dotyczące gubernii Kieleckiéj, w któréj u włościan znajduje się 38,3% ziemi, a u właścicieli większych, rządu i t. d. 61,7%. Otoż kiedy włościanie w téj gubernii mają 55,600 koni, 140,000 bydła, 75,000 świń, pozostała reszta rolników posiada koni 17,300, bydła 41,000, świń 19,000. Nieproporcyonalność jest tak rażąca, że nie śmiemy wierzyć w jéj istnienie, lecz gdyby była prawdziwą, nietylko świadczyłaby o niższości gospodarstw większych w obec włościańskich, ale nawet stanowiłaby argument przeciw potrzebie i możności egzystowania dóbr wielkich.

Z tém wszystkiém jednak powtarzamy raz jeszcze, że do odpowiedzi na pytanie: jaki jest stan obecny własności większéj? prócz powszechnych biadań o niewypłacalności rolników nie mamy materyałów. O ile w ciągu kilkunastu lat ostatnich wartość i dochody jednych dóbr podniosły się, innych zniżyły, ile majątków należy do pierwszéj, a ile do drugiéj kategoryi, o tém nie wiemy.

II. Przyczyny upadku. Młynarz z nad Warty w artykule IV przedstawia je w rozwoju historycznym. Do roku 1861 istniała pańszczyzna, rok ten przyniósł okup, skutkiem czego system gospodarstwa należało zmienić. Jakoż ochoczo wzięto się do reformy na folwarkach z pańszczyzny ogołoconych, poczęto wznosić budowle dla robotników i inwentarzy, urządzano płodozmiany, spro-

wadzano z okolic ludniejszych, tudzież z Galicyi i Poznańskiego kopiarzy, komorników, ogrodników, którym budowano na prędce mieszkania, obórki i t. d., jedném słowém starano się zastąpić pańszczyznę.

Na dnie jednak, całéj téj bardzo zresztą rozsądnéj działalności leżał jeden ciężki błąd, oto: *Chciano się utrzymać przy majątku i obrabiać te przestrzenie, jakie dawniéj pańszczyzna obsługiwała,* czyli dobrowolnie przyjęto na barki zbyt wielki ciężar, wobec zmniejszenia sił roboczych i wzrostu kosztów. Z tym błędem najświeższym łączyły się jeszcze dwa dawniejsze: naprzód wielu obywateli kupowało majątki prawie bez pieniędzy, płacąc gotówką część wartości, a resztę rozkładając na raty, inni zaś i bez téj operacyi mieli już dobra obdłużone; powtóre, grunta uprawiane za pomocą pańszczyzny, jako bardziéj odległe od folwarku, były wyjałowione.

Nadszedł rok 1863, który wszystkie oszczędności pochłonął, a następnie 1864, w którym stracono wiele nowo-wzniesionych budynków, parobcy stali się właścicielami, zyskano serwituty i listy likwidacyjne z bardzo nizkim kursem. Z czasem wzrosły ciężary publiczne, opłaty gminne, zdrożał robotnik, przyszły lata nieurodzaju, niewypłacalność, brak kredytu i lichwa.....

Stan dzisiejszy wsi zbyt jest znany, żebyśmy się mieli nad nim rozwodzić. Na wzmiankę przecież zasługują intrygi pisarzy gminnych i tym podobnych indywidów, które rozpuszczając wieści „o nowych pomiarach" i nowém nadaniu gruntów, o tém że włościaninowi już wszystko wolno, niemało przyczyniły się do zaognienia stosunków między większą i mniejszą posiadłością i do wzmożenia zamętu.

Do przyczyn miejscowych upadku przybywają jeszcze ogólniejsze, które sformułował p. E. Stawiski: *a*) zmiana w stosunkach handlowych, skutkiem napływu zboża amerykańskiego i rossyjskiego, *b*) napływ wełny australskiéj, *c*) trudność sprzedaży bydła za granicą skutkiem surowszéj kwarantanny. Co do wzrostu wydatków, tenże sam autor twierdzi, że w ciągu kilkunastu lat podatki i opłaty podniosły się o 260%, koszt utrzymania ludzi o 33%, koszt najmu o 50%.

Istotnie, w obec tego nagromadzenia klęsk i błędów dawniejszych i uciążliwości obecnych robi się niedobrze. To też p. Karol Koźmiński mówi, że nie tyle upadkowi gospodarstw dziwić się należy, ile raczéj temu, że właściciele ich jeszcze wydziedziczonymi nie zostali. Przypisać to należy w pewnéj części cierpliwości wierzycieli, którzy: „wolą znosić niewypłacalność procentów

byle do subhastacyi nie dochodzić. Subhastacya naprzód pociąga za sobą wydatki, a wieńczy dzieło przysądzeniem na własność dziedzictwa, które dziś za cierniową koronę uważać należy.“

Co głowa to rozum, mówi przysłowie nasze, do którego dodaćby można drugą formułę: co obserwator, to zdanie. Inni bowiem nieco inaczéj zapatrują się na rzeczy. Bezimienny autor artykułu II mówi: „Należy przyznać, że z wyjątkiem pewnego procentu gospodarstw upadłych (ale jak wysoki jest ten procent?) stan *znacznéj większości* majątków ziemskich *podniósł się znakomicie*, dzięki heroicznéj prawie wytrwałości właścicieli ziemskich, aby się na zagonie ojczystym utrzymać. Czy wszelako drogi obrane przez gospodarzy krajowych do podniesienia produkcyi, są zawsze właściwe, oto jest pytanie?

Inny autor, Młynarz z nad Warty, utrzymuje, że: „istota majątku, *w największéj liczbie* przypadków, jeszcze nie zupełnie stracona. Gdyby się można zlikwidować, gdyby się znalazł kupiec, któryby zapłacił wedle bieżących cen handlowych w okolicy, za majątki w pewnéj już kulturze będące praktykowanych, lub gdyby można jeden lub drugi folwarczek rozparcellować między włościan nawet z poświęceniem niedawno postawionych budowli folwarcznych, to jeszczeby została na czysto większa lub mniejsza część mienia.“

Odbiegliśmy mimowoli od treści odpowiadającéj tytułowi tego ustępu; wracając więc do niego i reassumując przyczyny upadku własności większéj, użyjemy naprzód porównania. Wyobraźmy sobie, że właściciel ziemski jest żołnierzem, majątek bronią, a klęski losowe i inne uciążliwości, długi i t. d. nieprzyjacielem, z którym walczy. Walka ta była dotychczas nieszczęśliwą, choć przegraną jeszcze nie jest; otoż zachodzi pytanie, jakie były przyczyny niepowodzeń?

Przyczyny te były trojakie. Naprzód siła nieprzyjaciela, o czém mówiliśmy już wyżéj. Powtóre wady broni czyli majątków, do których podług p. Stawiskiego należą: złe grunta, ich rozrzucenie, wielka odległość, obciążenie służebnościami. Potrzecie, wady samego żołnierza, to jest właściciela.

O téj przyczynie upadku mówi się albo za wiele, albo za mało, albo niesprawiedliwie, albo zbyt pobłażliwie; postaramy się uniknąć tych błędów i przedstawić kwestyą objektywnie.

Gdyby istniał jakiś trybunał kompetentny do wyrokowania w sprawach tego rodzaju, niezawodnie powiedziałby właścicielom ziemskim: że mieli oni wady i cnoty, nie byli ani lepsi ani gorsi od innych, robili źle i dobrze. Na téj zasadzie wszelkie nawoły-

wania i wymówki uważamy za niewłaściwe. Nawet błędy przeszłe przydać się mogą, jeżeli się ich nie powtarza, lecz raczéj korzyść odnosi w przyszłości.

Otoż pierwszym z nich, który nie powinienby się powtarzać jest zarozumiałość i pycha, z powodu których większa część szlachty naszéj ceniła tylko swoję klassę i jéj tradycye, spoglądając na olbrzymią większość społeczeństwa z góry, uważając ją za massę upośledzoną, zbiór dzieci lub stado inwentarza. Zasklepieni sami w sobie, nie zastanawiali się nad położeniem kraju, ani nad zmianami jakie w nim czas zaprowadzić kiedyś musiał. Cierpienia ogółu mogły ich co najwyżéj pobudzić do litości, lecz nie do pracy wspólnéj. Z tych też powodów choć często bywali za granicą, choć wielu z nich połowę życia tam przepędziło, nie nauczyli się niczego od obcych. I nie dziw! żyli oni tylko z podobnymi do siebie,

Drugą wadą był brak ukształcenia; obywatele ziemscy stanowili i klassę rolniczą, i klassę panującą w kraju, nie posiadali jednak ani ukształcenia fachowego, ani ogólnego. Prócz nierozumianych frazesów o produkcyi, konsumcyi, obowiązkach i t. d., obcą im była zarówno ekonomia, statystyka, historya, geografia, jak chemia i buchhalterya. Niech uważny badacz rozpatrzy tylko klęski, jakie w ostatnich czasach spadły na kraj, a niezawodnie między przyczynami ich znajdzie nieznajomość nauk powyższych w klassie, która czoło narodu stanowiła,

Trzecią wadą była nieznajomość poważnéj strony życia i lekkomyślność. Szlachcic umiał być rozmowny, elegancki, strzelał, jeździł konno, rozmawiał kilku językami i tańcował, ale nie wierzył w pracę, oszczędność, rachunkowość, nie myślał też o przyszłości: jemu i jego przodkom pieniądze spadały z nieba; on i jego przodkowie długi płacili kiedy im się podobało; to też gdy wybiła godzina niedoli, większość ich znalazła się w pozycyi lunatyka gwałtownie obudzonego.

Ostatniém nareszcie nieszczęściem był brak solidarności, naprzód całéj klassy z ogółem, a teraz nawet i jéj członków pojedynczych między sobą. To też wielu z nich walczy bohatersko z losem, lecz każdy na własną rękę, po hercegowińsku, zapominając niestety! że klęski atakują zazwyczaj w ściśniętych kolumnach.

Straszne to były braki, lecz trudno na dziś żyjących składać za nie odpowiedzialności. Tak ich wychowano, takie było otoczenie. Zresztą mówiąc o złych, niepodobna i stron dobrych pominąć; niepodobna zaprzeczyć, że wszystkie najszlachetniejsze

przymioty naszego społeczeństwa, jak poczciwa duma, honor, wspaniałomyślność, poświęcenie, jaśniały wśród téj klassy.

W niepowodzeniach najlepiéj uwydatnia się charakter człowieka: otoż nie należy zapominać, że większość tych, którzy potracili ogromne nieraz majątki, wzięła się do pracy na skromnych nieraz i bardzo skromnych stanowiskach, spokojnie, z czołem podniesioném, bez deklamacyi i blagi. Jednym z najwspanialszych widoków na ziemi, są ludzie umiejący z godnością odpokutować za błędy klassy i przeszłości, spaść z wysoka po to, aby moralnie podnieść się jeszcze wyżéj!

Na błędy samych właścicieli stanowiące trzecią część przyczyn upadku posiadłości ziemskich, autorowie cytowanych artykułów *Niwy* bardzo pobieżną tylko zwracali uwagę. Uważaliśmy za właściwe brak ten uzupełnić, nie dla robienia wyrzutów walczącym, nie dla natrząsania się nad upadłymi, ale poprostu dla wskazania jednego z najważniejszych środków ratunku.

III. Środki zaradcze.

Pod tym względem jest nieco więcéj zgodności w artykułach *Niwy*, aczkolwiek z niektórych widać, że są pisane dorywczo i całkowicie nie wyczerpują kwestyi.

Tak bezimienny autor II radzi dźwigać się wolno, cierpliwie, oszczędnie a porządnie, wystrzegając się kapitałów obcych. Według niego też trzeba uprawiać łąki, podnosić plony, regulować służebności, poprawiać środki kommunikacyjne, porozumiewać się i działać zgodniéj niż dotychczas.

Tenże sam autor w odpowiedzi na zarzut p. Sewera, że Tow. Kredytowe nie dba o parcellacyą przytacza, że od I półrocza 1872 do I półrocza 1875 podzieloro 215 dóbr z pożyczką Towarzystwa na 525 części. Parcellacya zatém, o ile jest możliwą, postępuje.

Pan K. Koźmiński, który w najczarniejszych kolorach widzi przyszłość większych posiadłości, mówi: „Właścicielom nadmiernie obciążonych wierzytelnościami majątków, jedno tylko radzić można, to jest, jak najrychlejsze własnowolne likwidowanie się. Tym tylko sposobem ocalić mogą choćby okruchy mienia... Przedłużając dotychczasowy żywot, przedłużą konanie—okruchy zginą, a w tedy... Wiem, że tego rodzaju pogląd na rzeczy, w opinii naszéj niepopłatny, ale może dlatego też i dlatego doszliśmy do położenia, z którego wyjście jeżeli możliwe, to coraz i coraz trudniejsze.“

Parcellacyą, któréj się redakcya *Niwy* obawia, p. K. pochwala stanowczo; co większa, radzi w najgorszym razie część pól opuścić, a tylko najlepszą wziąć pod uprawę. Radę tę popiera przy-

kładem, który wykazuje, że korzystniéj jęst uprawiać 300 morgów porządnie, niż 600 licho, bo zyski są te same a kłopoty mniejsze.

W końcu szan. autor gorąco przemawia do współobywateli, aby się nie łudzili nadzieją regulacyi serwitutów na drodze urzędowéj, lecz sami układali się z włościanami o ich zniesienie, nie cofając się przed żadną ofiarą, o ile naturalnie takowa leży w granicach możliwości.

Młynarz z nad Warty, po bardziéj wyczerpującém przedstawieniu kwestyi, zaleca następujące środki: dobrowolna częściowa lub zupełna likwidacya, utworzenie banku hypotecznego, któryby udzielał pożyczek na pierwszy numer po Towarzystwie, ułatwienie kredytu hypotecznego i osobistego, przez wprowadzenie odpowiedzialności osobistéj, wreszcie rozwinięcie tych gałęzi przemysłu, które mają związek z rolnictwem.

Pan Edward Kossecki stawia na czele zasadę samopomocy, i radzi średnio zamożnym posiadaczom nie oglądać się ani na magnatów, ani na bankierów, lecz działać własnemi siłami i solidarnie. Jako środki zaś zaleca: utworzyć bank hipoteczny, wyjednać w Banku Polskim pożyczki na ruchomości, tudzież dziewięcio a przynajmniéj sześciomiesięczny kredyt w filiach. Daléj radzi założyć towarzystwo ubezpieczeń na wzajemności oparte, oddać intelligencyi wiejskiéj dozór nad drogami gubernialnemi, a wreszcie wyjednać, aby Tow. Kredytowe w miarę umarzania długów udzielało pożyczki na melioracye, lecz tylko na melioracye.

Pan Floryan Urbanowski radzi aby Tow. Kredytowe postarało się o utworzenie banku rolniczego, wspomina o takich instytucyach w Anglii, Francyi, Prussiech i Rossyi. Pan Jacek Soplica żąda, aby Tow. Kredytowe zajęło się utworzeniem banku i towarzystwa melioracyjnego, i stawia za wzór podobne instytucye w Anglii, Francyi i Prussiech.

Pan Edmund Stawiski wreszcie zgadza się na likwidacyą tam gdzie jest ona konieczną, i radzi przedewszystkiém poprawić wady organiczne majątków (serwituty, grunta rozrzucone, złe i odległe). Radzi rozparcellowywać części majątku między swoich, zwraca też uwagę na prowadzenie gospodarstw spółkowych i na przyjęcie w pewnych razach systemu dzierżawy opłacanéj produktami.

W pracy p. Stawiskiego jest wiele uwag sięgających do głębi kwestyi. „Trzeba stosować środki do ilości posiadanéj ziemi, mówi w jedném miejscu, nie spuszczać z oka postępów nauki, rachować się w ich stosowaniu z warunkami miejsca i czasu, znać doskonale naturę otaczającą, nie opuszczać rąk, a nadewszystko jak w każdym zawodzie i całém życiu, mieć hart i wytrwałość

umieć się mierzyć z losem i przeciwnościami. *Charakter człowieka i wola jego są podstawą jego losów wszędzie. Nie trzeba za najwyższy cel życia uważać dostatków, a za największą niedolę ani za wstyd, ubóstwa niezasłużonego.*"

W artykule p. Stawiskiego są ustępy godne publicysty filozofa. Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia słów charakteryzujących obecne położenie i możliwą przyszłość naszego społeczeństwa.

„Jesteśmy w trudném przejściu; obyśmy z tego przejścia tę cząstkę korzyści, jaka się da osiągnąć, wydobyć potrafili! Przechodzimy w inną formacyą społeczną. Historycznie wyrobiły się u nas warstwowania pokładów społecznych, leżących obok siebie lub nad sobą, tak jak pokłady geologiczne. Ten układ warstwowy obecnie miesza się. Wszystkie porody nowych kształtów społecznych są belesne. Ale jeżeli z tego wyniknie, że kiedyś ujrzy się tutaj, w miejsce dwu ostateczności, to jest: wielkich gospodarstw folwarcznych i małych, ubogich gospodarstw włościańskich, kraj zasiany gospodarstwami stopniującemi się, według natury położenia, od małych ogrodowych pod wielkiemi miastami, do większych, średnich i wielkich w miarę odległości od centrów handlu i zbytu, natury gleby i różnych środków zamożności; jeżeli tym sposobem wszystka ziemia zostanie dobrze spożytkowana, wszystkie kapitały szukające lokacyi w ziemi, mniejsze i większe dobrze umieszczone, praca korzystnie użyta, zastęp służących i proletaryatu folwarcznego zmniejszony; to przyszłość będzie mogła powiedzieć, że zyskała na téj przemianie. Jeżeli znowu z drugiéj strony to przejście, które przebywamy, zmodyfikuje przedział istniejący pomiędzy miastami i wsiami, przyczyni się do pchnięcia do ziemi pewnéj części mieszkańców miast, a nawzajem pchnięcią do miast nowego elementu, wzruszy zaskrzepłą i prawie butwiejącą warstwowość, podniesie zamiłowanie rzemiosł i kunsztu, a podkopie nędzne kramarstwo i lichwę, w miejsce ich stawiając stowarzyszenia i dobrze zrozumiany interes zbiorowy; to przyszłość także będzie mogła powiedzieć, że na tém zyskała. Ale, zwracamy na to pilną uwagę, sama przez się ewolucya, jaką przebywamy, tych błogich następstw nie sprowadzi. Porusza ona tylko z miejsca wiele rzeczy i wiele osób; pomyślne skutki zależeć będą wyłącznie od kierunków i dróg, jakie poruszone elementa własną wolą i siłą wytworzą. Uwaga powyższa tak dalece jest prawdziwą, że sami nawet włościanie, mimo korzystnego stosunkowo położenia, jakie im prawo zabezpiecza, gdyby z niego korzystać nie umieli, zostaliby z upływem czasu wykupywani częściowo, jak się to dzieje

w wielu miejscach Niemiec i Ks. Poznańskiego, albo zrujnowani lichwą i wódką przez Żydów i powoli wypychani przez nich z ziemi, jak się to dzieje w wielu okolicach Galicyi i innych częściach Austryi.“

Wracając do środków zaradczych podanych w *Niwie*, nie wiele mamy o nich do powiedzenia. Dobrą jest likwidacya zupełna dla jednych, odcięcie i sprzedaż zbytecznéj ziemi dla innych, uregulowanie serwitutów, kółka rolnicze, banki, towarzystwa melioracyjne i t. p. rzeczy dla wszystkich; są to jednak półśrodki. Któż bowiem ma zbyć dobra dla ocalenia resztek lub zaspokojenia dłużników, kto ma poprawiać majątki, kto zaciągać pożyczki, jeżeli nie właściciel? On jest duszą majątku, on żołnierzem wojującym z okolicznościami, a na co się zdała najlepsza broń, najmniéj wymagający sprzymierzeniec, najznakomitszy plan, jeżeli żołnierz jest lichy?

Łudzimy się wskazując na banki i towarzystwa melioracyjne jako na wyłączne środki ratunku, jako na wystarczającą reformę. Ludzie niech się zmienią, niech posiądą naukę, zapał do pracy, oszczędność, uczucie solidarności, niestrudzoną energią i zabiegłość a reszta sama się znajdzie. I bez banków dadzą nam pieniądze, gdy będą pewni zwrotu kapitałów i procentów.

Jest przecież po za obrębem tego jedna niesłychanie pilna reforma, bez któréj nie można prawie myśleć o podniesieniu własności większéj, a nawet pomyślnym rozwoju włościańskiéj, a mianowicie: uregulowanie służebności. Jak wielki to ciężar, cyfry przekonają nas najlepiéj.

Prawo służebności pastwiskowych przysługuje 299,837 osadom (w cyfrach okrągłych 300,000), leśnych na opał 241,859 (weźmy 240,000), leśnych na reparacyą budynków 168,807 (weźmy 168,000), na ściółkę 86,433.

Przyjmijmy w osadzie tylko 2 sztuki bydła (jest ich więcéj); przypuśćmy, że koszt utrzymania ich na pastwisku wynosi rubla od sztuki, choć zazwyczaj za latowanie płaci się po kilka rubli. Przypuśćmy daléj, że każda osada bierze tygodniowo drzewa na opał za 30 kop., co czyni rocznie 15,60 rs. że na *reparacyą* budynków wychodzi rocznie drzewa za 2 rs. Cyfry powyższe są fantastycznie małe, lecz zobaczmy rezultaty:

Służebności pastwiskowe kosztują rocznie	600,000	Rs.
„ opałowe	3,744,000	„
„ reparacyjne	336,000	„
Razem nie licząc ściółki	4,680,000	Rs.

Co stanowi 5% od kapitału 93,600,000 rs., gdy listów indemnizacyjnych wypuszczono tylko na 66,000,000 rs.

To też nie dziw, że p. W. C. z Dobrzyńskiego dał włościanom dla uregulowania służebności po 6 morgów gruntu na 4-morgową osadę! Miał on 21 włókowy majątek, z którego 3 włóki z powodu służebności próżnowały, w dodatku zaś doświadczał nieustannych gwałtów i zatargów. Lecz od chwili układu zapanował spokój, p. W. C. pozyskał własność, włościanie zaś jego najlepsi sąsiedzi obecnie, doszli po pięciu latach do grosza, i dziś kupując grunta, płacą po 450 rs. gotówką.

Najzupełniéj więc podzielamy zdanie p. Koźmińskiego co do potrzeby szybkiego uregulowania serwitutów, i wraz z nim radzimy nie oczekiwać na pomoc zewnętrzną, lecz pozbywać się ciężaru na drodze układów dobrowolnych. Nawet znaczne ustępstwa w tym kierunku nie mogą być uważane za ofiarę, lecz raczéj za dowód dobrze zrozumianego interesu własnego

Zdarzają się, co prawda, przy układach przeszkody szczególnego rodzaju, mianowicie, że pewne indywidua łudzą włościan zarówno nierozsądnemi jak i szkodliwemi dla społeczeństw nadziejami i paraliżują ugodę, Na to przecież są środki: skarga do władz i ogłoszenie faktu w dziennikach.

W rezultacie najważniejszą zaletą rubryki „w sprawie upadających posiadłości ziemskich,“ jest to przekonanie, do jakiego czytelnik koniecznie przyjść musi, że nawet ludzie obeznani z potrzebami rolnictwa nie mogą stanu jego w sposób wystarczający przedstawić, z powodu braku materyałów statystycznych. Brak ten należy do największych nieszczęść kraju naszego, którego dokładnie nie znamy, nie wiemy co posiada, co w nim jest złego i upaść musi, a co dobrego i na czém przyszłość społeczeństwa oprzeć się powinna.

To też potrzebę dokładnéj statystyki czują dziś nietylko władze, nietylko publicyści, ale i obywatelstwo ziemskie. Najświeższym wyrazem tego poczucia, jest artykuł p. Gustawa Wiercieńskiego w Nr 27 Gazety Lubelskiéj, p. t. *Kilka myśli w przedmiocie statystyki rolniczéj*.

W artykule tym autor robi przedewszystkiém wzmiankę, że obywatelstwo jednego z powiatów gubernii Lubelskiéj, mianowicie: Janowskiego, *zbiera już wspólnemi siłami materyały do statystyki rolniczéj*, a następnie zawiadamia, że otrzymawszy pozwolenie i poparcie ze strony władzy, sam przystępuje do zbierania materyałów w całéj gubernii. Następnie podaje p. Wiercieński tytuły głównych działów, wraz z poddziałami. Tytuły te są:

Wstęp. Opis okolicy pod względem topograficznym i meteorologicznym. *Własność mniejsza*. Opis wsi: budynki, inwentarze, charakterystyka ludności, gospodarstwa rolne, sposoby zarobkowania, własności wspólne, ludność przed laty 10-ciu, 5-ciu i obecnie, ilość domów mieszkalnych, podział, pochodzenie i ruch ludności, religia, zakłady wyrabiające i sprzedające wódkę, sklepy, kramy. Sadownictwo, szkoły, rekrutacya, szpitale, przemysł i handel, kassy oszczędności, podatki rządowe, podział własności stosownie do opłacanych podatków, środki kommunikacyjne, a wreszcie ogólny pogląd na stan ludności wiejskiéj, jéj wymagania od rządu i właścicieli większych.

Własność większa. Opis topograficzny i t. d., inwentarze, kultura, machiny i narzędzia rolnicze, melioracye, zakłady przemysłowe, uwagi ogólne.

Z powodu braku miejsca, kategorye p. Wiercieńskiego przedstawiliśmy bardzo pobieżnie. Nie sądzimy jednak, aby one i w oryginale były o wiele systematyczniejsze, choć niewątpliwie praktyka zaprowadzi w nich więcéj ładu.

Pan W., o ile wiemy, został obecnie sędzią gminnym, inni promotorowie tych idei podobne przyjęli obowiązki, sprawa więc statystyki rolniczéj w gubernii Lubelskiéj może zasnąć, choć nie powinna. Lecz na wszystko jest sposób: niech p. W. w swoim okręgu sądowym sam lub przy pomocy którego z intelligentnych sąsiadów zbierze materyały odpowiednie, niech swój sposób postępowania i tablice ogłosi drukiem, a wówczas niewątpliwie inni naśladować go zechcą. W każdym razie p. Wiercieński cofnąć się już nie może, powtarzamy to z naciskiem: myśl jego bowiem płodna jest w nieobliczone następstwa, a ogół zawsze lubi czekać na przykłady gotowe.

* * *

Do środków mających na celu zmniejszenie śmiertelności w kraju naszym, o czém mówiliśmy w ostatnim zeszycie, przyłączyć należy jeden jeszcze bardzo poważny, mianowicie: miejskie komissye sanitarne.

O ile nam wiadomo, istnieją one w kilku miastach gubernialnych kraju. Z liczby ich komissya warszawska badała onego czasu mieszkania stróżów, wodę niektórych studzień (w domach najgwałtowniéj zaatakowanych przez cholerę), łaźnie żydowskie, artykuły żywności; lecz sprawozdania swoje ogłasza w dozach homeopatycznych i w ogóle w działaniu nie okazuje zbyt gorączkowego pośpiechu. Inna komissya, mianowicie lubelska, rozpatry-

wała wodę studzienną, a zdaje się kaliska (?) zrobiła niewiele więcéj.

To też wobec ogólnéj ospałości stróżów publicznego zdrowia, ruchliwość i energia komitetu sanitarnego piotrkowskiego robi miłe nadzwyczaj wrażenie. Komitet ten badał mieszkania, rynsztoki, zlewy, miejsca ustępowe, studnie, wszędzie udzielając właścicielom rady i wskazówki, a w najgorszym razie krusząc ich konserwatyzm za pomocą policyi. Ciekawe są między innemi próby wody studziennéj dokonane przez Drów Kańskiego i Strzyżewskiego, z których okazało się, że z 23 badanych studzień 13 jest bezwarunkowo, a 10 mniéj szkodliwych.

Na pochwałę zasługują rewizye artykułów żywności, zbieranie dat ze statystyki zdrowia i projekt bliższego oznaczania przyczyn śmierci.

Najbardziéj jednak ciekawém i pouczającém było sprawozdanie Dra. Strzyżowskiego, dotyczące obszerności szkółek miejscowych. Sam sprawozdawca z góry zastrzega, że zbyt wielkich wymagań stawiać nie będzie. Wprawdzie bowiem Erismann żąda, aby dziecko w szkole miało od 16—25 stóp □ powierzchni, około 200 stóp sześciennych powietrza, na 1 stopę □ pokoju 30 cali □ okien, i aby pokój miał najmniéj 10 stóp wysokości; Dr Strzyżowski jednak poprzestaje na 120 stopach sześć. powietrza i 1 stopie □ okna na 40 stóp przestrzeni kubicznéj.

Tak skromne wymagania zestawia Dr. Strzyżowski z warunkami istniejącemi w szkółkach piotrkowskich i otrzymuje następujące rezultaty:

Nazwa Szkoły.	Liczba dzieci uczęszczających lub zapisanych.	Wysokość pokoju w stop. bieżących.	Ilość stóp sześc. powietrza.	1 stopa kwadratowa okien przypada na stóp sześcl. pokoju.	Ile dzieci uczęszczać może?
Elementarna szkoła prawosławna.	30	8½	160	168	40
Ewangelicka elementarna szkółka.	28	10	121	110	30—35
Żydowska elementarna szkółka.	54	10	52	93	30

Nazwa Szkoły.	Liczba dzieci uczęszczających lub zapisanych.	Wysokość pokoju w stopach bieżących.	Ilość stóp sześciennych powietrza.	1 stopa kwadratowa okien przypada na stóp sześciennych pokoju.	Ile dzieci uczęszczać może?
Katolicka elementarna szkółka.					
a). 1-szy oddział dla chłoców.	80—100	9	32—40	116	25—30
b). 2-gi oddział żeński.	80—100	11½	36—45	130	30—35
c). 3-ci oddział dla starszych.	40—50	11	60—75	87	25—30

Dodajmy do tego, że w szkole prawosławnéj ściany są brudne, ławki niestosownie ustawione, że w szkółce żydowskiéj okna zwrócone są na kanał, że w oddziale 1-szym szkoły katolickiéj, ściany brudno żółte i wilgotne, podłoga mokra i w niektórych miejscach przegniła od wilgoci, że wreszcie pod pokoikami oddziału 3-go znajduje się wilgotny korytarz, a mieć będziemy obraz stanu szkółek w Piotrkowie. Jakie zaś one są gdzieindziéj? o tém jeszcze nie wiemy.

Dzięki niech będą komitetowi sanitarnemu w ogóle a Drowi. Strzyżowskiemu w szczególności, że sumiennėm wypełnianiem obowiązków odkrył nam jednę więcéj ranę społeczną. Sądzimy, że prassa baczniejszą niż dotychczas na kwestyą tę zwróci uwagę i pobudzi inne komissye sanitarne do podobnych studyów.

Z wiadomości warszawskich zasługuje na wzmiankę fakt zatwierdzenia ustawy „Przytułku dla starych slug i robotników.“ Nowa ta instytucya otworzoną zostanie początkowo dla 14 mężczyzn i 14 kobiet, zostający zaś pod jéj opieką otrzymają: bezpłatny lokal z opałem i światłem, pomoc lekarską, tudzież płacę na żywność, utrzymanie odzieży, obuwia, pościeli, bielizny i na pranie takowéj.

Wstępować do przytułku mają prawo słudzy i wyrobnicy płci obojéj bezżenni lub owdowiali, którzy ukończyli 52 lat życia, są nieskazitelnego prowadzenia i zajmowali się pracą w Warszawie przynajmniéj lat 10. Z liczby kandydatów konkurujących o posadę i posiadających jednakowe kwalifikacye, ci mają praw najwięcéj, którzy najrzadziéj zmieniali służbę. Z osób nie mających lat 52, te tylko wejść mogą, które podległy kalectwu i chorobie tamującéj możność pracy.

Stałe fundusze przytułku stanowią: summa 62,167 rs. 6 kop. pozostała z remanentów od opłat ściąganych przez wydział kontrolli sług prywatnych i następujące zapisy: Heleny Dembowskiéj rs. 1682 kop. 94, Józefa Zacharkiewicza rs. 150 i Józefa Stryjkowskiego rs. 2190.

Odkładając na późniéj uwagi o téj instytucyi i o kwestyi sług, która od wielu lat już należy do draźliwszych, zakończymy niniejszą pogadankę pewnym rodzajem polemiki.

W Nr 208 *Gołosa* wydrukowano:

„Skoro tylko szczęście wojenne opuściło Serbów, pobyt w ich armii ochotników rossyjskich zaczyna podniecać na naszych kresach do źle ukrywanéj radości i do oszczerstw. Zmyślone przez Gazetę Rewelską „okrucieństwa Słowian“ nazwać można kwiateczkami w porównaniu z nastrojem, jaki, podług zapewnienia naocznych świadków, zaczyna opanowywać umysły w kraju Nadwiślańskim, Finlandyi i w kraju Nadbaltyckim.“

Nie pierwsza to i zapewne nie ostatnia insynuacya ze strony *Gołosa*. Niezbyt dawno rzucał on potwarze na honor i moralność naszych kobiet; potém ostrzegał kogo należy o tém, że Polacy nie mogąc spiskować, poczną starać się o koncessye na rozmaite stowarzyszenia i spółki—a dziś z kolei posądza nas o nieludzkość.

Zbyt często zmieniał *Gołos* zdania w najrozmaitszych kwestyach, abyśmy do słów jego jakieś większe przywiązywać mogli znaczenie. Żałujemy tylko, że w prassie rossyjskiéj znajdują się organa nawołujące z jednéj strony do miłości dla braci Słowian, a z drugiéj strony niewstydzące się na tychże braci Słowian rzucać zarówno niegodnych jak i szkodliwych potwarzy. Żałujemy też, że pisma roszczące sobie pretensyą do znajomości najsubtelniejszych objawów życia społecznego, mają tak niedokładnie poimformowanych korrespondentów.

Gdyby „naoczni świadkowie,“ na których powołuje się *Gołos*, znali publiczność naszę nie z Saskiego Ogrodu lub Teatru, lecz nieco bliżéj, wówczas nie pisaliby podobnych bredni. Pierwsze uczucia, jakie owładnęły nas na wieść o wojnie serbsko-tureckiéj, były—zdumienie i obawa; znając bowiem siły Serbii, wiedząc ile stracić może w razie przegranéj, i wiedząc, że rozpoczyna walkę wbrew radom całéj Europy, a nawet wielu pism rossyjskich, przeczuwaliśmy niebezpieczeństwa, które się obecnie spełniły.

Początek wypadków korzystny dla Serbów, zmienił opinie; chwilowo przypuszczaliśmy, że Turcya istotnie dogorywa i że Serbowie zwyciężą. Wówczas to pisma nasze poczęły traktować

wojnę serbską jako walkę równego z równym, udzielać obu stronom niezbędnych rad gazeciarskich, żartować z przechwałek i błędów stron obu. Mimo to jednak, Polacy mieszkający w rozmaitych kątach świata poczęli ściągać do Serbii, i dziś zapewne jest ich tam nierównie więcéj, aniżeli „naocznych świadków naszéj źle ukrywanéj radości.“

Widocznie dobrze poinformowany *Golos,* przypuszcza, że u nas nie ma matek, żon i siostr, które potrafią odczuć boleść kobiet serbskich wysyłających na śmierć mężów i synów—sądzi, że nie ma obywateli rozumiejących klęski wojenne i czujących dreszcz zgrozy na myśl, że rozbestwione hordy tureckie mogą choćby chwilowo zająć Belgrad, aby z kwitnącego i przed kilku miesiącami jeszcze spokojnego miasta, zrobić kupę gruzów i wielki cmentarz?...

Ale—odpowie *Gołos*—dla czegoż sympatye wasze nie objawiają się ofiarami pieniężnemi?... A zkąd wziąć tych pieniędzy? zapytamy z kolei. Spalił się Szydłowiec i parę innych miast pożar znaczniejszy nawiedził; mimo to, choć rzecz się dzieje w kraju, nie kwapimy się z datkami—bo też mamy bardzo niewiele. Od kilkunastu lat stan nasz na żadne nie pozwala ofiary, a dziś mniéj niż kiedykolwiek, bo długi rosną i urodzaje są liche.

Lecz o tych drobnostkach „naoczni świadkowie“ nie wiedzą, bo i cóż ich to zresztą obchodzi!

Alexander Głowacki.

* *

*

Postrzegacz z obowiązku wielkich zmian i objawów życia publicznego, sprawozdawca w nader trudném znajduje się położeniu wobec nowonarodzonego dziecka, wobec liczącéj zaledwo 5 czy 6 tygodni wieku reformy sądowéj. Ruch sądowych instytucyi dotąd niepełny, zwyczajne sądy karne jeszcze nie funkcyonowały, i nie wyrokowały nawet w sprawach starych, z odwołania się od dawnych sądów poprawczych i kryminalnych. Pierwsze akta oskarżenia wedle nowego porządku mają być rozpoznawane przez Departament Izby Sądowéj pełniący obowiązki Izby Oskarżeń, dopiero w ostatnich dniach Sierpnia; wykonywają się więc roboty napozór nieznaczące kancelaryjne i instrukcyjne, i jest do widzenia tylko sama dekoracya przygotowanéj sceny tylu przyszłych poruszających dramatów, dekoracya rzeczywiście pię-

kna i uderzająca. Ani Petersburg, ani Moskwa, ani żadne inne miasto w Cesarstwie, nie posiada gmachów dla sądów, któreby pod względem ozdobności pomieszczenia, wygodnego rozkładu, wielkości, dobréj wentylacyi i gustu, mogły iść w porównanie z salami w dawniejszym pałacu Krasińskich, a szczególniéj z pysznym lokalem Sądu Okręgowego w dawnym pałacu Paca. Sklepienia w kassetony, marmur i złoto, freski na sufitach, gabinety i izby dla narad w stylach maurytańskim i gotyckim, wielkie sale audencyonalne dla spraw kryminalnych na dwa piętra, sal, korytarzów i pokojów przeszło 230 w jedném nieprzerwaném obejściu—takie są szczegóły wielkiego gmachu na ulicy Miodowéj. Najmniéj wygodnie bodaj pomieszczone wydziały hypoteczne, oraz komórkowate izdebki o kilku sążniach kwadratowych przeznaczone dla 24 notaryuszów, rozlokowanych mniéj więcéj jak śledzie w beczce. Scena gotowa dla wielkich wystąpień w sprawach kryminalnych: na dobry skutek tych wystąpień rachują sądownicy, którzy się przypatrzyli i przywykli do procedury kryminalnéj rossyjskiéj, mającéj za sobą dziesięć lat wyrobionéj praktyki; którzy ją szczerze pokochali za dobry, ludzki sposób obchodzenia się z oskarżonym,—za dochodzenie prawdy i bytu czynu z najsubtelniejszych poszlak nie zaś z przyznania się,—za to, że przyznanie nie wymaga się, nie wymusza i prawie zgoła jest bez wagi—nareszcie za stanowcze górowanie w sprawie strony moralnéj nad formalną, w skutek czego wielokrotnie zdarzało się, że wyrzekano niebyt czynu albo przynajmniéj winy w razie nawet przyznania się oskarżonego. Wprawdzie wszystkie te wielkie i cenne zalety zawdzięcza Rossya instytucyi, która przed laty 20 uważana była za niemożebną, a dziś jest kluczem sklepienia w procedurze kryminalnéj—sądowi przysięgłych, najpopularniejszemu ze wszystkich, ale niedopuszczonemu przynajmniéj do pewnego czasu w Królestwie Polskiém. Znacznie ustępujący w moralnéj powadze wyroku sąd urzędników koronnych, obeznanych z instytucyą przysięgłych i w duchu jednakim z nią postępujących, może zjednać wziętość w kraju, który nigdy sądu przysięgłych nie zaznał, jeżeli trafi na właściwą drogę postępowania, jeżeli zechce uwzględnić pojęcia i potrzeby towarzystwa, któremu ma administrować najcenniejszą rzecz w świecie—sprawiedliwość. Przy dobréj woli wszystkie prawie szkopuły sądowéj reformy dałyby się usunąć i ominąć, a najważniejszy między niemi, mrożący wszelkie stosunki i hamujący wszelki szybszy ruch reformy, tkwi niezawodnie w kwestyi językowéj, głównie przeszkadzającéj wprowadzić w Królestwie sąd przysięgłych.

Stało się i należy to odtąd do dokonanych faktów, że wyrokowanie i rozprawa sądowa, to jest opracowanie grubego materyału, głosy oskarżycielskie i obrończe mają być w języku państwowym; pozostaje śledztwo, zeznania świadków, tłómaczenia się stron, ostatnie przymawiania się oskarżonych. Czyż cały ten ważny okres w postępowaniu prawie w każdéj sprawie, bo wyjątki będą niesłychanie nieliczne, ma się odbywać nieinaczéj jak przez tłómacza, ze stratą czasu, z ujmą dla ścisłości badania, z moralném przeświadczeniem wreszcie, że się czyni rzecz niepożyteczną? bo panom sędziom koronnym żaden tłómacz nie zastąpi znajomości miejscowego narzecza, bez któréj nie może być należytego poznania miejscowych stosunków. Konieczność zmusza i sądzących i sądzonych do językoznawstwa, do studyów i wprawy w pobratymczém narzeczu: niechże te studya będą w duchu wzajemności słowiańskiéj. A że wszelkie początki są trudne i mozolne, więc nim dadzą się zaznaczyć postępy w lingwistyce, odbywa się dotąd tylko kaleczenie i łamanie w rozmaity sposób mowy państwowéj, któremu najłatwiéj się przysłuchać w punktach najbliższego zetknięcia organów sądu z prostym ludem, w sądach pokoju i gminnych.

Odbyliśmy pielgrzymkę po tych sądach pokoju w Warszawie. Ogólny typ instytucyi — urzędnik w wice-mundurze ze znakiem na łańcuchu na piersi. Przed kratkami zwykle policyant pełni urząd woźnego. Są sędziowie wybornie rzecz całą z zeznań stron i świadków w protokóle streszczający, są całkiem nieobeznani z mową miejscową i posługujący się wciąż tłómaczem. Szła sprawa o obelgi osobiste: lokatorka zwymyślała rządcę domu, nazywając go błaznem; tłómacz nie umiał słowa błazen stwierdonego przez świadków wytłomaczyć, sędzia uznał niezbyt czynu obrazy, i uniewinnił lokatorkę. Nie chodzi o to czy warto było pozywać do sądu o tak błahą urazę; stało się tylko, że nie umiano chociażby za pomocą słownika wytłómaczyć, że błazen jest to poniemiecku Narr, po rossyjsku дуракъ,— nazwa niezaprzeczenie krzywdząca, za którą sędzia pokoju w Rossyi pociągnąłby winowajcę do odpowiedzialności, i którą jako obelgę podawały jeszcze ukazy Piotra Wielkiego. Widzieliśmy assystującą sądowi publiczność przeważnie (w $^6/_7$ cz.) żydowską, policyą występującą w nowéj roli oskarżycieli, strony z dawnego zwyczaju umawiające się o przysięgę, któréj dziś prawo z urzędu nie dopuszcza, sposób postępowania przeważnie pojednawczy, punkt honoru sędziego zasadzający się na tém, by większą część spraw umorzyć zgodą, by dłużnikowi niemającemu środków zapewnić

co najdłuższe moratoria, rozkład długu po rublu albo pół rubla na miesiąc. Nie było tu dotąd tak prędkiego wymiaru sprawiedliwości w drobnych rzeczach, w małych przewinieniach, w małych summach, które dochodzą jednak w obrębie jurysdykcyi sędziego pokoju do średniéj wartości całego mienia wyrobnika, proletaryusza, ubogiego człowieka. Nowi sędziowie pokoje dobrze znają swoją rossyjską mirową ustawę o wykroczeniach, lecz się im trudno trochę zastosować do ograniczeń w jurysdykcyi, wprowadzonych w ustawie sądowéj dla Królestwa Polskiego. Byliśmy przytomni przy sprawie dwóch przekupek, które się zwymyślały, przyczém jedna drugą szturchnęła. Przesłuchano strony a nawet świadków; wtedy dopiero postrzeg się sędzia, że obraza czynna kobiety przechodzi zakres jego attrybucyi, i odesłał sprawę do sędziego śledczego.

Sędziów pokoju jest nieco więcéj nad setkę; sądów gminnych jest około czterech secin. Jest to jedyne sądownictwo, w którém się dziś przechowuje charakter obywatelski ziemski, pierwiastek wyborczy. Lękano się demagogii jako skutku wyborów; skutek omylił wszelkie przewidywania: z urny wyborczéj wyszła sama intelligencya ziemska, uwydatniły się pierwiastki zachowawcze. Widzieliśmy na własne oczy ten sąd szczególny, do istniejących w Rossyi w niczém niepodobny, i szczerze spowiadając się z wrażeń powiadamy, że byliśmy przejęci szczerością dobrych chęci i gorliwością w pełnieniu obowiązków, ale zarazem uderzeni najzupełniejszém niestosowaniem do sądzenia ustawy, jak gdyby litera téj ustawy, a témbardziéj duch jéj były zamknięte na siedm pieczęci. Ustawa leży na stole, ale nie służy za narzędzie do wynajdywania prawdy; w każdym danym przypadku sąd powoduje się natchnieniem, salomonowym idąc torem zdobywa się na coraz inne środki i wynalazki. Niechybnie dobre chęci, wykształcenie i instynkta wiele znaczą i do celu nieraz zaprowadzą bez metody, ale brak wszelkiéj metody przenosi nas wstecz w czasy i stosunki patryarchalne, a ta patryarchalność stanowi dziś największe niebezpieczeństwo dla sądów gminnych, tém większe, że sędziowie nieraz ani się domyślają o jego istnieniu.

Patryarchalność tu wybitna na każdym kroku. Do sędziego lud mówi: „sędzio“ a częściéj „wielmożny dziedzicu.“ Sędzia i ławnicy znają prawujące się strony i nie formalizują się w wyjawianiu każdy swego zdania w samym toku sprawy: sąd ma moralne przekonanie, że strona ta lub owa, że ten lub ów świadek mówi prawdę, niekiedy z wymienieniem nawet zasad, na których oparto prze-

konanie o niewiarogodności świadka. Narada odbywa się głośno w toku śledztwa przed końcem rozprawy, a przyjmuje w niéj czynny udział sekretarz sądu, osoba niesłychanie ważna, bo sąd odbywa się co tydzień, ale sekretarz przyjmuje wszystkie podania i skargi, pisze wszystkie wyroki, wyzywa strony i dźwiga na sobie całą formalną część roboty sądu za skromne wynagrodzenie 350 r. na rok. Swiadkowie nie są z izby sądowéj do przesłuchania ich oddalani, wywołują się z tłumu po kilkoro na raz. W trudnéj, zawiłéj i delikatnéj sprawie pomiędzy dwiema familiami kolonistów o potwarz, sąd w naszéj przytomności nie wiedząc jak dojść prawdy w dwu sprzecznych zeznaniach dwóch malców, z których jeden miał lat 13 drugi 16, oddalił się w całym składzie z izby posiedzeń do izby narad i indagował na osobności przy zamkniętych drzwiach, naprzód malca lat 13, potém malca lat 16, a potem młodzieńca i dziewczynę, którzy się skarżyli, że ich spotwarzono, pomawiając o miłośny stosunek. Indagacya nie pomogła sądowi wyjść z kłopotu; każdy z malców stał ostro przy swojém: 13-letni, że był świadkiem gorszącego czynu, 16-letni, że słyszał od poprzedniego, iż go podkupiono. Dla rozcięcia wątpliwości postanowiono uciec się do środka, który w praktyce dawniejszéj sądów Królestwa panował wszechwładnie, a i dziś jeszcze wciąż snuje się po głowach, do experymentu równoważnego prawie dawniejszym sądom Bożym albo ordaliom,—przysięgi. Ponieważ malec 13-letni nie może z racyi wieku przysięgać, więc niech przysięże jego 16-letni antagonista, lecz niech się zastanowi, że fałszywi świadkowie nagle umierają nie dożywają roku. Oddalony dla namysłu mający przysięgać stchórzył i do przysięgi nie poszedł, czy że się poczuł do winy, czy że go samo straszenie przelękło. Po jego odejściu sprawa wzięła obrót stanowczo niekorzystny dla skarżących o potwarz, gdy ojciec dziewczyny dał jéj nowy kierunek, oświadczając, że przedstawi poświadczenie lekarza o niewinności dziewczyny. W ten sposób w toku jednéj sprawy nie prawidłowie dopuszczono się mnóstwa nieregularności: badano świadków na osobności, więc pozasądowie, deferowano świadkowi przysięgę, dano mu do wyboru przysiądz albo nie przysiądz, przysięgi téj użyto za środek rozstrzygający sprawę, więc jéj nadużyto, ponieważ przysięga może być uważana tylko jako jeden z mnogich warunków wiarogodności świadka przy ocenie jego zeznania.

Streszczając nasze wrażenia, powtarzamy, że sąd gminny nie da się pod względem ogromnych korzyści żadnym innym zastąpić,

że jest i będzie bardzo popularny, do poziomu pojęć ludu zbliżony, że życzyćby warto, aby był nieco formalniejszy, ściśléj pojmujący ustawę. Oba zdroje: i sąd gminny patryarchalny nie formalny, i sąd pokoju formalny, ale zbyt mało może znający jeszcze miejscowe stosunki i potrzeby, zlewać się mają w jedno w sądzie zjazdowym, którego wpływ o tyle będzie zbawiennym dla pierwszych instancyi, o ile wpłynie na przenikanie się obu pierwiastków, na ujednostajnienie w obu rodzajach sądów sposobów postępowania i praktyki, na wytworzenie stałéj i niezmiennéj metody stanowiącéj duszę każdéj trwałéj prawnéj instytucyi

W. S.

KONIEC ZESZYTU ÓSMEGO.

Redaktor i Wydawca *H. Benni.*